POLSKA PAMIĘTA O TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ. WŁADZA WOLAŁABY ZAPOMNIEĆ

ADRIJANIĆ UJAWNIA PRAWDZIWE ŹRÓDŁO ATAKÓW NA ABP. TADEUSZA WOJDĘ

OSTRY KONFLIKT PO ATAKU NA KONWÓJ I REAKCJI AMBASADORA IZRAELA

JAK LIKWIDACJA PRAC DOMOWYCH UDERZA W NAJBIEDNIEJSZYCH

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

15 (593) 2024
8–14 kwietnia 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

ZBIGNIEW ZIOBRO

W PIERWSZYM WYWIADZIE PRASOWYM O CHOROBIE I POLITYCZNYCH REPRESJACH

TO BITWA MOJEGO ŻYCIA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269403 15

eprasa.pl 9e18b405a8

polsat box plus

TV + Światłowód

19 zł /mies.

przez pierwszy rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów, Światłowód S – do 300 Mb/s.

Pobierz ulotkę

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smarDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus internet stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera.. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu** smartDOM jest zachowanie warunków tego programu i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl Oferta ważna na dzień 8.04.2024 r.

eprasa.pl 9e18b405a8

Czas się pakować, panie Liwne

Złość na poczynania ambasadora Izraela w Polsce rośnie. Pierwsze polskie reakcje na jego lekceważące oświadczenie w sprawie śmierci wolontariuszy w Gazie były dalekie od stanowczości. Nie nazwał rzeczy po imieniu ani premier Donald Tusk, ani szef MSZ Radosław Sikorski, ani nawet prezydent Andrzej Duda. To był moment, w którym wydawało się, że znów skulimy się w imię „dobrych relacji" z Jerozolimą. Ale rozzuchwalony Jakow Liwne albo nie wyczuł klimatu tego momentu, co w dyplomacji powinno być uznane za coś więcej niż błąd, albo poszedł utartym w przeszłości torem moralnej wyższości. I przesadził.

Nie od dzisiaj mamy poczucie, że w tej relacji nie ma symetrii. Że Izrael, jadąc na pamięci o ofiarach Holokaustu, tratuje wszystkich i wszystko, co napotyka po drodze. Że „ich" ofiary mają inną wartość, że da się nimi przykryć i wytłumaczyć dosłownie wszystko. A wydawałoby się, że naród tak bardzo dotknięty zbiorowym nieszczęściem powinien być bardziej świadomy tego, co niesie za sobą stawianie się wyżej od innych (z jakiegokolwiek powodu).

W Strefie Gazy zginęło siedmioro wolontariuszy organizacji humanitarnej World Central Kitchen. Zostali ostrzelani przez izraelską armię. Do wydarzenia doszło podczas dostarczania przez pracowników pomocy żywnościowej. Konwój był zgłoszony i oznaczony. Nie ma mowy o pomyłce, to była egzekucja. Precyzyjne strzały, które miały zabić wszystkich. Nawet jeśli przyjmiemy pokrętne tłumaczenie, że w pobliżu widziano bojownika Hamasu, to decyzja o użyciu broni nieuchronnie wiązała się z zamordowaniem kilku niewinnych osób znajdujących się wokół. Ktoś ten rozkaz wydał. Ktoś go wykonał. Chcemy więc wiedzieć, kto zabił polskiego obywatela i jego towarzyszy. I to wystarczy, by ambasador Liwne uruchomił protokół „polscy antysemici". Nie przeprasza, składa tylko kondolencje. Nie czuje winy.

Wygląda na to, że wojna prowadzona w Gazie przez Izrael nie doczekała się jakichś spektakularnych sukcesów, jest raczej mowa o przesadzonej sile ataków na Palestynę. Słów potępienia nie słychać. Wstrzemięźliwość opinii publicznej wobec działań Jerozolimy spowodowana jest swoistym szantażem moralnym. Świat przyzwyczaił się do tego, że każda, nawet najmniejsza krytyka Izraela musi się skończyć awanturą na pół świata, w której wskazany zostanie „naczelny antysemita". Nie wolno nam więc cierpieć z powodu śmierci Polaka i domagać się wskazania, który izraelski oficer go na nią skazał, bo być może w ten sposób podważamy Holokaust. Logiczne? Absolutnie nie, ale od lat tak to działało. Ambasador Jakow Liwne nie może przyznać, że mamy rację i prawo, by dojść do prawdy, bo podważyłby stosowaną od lat taktykę, w której cierpienie i rola ofiary jest wyłącznie prawem jego kraju. Z ich punktu widzenia, wszystko dzieje się zatem „jak zwykle", działania są skuteczne, Izrael się nie wycofuje, nie kłania. A że to bezczelne, że aroganckie? To się zdarza w dyplomacji, zdaje się pobrzmiewać z Jerozolimy.

Ciekaw jestem, jak to się skończy tym razem. Rzadko się zdarza, by wszyscy istotni uczestnicy polskiej polityki byli tak jednoznaczni w ocenie jakiegoś zdarzenia. Działania izraelskiego ambasadora w dosadnych słowach określili wreszcie i premier Donald Tusk (domaga się przeprosin, wyjaśnień oraz odszkodowania dla bliskich), i lider opozycji Jarosław Kaczyński (stwierdził, że on zdecydowałby o wydaleniu dyplomaty), i prezydent Andrzej Duda (uznał działalność ambasadora za największy problem we wzajemnych relacjach). Nie da się już bardziej dosadnie powiedzieć dyplomacie, że powinien się pakować i wracać do domu.

Marcin Wikło

Reklama | 12/0324/F

eprasa.pl 9e18b405a8

SIECI spis treści

35 Uczniowie drugiej kategorii
Dorota Łosiewicz

55 Nadwiślańska republika bananowa
Małgorzata Wołczyk

61 Historia ten jeden ma błąd
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

9 **WSZYSTKIE DZIECI TUSKA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **KŁADKA JAKO KIEŁBASA WYBORCZA**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **SZCZUJNI MORALIZATORZY**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA NATALII PASIUT**
Michał Korsun

16 **BEZ ECHA**
Samuel Pereira

17 **TZW. MOWA NIENAWIŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **GDZIE TE MILIARDY?**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ**
rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

26 **DUDA NA CELOWNIKU**
Stanisław Janecki

29 **DZIECI PEERELU**
Konrad Kołodziejski

32 **14 LAT HAŃBY**
Marek Pyza

35 **UCZNIOWIE DRUGIEJ KATEGORII**
Dorota Łosiewicz

38 **AMERYKANÓW ZAWSZE, ROSJAN NIGDY, A Z NIEMCAMI TO RÓŻNIE**
Jakub Augustyn Maciejewski

40 **KOŚCIÓŁ, KTÓRY TRWA**
Goran Andrijanić

42 **STAWMY OPÓR TEJ REWOLUCJI**
Rozmowa Macieja Walaszczyka

ŚWIAT

44 **ATAK NA KONWÓJ**
Jan Rokita

47 **UKRAINA MUSI PRZETRWAĆ CZTERY MIESIĄCE**
Marek Budzisz

50 **ORWELLOWSKI KOSZMAR**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

52 **NIENAWIDZĄCY SAMYCH SIEBIE**
Maciej Walaszczyk

55 **NADWIŚLAŃSKA REPUBLIKA BANANOWA**
Małgorzata Wołczyk

58 **NAJEŹDŹCÓW ŻYCIE PO ŻYCIU**
Dariusz Matuszak

SIECI KULTURY

61 **HISTORIA TEN JEDEN MA BŁĄD**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **CO Z NAMI BĘDZIE**
Robert Tekieli

67 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

68 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

70 **SŁODKA HISTORIA**
Małgorzata Dygas

PODRÓŻE

72 **MOJE SZLAKI: WIM WENDERS**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

73 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

74 **KŁAMSTWA I OBŁUDA**
Wojciech Reszczyński

75 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

76 **SZKOŁA BEZ PRZYSZŁOŚCI**
Aleksander Nalaskowski

78 **TKM I TYLE**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 18/0324/F

eprasa.pl 9e18b405a8

Dzięki dobrej polityce pieniężnej NBP inflacja szybko się obniżyła, co prognozował NBP

Roczna dynamika cen konsumpcyjnych w okresie luty 2023 r. – marzec 2024 r.

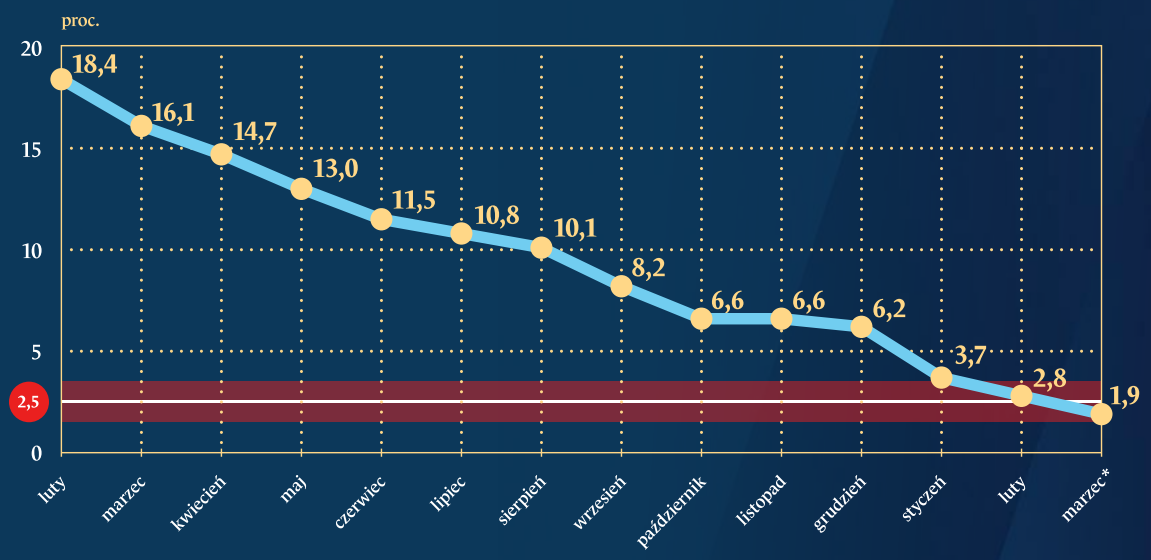

Cel inflacyjny NBP

Źródło: dane GUS | *Szybki szacunek GUS za marzec 2024 r.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

W marcu inflacja wyniosła 1,9% r/r i znalazła się na poziomie zgodnym z celem inflacyjnym NBP, który wynosi 2,5% +/-1 pkt proc.

nbp.pl

eprasa.pl 9e18b405a8

Sygnalista nadaje

„Wypowiedzenie wojny niemieckiemu przemysłowi lotniczemu" – w taki sposób niemiecki „Die Welt" piórem swojego warszawskiego korespondenta Philippa Fritza określa budowę CPK. Jak pisze Fritz, choć projekt nie jest zbyt dobrze znany niemieckiej opinii publicznej, jego wpływ na lotniska w kraju naszego zachodniego sąsiada byłby „ogromny": „Osoby podróżujące z zachodnich regionów Polski lub Czech nie latałyby już bezpośrednio z Berlin Brandeburg, ale wybierałyby CPK, zwłaszcza jeśli istniałoby połączenie z pociągami ekspresowymi". Byłby, ale czy będzie? Tusk nie zdołał wmówić Polakom, że pomysł był zły i wyraźnie gra na przeczekanie.

W sprawie CPK rząd został złapany na jawnym kłamstwie. Posłanka Nowej Lewicy Paulina Matysiak została zapytana w telewizji wPolsce.pl, czy odnalazły się ekspertyzy podważające sens budowy lotniska i sieci komunikacyjnej, na które powoływali się politycy rządzącej koalicji. Wiceszefowa komisji infrastruktury odpowiedziała: „Nie, ponieważ nie ma takich ekspertyz". Dodała, że taką odpowiedź otrzymała po swojej interpelacji. „Warto postawić pytanie: kto wprowadził w błąd premiera Donalda Tuska i podał mu nieprawdziwe informacje o tym, że takie ekspertyzy istnieją, że nie ma powodów, by budować CPK?" – podkreśliła. Nikt nikogo nie wprowadził w błąd. To metoda, a nie wpadka.

Przeciwnik budowy CPK, prezes linii Ryanair Michael O'Leary, uważa, że tego portu nie będzie i nie ukrywa radości. „Wydaje mi się, że nowy rząd ma lepsze i bardziej przyszłościowe podejście. Nie ma też wizji tworzenia Centralnego Portu Komunikacyjnego. Spotkaliśmy się już z wiceministrem infrastruktury i jesteśmy zdania, że zależy mu na rozwoju wszystkich lotnisk w Polsce" – stwierdził w rozmowie z wnp.pl. Jak dodał, wydaje mu się, że „nowy zarząd Polskich Portów Lotniczych, jak tylko zakończą się wybory samorządowe, a marszałek województwa mazowieckiego zostanie wybrany na kolejną kadencję, wdroży nowy plan rozwoju dla Modlina i mam nadzieję, że część tego planu zostanie zrealizowana w ciągu najbliższego roku lub dwóch lat". Była niepodległość, była ambicja, jest bantustan.

Anna Maria Żukowska z Nowej Lewicy tak opisuje ważny kontekst batalii o CPK: „Środowisko PSL jest bardzo mocno, od czasu powstania lotniska w Modlinie, związane z tym portem lotniczym. Współwłaścicielem jest sejmik mazowiecki. A tam już od 20 lat rządzi Adam Struzik z PSL, który ma olbrzymią władzę. Ale w pewnym momencie się zagubił. Członkowie zarządu sejmiku mazowieckiego znaleźli się w zarządzie portu lotniczego Modlin i były też inne powiązania rodzinne, i wielokrotnie wskazywaliśmy, że to jest patologia. To, co mówi szef Ryanair, który jest bardzo aktywny medialnie, pokazuje, że to jest bardzo ostry lobbing". W skrócie: w obronie własnej zagrody ukatrupią wielką szansę rozwojową całego państwa.

Ambasador Izraela Jakow Liwne tak ocenił debatę po śmierci polskiego wolontariusza w Strefie Gazy: „Skrajna prawica i lewica w Polsce oskarżają Izrael o umyślne morderstwo we wczorajszym ataku, w skutek którego śmierć ponieśli członkowie organizacji humanitarnej, w tym obywatel Polski. Wicemarszałek Sejmu i lider Konfederacji Krzysztof Bo-

eprasa.pl 9e18b405a8

sak twierdzi, że Izrael popełnia »zbrodnie wojenne« i terroryzuje organizacje humanitarne, aby zagłodzić Palestyńczyków. To ten sam Bosak, który do dziś nie zgodził się potępić masakry dokonanej przez Hamas 7 października i którego partyjny kolega, prawicowy ekstremista, zgasił gaśnicą chanukową menorę, którą zapaliliśmy w parlamencie w Warszawie. Wniosek: antysemici zawsze pozostaną antysemitami, a Izrael pozostanie demokratycznym Państwem Żydowskim, które walczy o swoje prawo do istnienia. Również dla dobra całego świata zachodniego". Rozmawiać można o wszystkich, ale w Polsce tak już się rozmawiać nie da. Lata 90. dawno minęły.

Jarosław Kaczyński poparł stanowisko prezydenta: „Jeśli chodzi o wypowiedzi tego pana, to rzeczywiście jest ogromnym problemem. Sądzę, że pokazanie wobec Izraela pewnego zdecydowania jest bardzo, bardzo potrzebne. Bo ta postawa, którą przyjęliśmy po 1989 r., całkowicie się nie sprawdziła w stosunkach polsko-izraelskich. Jedyny sukces, bardzo zresztą niedoceniony, to wspólne oświadczenie naszego premiera i premiera Netanjahu, które zrównuje antysemityzm i antypolonizm. Okazuje się jednak, że to nie działa". Prezes PiS ocenił także, że Tel Awiw dużo ryzykuje: „Jeśli chodzi o sytuację w Strefie Gazy, to jestem święcie przekonany, ze Izrael popełnia ogromny błąd, podważa swoje prawa moralne. To jest coś, co może na dłuższą metę bardzo, ale to bardzo zagrażać". Trudno się nie zgodzić. Przyjaźń przetrwa tylko wówczas, gdy chcą jej obie strony.

Ministerstwo Sprawiedliwości opublikowało projekt ustawy zwalczającej tzw. mowę nienawiści. Do przepisu o zwalczaniu faszyzmu dodano kilka nowych przesłanek, które razem skutkują tym, że w rękach prokuratorów będą po prostu potężne narzędzia cenzorskie. Chodzi „niepełnosprawność, wiek, płeć, orientację seksualną lub tożsamość płciową". Sebastian Kaleta komentuje: „W każdej z tego typu spraw, jeśli publicznie wyrazisz swoje zdanie o takiej treści zgodnie z projektem koalicji 13 grudnia, może się tobą z urzędu zająć prokurator". Idzie „uśmiechnięta cenzura". Polacy, brońcie polskiej wolności!

Z kolei Agnieszka Buczyńska, minister ds. społeczeństwa obywatelskiego, zapowiada ustanowienia nowego święta upamiętniającego wybory z 15 października 2023 r. Według „Rzeczpospolitej" polityk wywodząca się z partii Hołowni złożyła już w tej sprawie zapowiedź, odpowiadając na jedną z poselskich interpelacji. „Deklaruję, że podejmę niezwłoczne działania w celu zbadania możliwości ustanowienia Dnia Społeczeństwa Obywatelskiego – nowego święta państwowego w dniu 15 października". Nie warto. Ta władza upadnie szybciej niż myśli i 15 października będzie dniem wstydu tych wszystkich, którzy dali się tak łatwo nabrać i tak źle wybrali. Dla siebie i dla Polski.

Minister edukacji ***Barbara Nowacka*** snuje swoje wizje przyszłości. „Sztuczna inteligencja jest i będzie, i trzeba się nauczyć z nią żyć oraz ją kontrolować. Szkoła ma przygotować młodych, żeby sobie zbudowali świat taki, jakiego chcą. Żeby to było możliwe, należy dzieci i młodzież uwolnić ze zbyt ciasnych ram, takich, że oto mają do wkucia np. listę siedmiu nazwisk i koniec. A może oni wolą się nauczyć pięciu, a dwa dowolne dorzucić od siebie, bo ktoś ich czymś zafascynował?" – mówiła w magazynie „Wysokie Obcasy". Wojciech Szacki, związany z „Polityką", skomentował: „Na początek dobre i to, ale potem koniecznie trzeba zlikwidować szkoły". Tak to się skończy. Poza tym dorosły człowiek powinien wiedzieć, że bez wysiłku nie ma sukcesów. Nawet jeśli jest z lewicy.

Z kolei wiceminister edukacji ***Katarzyna Lubnauer*** w rozmowie z portalem Gazeta.pl zapowiedziała, że ze szkół znika przedmiot historia i teraźniejszość, za to dzieci w szkołach podstawowych będą uczone pierwszej pomocy dzięki współpracy z... Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy. „Znika HiT, za to w klasach 1–3 szkoły podstawowej wchodzi 12 godzin pierwszej pomocy i to jest współpraca z WOŚP. WOŚP daje know-how, ponieważ będzie szkolić nauczycieli, nauczyciele będą uczyć dzieci. Co więcej, WOŚP dostarcza fantomy do szkół. W związku z tym w każdej szkole będzie możliwość realnego ćwiczenia" – mówiła. Wielu twierdzi, że skokowe obniżanie poziomu w szkołach to działanie celowe, które ma przygotować system edukacji na masową imigrację z Azji i Afryki. Nie można tego wykluczyć. Trudno przecież uwierzyć, że infantylizm tej ekipy nie ma ukrytych celów.

Paulina Hennig-Kloska, minister klimatu i środowiska, a także najzabawniejsza minister rządu Tuska, wykryła „aferę". Chodzi o łazienkę: „Oto oryginalny wierzchołek góry absurdów w Lasach Państwowych za rządów PiS. W Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Pile wydano blisko 100 tys. zł na dodatkową łazienkę w gabinecie dyrektora. Jest zakamuflowana i ma strefę relaksu. A ta zwykła od zawsze jest 5 m obok (tyle że trzeba wyjść na korytarz). Ktoś ma pomysł, po co byłemu dyrektorowi takie luksusy?". Na załączonym filmiku widać jednak zwykłą łazienkę, prysznic i tanią kanapę. „Ale gdzie te luksusy?" – pytają internauci. Dobrze to świadczy o rządach PiS, że następcy nie są w stanie znaleźć żadnych realnych „zbrodni". A „afera łazienkowa" przejdzie do historii, tak jak przeszła afera z dorszem za 5 zł z czasów, gdy rozliczano pierwszy rząd PiS.

Fot. RMF FM, Andrzej Wiktor x3

eprasa.pl 9e18b405a8

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat)	NA POZYCJI 196	NETIA	NA POZYCJI 192	orange	NA POZYCJI 32
vectra	NA POZYCJI 825	PLAY (dawniej UPC)	NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox		121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 9e18b405a8

WIEŻA BAB

Wszystkie dzieci Tuska

Wykorzystanie dzieci w kampanii politycznej osiągnęło kulminację na ostatniej konwencji Koalicji Obywatelskiej w Krakowie

„Kampania jest nastawiona przede wszystkim na efekt, który w kwestii wizerunkowej ma wzmacniać pozytywne emocje wyborców wobec polityków i przybliżać do »zwykłych ludzi«. Nic nie ułatwia sprawy tak jak wakacje, kiedy można zdjąć krawat i pokazać się w bardziej przyjaznych okolicznościach. [...] Rola dzieci w kampanii jest ogromna" – informował podczas kampanii parlamentarnej portal gazetakongresy.pl.

O znaczeniu głosu i roli dzieci Donald Tusk zapomniał w 2010 r. Gdy rozpaczliwy list 10-latki do premiera i odpowiedź KPRM wypłynęły do mediów, wywołały popłoch wśród współpracowników premiera. „Mamusiu, a może bym napisała do premiera? Ja nie chcę, żebyś była smutna i cały czas płakała. Może premier pomoże ci znaleźć pracę" – zaproponowała mamie 10-letnia Natalia z Łodzi, a o sprawie szeroko informowały media. „Pani Magda była zaskoczona, że córka aż tak bardzo przeżywa, że ona nie może znaleźć pracy. »Zastanowiłam się. Pomyślałam, że to może dobry pomysł«" – relacjonowała wówczas na portalu wp.pl mama Natalii, która od 14 miesięcy nie miała pracy. Adres mailowy kancelarii premiera dziewczynka miała znaleźć w sieci. Postanowiła napisać i poprosić o pracę dla mamy.

Odpowiedź przyszła szybko. „List był krótki. Natalce zrobiło się przykro, gdy go przeczytała" – komentowała pani Magda. Kancelaria premiera zwróciła się do niej per pani. „Napisano, że nie pomogą, żeby sama poszukała pracy" – opowiadała pani Magda. „Dlaczego w kancelarii premiera nikt nie zainteresował się, że taki rozpaczliwy list pisze 10-letnia dziewczynka? Dlaczego potraktowano ją tak obcesowo? Zadaliśmy te pytania współpracownikom Donalda Tuska. Ci natychmiast zaczęli wertować setki maili w poszukiwaniu tego od Natalki. Kiedy znaleźli, zaczęli bić się w piersi" – informował portal, a sprawą zainteresował się ówczesny Rzecznik Praw Dziecka Marek Michalak i obiecał pomoc.

Przy okazji kolejnego listu od dziecka Donald Tusk zareagował już zupełnie inaczej. To był marzec 2019 r., Wielka Brytania właśnie opuszczała UE. „Mieszkam w Wielkiej Brytanii. Wiem, że opuszczamy Unię Europejską, ale myślę, że powinniśmy zostać przyjaciółmi. Czy mogę prosić o pańskie zdjęcie z podpisem do mojej książki o Europie?" – mogliśmy przeczytać w odręcznie napisanym liście autorstwa 6-letniej Sophie, który na Instagramie opublikował Tusk, piastujący wówczas funkcję szefa Rady Europejskiej. Dziewczynka narysowała również dla Tuska jednorożca. Były premier przy zdjęciu na Instagramie napisał: „Zawsze będziemy przyjaciółmi, Sophie". Do dziś wątpię w prawdziwość listu i istnienie owej Sophie, ale tym razem Donald Tusk pokazał oblicze dobrego wujka.

„Maciek załatwił! Koniec obowiązkowych prac domowych" – napisał niedawno w mediach społecznościowych aktualnie urzędujący premier Donald Tusk. Zamieścił także nagranie ze spotkania z Maćkiem w kancelarii premiera. W czasie kampanii parlamentarnej uczeń apelował do lidera PO w sprawie likwidacji prac domowych. I znów głos dziecka został usłyszany. Jakoś 6-latków wypychanych kolanem do szkół i ich rodziców Tusk nie słyszał.

Jednak wykorzystanie dzieci w kampanii politycznej osiągnęło kulminację na ostatniej konwencji Koalicji Obywatelskiej w Krakowie. Najpierw wystąpiła dziewczynka, która dziękowała premierowi, że się nigdy nie poddał, gdy pisowcy rzucali mokrym błotem. Przyznała też, że Tusk jest jej autorytetem. Później głos zabrał 14-letni Alex. „Na zielonej szkole zostałem wykorzystany seksualnie przez mojego rówieśnika z klasy" – mówił chłopiec. Alex publicznie przyznał, że jego rodzice zgłosili sprawę dyrektorce szkoły. Ale nikt należycie się nią nie zajął. „Tymczasem mnie i moich rodziców zgłosili do sądu. Pani dyrektor uznała, że wymyśliłem to wszystko. Chciałem sprawiedliwości, a zostałem ukarany. Mogłem zostać odebrany rodzicom i trafić do domu dziecka. Panie premierze, czy pan mógłby wyrzucić tę dyrektorkę z pracy?" – zapytał Alex premiera, a ten zapewnił, że sprawa trafi do prokuratury.

Choć eksperci od wizerunku są zgodni, że nic tak nie pomaga politykowi w kampanii jak towarzystwo dzieci, to jednak ktoś powinien sprawdzić, czy ich obecność można przedawkować.

Dorota Łosiewicz

Autopromocja

Polowanie na imigrantów

Rosja

Fot. Vitaly Malyshev/Shutterstock.com

Po ataku na Crocus City Hall w Rosji rozpoczęły się policyjne łowy na imigrantów, którzy są zatrzymywani, przesłuchiwani i jeśli nie mają ważnego prawa pobytu – stawiani przed sądami. Niezależni komentatorzy uważają, że w ten sposób władze chcą przykryć wcześniejszą bezczynność, kiedy zignorowano ostrzeżenia przed zamachem.

W Petersburgu w ciągu tygodnia 466 imigrantów z Azji Środkowej dostało sądowy nakaz opuszczenia Rosji, obławy trwały też w Moskwie i okręgu podmoskiewskim. Z kolei w Samarze funkcjonariusze resortów siłowych przeszukali ponad 200 obiektów, a w położonym nieopodal ukraińskiej granicy Biełgorodzie wdarli się do meczetu.

Walentina Czupik, rosyjska prawniczka, powiedziała dziennikarzom rosyjskiej sekcji BBC, że „ma wiele pracy, bo zatrzymano tysiące osób, setki niezgodnie z prawem ma być deportowanych z Rosji, a pobicia na komisariatach są powszechne". W jej opinii skala antyimigranckich działań podjętych przez władze jest największa od 2013 r., kiedy po napadzie na policjanta na jednym z moskiewskich targowisk przez całą Rosję przetoczyła się fala pogromów.

Represje w pierwszym rzędzie dotykają Tadżyków, bo to obywatele tego państwa uczestniczyli w zamachu na Crocus City Hall. Wiceminister pracy Tadżykistanu Szachnoza Nodiri poinformowała o dużym spadku liczby osób szukających pracy w Rosji i narastającej fali tych, którzy chcą wrócić do ojczyzny w związku z aresztowaniami. Jest to o tyle istotne, że gospodarka Tadżykistanu, z którego tylko w ubiegłym roku 627 tys. osób wyjechało do pracy w Rosji, jest uzależniona od comiesięcznych przekazów wysyłanych przez gastarbeiterów swoim rodzinom. Dziennikarze tadżyckiej redakcji Radia Svoboda piszą o zmniejszeniu zainteresowania wyjazdami do Rosji o co najmniej 30 proc. oraz niespotykanym do tej pory zjawisku, jakim jest fala zwrotów wykupionych wcześniej biletów lotniczych.

Jeśli obawy przed rosyjskimi represjami utrzymają się przez dłuższy czas i obywatele Tadżykistanu nie będą wyjeżdżać do pracy za granicę, to sytuacja w tym kraju może zacząć się pogarszać ze względu na wysokie bezrobocie. Spadek liczby pracujących imigrantów może też być ciosem dla rosyjskiej gospodarki, która już obecnie w związku z wojną boryka się z brakiem rąk do pracy.

Marek Budzisz

Nauka kontra ideologia

Kanada

Fot. Shutterstock x2

Kanadyjskie ministerstwo sprawiedliwości odwołało konferencję brytyjskiej socjolog prof. Alice Sullivan i nie wypłaciło jej honorarium. Władzom Kanady nie spodobały się bowiem poglądy pani profesor na temat płci.

Prof. Sullivan miała wygłosić wykład dla pracowników kanadyjskiego Departamentu Sprawiedliwości o problemach, które stwarza podawanie w dokumentach innej płci niż biologiczna. Jej zdaniem uniemożliwia to przeprowadzenie rzetelnych badań. Płeć jest bowiem podstawową kategorią demograficzną.

Wykład został odwołany po tym, jak prof. Sullivan przesłała do organizatora slajdy, ilustrujące jej wystąpienie. „Osoba z ministerstwa nie była upoważniona do udzielania mi żadnych wyjaśnień, ale oczywiście oboje wiedzieliśmy, jaki jest powód... w Kanadzie nie wolno rozmawiać o różnicach płci biologicznych" – tłumaczy. Nie wypłacono jej również należnego honorarium w wysokości 999 dol. kanadyjskich, ponieważ departament nie życzył sobie, żeby pani profesor figurowała w jego dokumentach rozliczeniowych.

Dwa lata temu Kanada stała się pierwszym krajem na świecie, który zebrał i opublikował oficjalne dane na temat tożsamości płciowej w drodze ogólnokrajowego spisu ludności. Od tego czasu praktyka w zbieraniu informacji w agendach rządowych polega na pytaniu ludzi jedynie o deklarowaną przez nich płeć. Prof. Sullivan alarmuje jednak, że tylko biologiczna płeć jest wiarygodnym czynnikiem prognostycznym dotyczącym np. zdrowia psychicznego, przestępczości, płac czy edukacji. „Tożsamość płciowa to nie to samo co płeć biologiczna. Mimo że wiele dziewcząt deklaruje, że są transpłciowe, nie możemy założyć, że na ich życie nie wpływa fakt, że są po prostu kobietami" – tłumaczy. Ale to już nie mieści się w totalitarnej wykładni obowiązującej w Kanadzie.

Nie ma wątpliwości, że proces mający na celu zastąpienie biologicznie rozumianej płci tzw. tożsamością płciową w prawie, polityce i statystyce przybiera coraz ostrzejszą formę, ograniczając wolność badań naukowych, stosując cenzurę i sankcje dyscyplinarne. W Wielkiej Brytanii z takimi praktykami walczy np. Academics For Academic Freedom, apelując, aby uczelnie nie narzucały ideologicznych punktów widzenia i nie przekształcały się w organizacje polityczne. Przykład z Kanady pokazuje jednak, że ideologia wygrywa dziś z nauką i zdrowym rozsądkiem.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 9e18b405a8

Wątpliwości ateisty

Wielka Brytania

Brytyjski biolog Richard Dawkins, który uchodzi za jeden z największych autorytetów ruchu ateistycznego, nieco zaskoczył swoją publiczność, twierdząc że identyfikuje się jako „kulturowy chrześcijanin". Dodał również, że choć jest ateistą, identyfikuje się ze społeczeństwem chrześcijańskim i nigdy nie zamieniłby go na oparte na innej religii.

Richard Dawkins jest emerytowanym profesorem biologii z New College w Oksfordzie. Największą sławę zdobył jednak jako krytyk religii i promotor ateizmu. Jego najbardziej znanym dziełem jest książka „Bóg urojony" z 2006 r., w której opisał biblijnego Boga jako „ludobójczego, mściwego tyrana". Uważał też, mocno naciągając przy tym fakty, że wiara w Boga jest przyczyną największych zbrodni popełnionych w historii. Jego poglądy doskonale wpisywały się więc w antyreligijny i antychrześcijański nurt obowiązujący na Zachodzie.

Okazuje się jednak, że obumieranie chrześcijaństwa w Europie, do którego sam przyłożył rękę, mocno go dziś niepokoi. Nie chodzi o to, że ludzi wierzących jest coraz mniej, ale o to, że próżnię po chrześcijaństwie zaczyna wypełniać agresywny islam. „Nie byłbym szczęśliwy, gdybyśmy np. stracili wszystkie nasze katedry i nasze piękne kościoły parafialne" – stwierdził Dawkins w wywiadzie dla londyńskiego radia LBC udzielonym w wielkanocną niedzielę. „Uwielbiam pieśni i kolędy. W pewnym sensie czuję się w etosie chrześcijańskim jak w domu. Mam poczucie, że jesteśmy krajem chrześcijańskim" – zaznaczył, dodając, że „byłoby okropne", gdyby religia chrześcijańska została zastąpiona w Wielkiej Brytanii przez inną.

Mówiąc o „innej" religii, Dawkins miał na myśli islam. Podczas rozmowy stwierdził, że musi bardzo ostrożnie dobierać słowa – jak można się domyślać – w obawie o własne bezpieczeństwo. Ostatecznie przyznał jednak, że niepokoi go spadek frekwencji w kościołach chrześcijańskich i rosnąca liczba meczetów w Europie. „Gdybym miał wybierać między chrześcijaństwem a islamem, za każdym razem wybrałbym chrześcijaństwo" – podkreślił. W opinii Dawkinsa chrześcijaństwo w odróżnieniu od islamu jest „bardzo przyzwoitą religią". Zapytany, co jest nieprzyzwoitego w islamie, odpowiedział, że „doktryny islamu, hadisy i Koran są zasadniczo wrogie kobietom i wrogie gejom".

Obrona kultury chrześcijańskiej nie jest pierwszą tego rodzaju zaskakującą wypowiedzią Dawkinsa. W 2021 r. naraził się on wielu środowiskom lewackim, stając w obronie biologicznej płci i protestując przeciwko genderowym koncepcjom „płci kulturowej". Dziś najsłynniejszy brytyjski ateista otwarcie mówi o walorach chrześcijaństwa. Po wielu latach zrozumiał, że nie da się bez końca piłować gałęzi, na której samemu się siedzi.

Konrad Kołodziejski

Fot. David Shankbone/wikipedia

Niewolnictwo XXI w.

W ambasadzie Włoch przy Stolicy Apostolskiej odbyła się konferencja poświęcona współczesnemu handlowi żywym towarem. Jak stwierdził Davide Dionisi, specjalny pełnomocnik rządu włoskiego ds. wolności religijnej, błędem byłoby uważać ten problem jedynie za „dziedzictwo kompanii kolonialnych z przeszłości", ponieważ „handel ludźmi jest najbardziej rozpowszechnioną formą niewolnictwa w XXI stuleciu".

Według raportów ONZ w latach 2016–2021 liczba ludzi na świecie, którzy stali się ofiarami niewolnictwa, wzrosła z 40,3 do 49,6 mln. Wśród nich znajduje się 6,3 mln osób zmuszanych do prostytucji. Nowoczesne formy niewolnictwa obejmują m.in. przymusowe żebranie, handel narządami oraz rekrutację nieletnich do kwitnącej turystyki pedofilskiej.

Ten proceder – jak podkreśliła s. Abby Avelino ze wspólnoty Talitha Kum, przeciwdziałającej handlowi żywym towarem – rozwija się dziś bujnie dzięki masowym migracjom angażującym siatki przemytników, ponieważ pozbawieni domów i ojczyzn ludzie stają się łatwym łupem oraz idealnym towarem dla gangów. Pod tym względem, jak stwierdziła zakonnica, 2023 r. był jednym z najgorszych.

We Włoszech – jak podkreślali uczestnicy konferencji – największy problem stanowi przymusowa prostytucja. Według tamtejszego MSW jest ona trzecim źródłem dochodów organizacji przestępczych, po handlu bronią i narkotykami. Szacuje się, że ok. 60 proc. prostytutek to osoby nieletnie. Najczęściej są one zmuszane do świadczenia „usług seksualnych" przez bicie, a niekiedy nawet tortury. Nie mogą też liczyć na współczucie klientów, którymi najczęściej są liberalni obyczajowo przedstawiciele zamożnych społeczeństw Zachodu.

Instytucją, która najczęściej przychodzi na ratunek tym ofiarom, jest Kościół katolicki, np. Wspólnota Jana XXIII, która działa w 60 krajach świata i pomaga kobietom wyrwać się ze szponów prostytucji. Jak mówi ks. Aldo Buonaiuto: „Nie przynosimy im gorącej herbaty i prezerwatyw, ale chcemy je wyzwolić z niewoli".

Grzegorz Górny

Włochy

eprasa.pl 9e1

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Kładka jako kiełbasa wyborcza

Jan Pietrzak

Przed wyborami samorządowymi warszawiacy zostali obdarowani przez prezydenta Warszawy kładką rowerową. Taka tradycja, że szczodra władza przypomina, co społeczeństwo jej zawdzięcza. Dawniej mówiło się o przedwyborczych prezentach, że są kiełbasą wyborczą. Prawdopodobnie po analizach ekspertów z Collegium Humanum ratusz doszedł do wniosku, że na kiełbasę w obecnej kampanii nie ma co się powoływać. Chłopi na traktorach okupują drogi z powodu Zielonego Ładu i nie mają czasu zajmować się trzodą oraz bydłem w oborach. Jak długo będą blokować, jeden Tusk to wie, bo on wie wszystko. W razie czego Sylwia Spurek mu doradzi, bo ona o bydle wie jeszcze więcej.

W niejasnej sytuacji mięsno-drogowej zdecydowano, że kładka odegra rolę kiełbasy. Podnieci wyborców. Zachęci do wyjścia z domu. Starsze roczniki pamiętają zupę z wkładką mięsną, szczytowe osiągnięcie gastronomiczne peerelu. Wracając do Trzaskowskiego, na rowerzystów może liczyć. Kierowcy samochodowi w życiu na niego nie zagłosują. Uporczywa walka z ruchem samochodowym w stolicy stała się jego znakiem firmowym, a efektem tej obsesji jest uliczny kołek zaporowy. Zwany także słupkiem, palikiem, pachołkiem... w zależności od regionu pochodzenia neowarszawiaka. Tych pachołków Trzask natrzaskał setki tysięcy. To jest jego naturalny elektorat: kołki, pachołki, słupki, paliki, magistrackie współpracowniki. Czy wystarczy na sukces?

Według zasady naczyń połączonych udział w koalicji 13 grudnia też będzie mieć wpływ na wynik, logicznie rozumując. Ale czy tu w ogóle obowiązuje jakaś logika? Jeżeli żadne zapowiedzi nie są realizowane, to nic się nie trzyma kupy. Jest jeden konkret: podatku VAT na żywność według obietnic miało nie być. Natomiast miała być kwota wolna od podatku. Wyszło odwrotnie. Nie ma kwoty wolnej, a VAT będzie wprowadzony! Taka odwyrtka nastąpiła. Rutynowy konkret w tym gronie. Mówią co innego, robią co innego, a myślą absolutnie inaczej, co nie jest przypadkiem, lecz świadomym ogłupianiem rodaków. Niebawem ujrzymy, jak to się przełoży na nasz los...

Pośpiewam o tym w piątek 12 kwietnia w Społecznym Domu Kultury, ul. Słowackiego 19.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Bez sianka

Dominik Zdort

Wielkanocne wydanie potężnego dziennika. Niemal całą okładkę, jak to się robi w świątecznych wydaniach gazet, zajmuje duża ilustracja. Zdjęcie rodziny. Ale nie świętej rodziny, lecz familii aktora znanego z filmów w czarnych barwach pokazujących polskie tradycje i Kościół katolicki.

Na froncie pisma nigdzie nie pada słowo „Wielkanoc", nawet drobnym druczkiem. Tym bardziej nie uświadczymy takich określeń jak Męka Pańska, Ukrzyżowanie czy Zmartwychwstanie. Jedyny motyw świąteczny to zajączek, jakby wstawiony przypadkiem (uff, komuś przyszło do głowy, iż trzeba zasygnalizować, że to specjalna okazja).

Z motywów religijnych jest tylko zapowiedź tekstu „Wielki brzuch Tomasza z Akwinu". To materiał o obżarstwie zakonników.

Pierwszy tekst magazynowej części pisma to wywiad o nadziei – z psychologiem, który już na wstępie deklaruje, że nie wyznaje żadnej religii, jeśli inspiruje go cokolwiek ze sfery duchowej, to buddyzm i taoizm.

Kolejny świąteczny materiał: o pieczeniu sernika, ale żeby oderwać się od naszych zaściankowych tradycji, to sernik baskijski.

Następny tekst: felieton modnego prawnika związanego z obozem rządzącym (przyznajmy, czasem odrobinę symetryzującego). Pod koniec tekstu wreszcie jakiś motyw religijny, pierwszy raz w tym wydaniu pisma (na str. 13), choć bardziej z motywami z „Mistrza i Małgorzaty" niż ewangelii. Jezus jest tu porównywany do Cristiano Ronaldo i Harry'ego Pottera, no ale w końcu pojawia się Wielki Tydzień i Triduum Paschalne... Za co, Szanowny Panie Mecenasie, należy Panu podziękować.

W następnym ciągu tekstów niektóre nawet o religii. Np. wywiad dwóch zaciekłych antyklerykałów z podobnym im radykałem, atakującym polskich biskupów, oraz niemądry felieton pewnej pani na temat nowego przewodniczącego Episkopatu. I jeszcze parę materiałów o niczym.

Opisuję to nie dlatego, aby się oburzać czy krytykować. W końcu gazeta, o której wspominam, stała się ostatnio organem radykalnego ruchu zabiegającego o zniszczenie chrześcijaństwa, trudno się więc dziwić.

Chcę pokazać zmianę. Na froncie tego dziennika nie tak dawno na wszystkie święta były pokazywane malarskie arcydzieła związane z chrześcijańską tradycją, a przed Bożym Narodzeniem dołączano torebeczkę z siankiem. Malkontenci narzekali, że to sianko żydowskie, ale odpowiadano im, że Jezus leżał właśnie na żydowskim.

Dziś już nie ma sianka. Ani żydowskiego, ani chrześcijańskiego.

eprasa.pl 9e18b405a8

BRONISŁAW WILDSTEIN

Szczujni moralizatorzy

Sercanin, dyrektor grupy Profeto, ks. Michał Olszewski święta spędził w więzieniu, gdzie decyzją sądu osadzony został tymczasowo na trzy miesiące. Zatrzymany został rano w wielki wtorek, ale wysiłki jego adwokata, aby dowiedzieć się więcej o sprawie i spotkać z nim oraz domaganie się tego ze strony ks. Olszewskiego odniosły skutek dopiero ok. południa dnia następnego. Uniemożliwienie kontaktu z obrońcą przez półtora dnia w tego typu sytuacji budzić powinno niepokój. Co więcej, adwokat naciskany był, aby zrezygnował z obrony ks. Olszewskiego.

Czy naprawdę należało osadzić sercanina w areszcie na święta? Sfora medialna, która już go skazała i nawołuje do ostrzejszego wzięcia niepokornych za twarz, nie posiada się z radości. Napastuje jego najbliższych i rozpowszechnia niepoparte niczym insynuacje o złym prowadzeniu się księdza. Jeśli jednak usiłujemy wczytać się w zarzuty, to rację przyznać trzeba mecenasowi Wąsowskiemu, który stwierdził, że Olszewski oskarżony został o to, iż kierowana przez niego instytucja wygrała konkurs zorganizowany przez Fundusz Sprawiedliwości. Jeśli jednak Olszewski ma być „przyjacielem" byłego ministra sprawiedliwości – co skądinąd nie jest prawdą, ale wystarczy, że go zna – i do tego księdzem, sprawa wydaje się być rozstrzygnięta.

Przy akompaniamencie wybijanych w domu Zbigniewa Ziobry szyb i nic nie widząc przez zaklejone tam kamery, zaczynamy się znieczulać na sprawy takie jak traktowanie ks. Olszewskiego. A nie powinniśmy.

Jakie konsekwencje wielka akcja dyfamacji i oskarżeń przyniesie kierowanej przez niego instytucji i jemu osobiście?

W 2018 r. ks. Jacek Stryczek, założyciel fundacji Wiosna i inicjatywy Szlachetna Paczka, został oskarżony o mobbing, czyli znęcanie się nad swoimi pracownikami.

Akcję zainicjował tekst Janusza Schwertnera w Onecie, który dał sygnał do nagonki na księdza, a sprawą zajęła się prokuratura. Uważniejszy czytelnik jego niezwykle długiego tekstu mógłby być zdziwiony. 21 anonimowych i 4 podpisane relacje nie odwoływało się do żadnych konkretów. Były to niezwykle egzaltowane opisy frustracji pracowników, którzy mieli przeżywać głębokie stresy w konsekwencji presji, którą wywierał na nich szef. Autorowi zarzucić można, że pominął istotne informacje, np. to, że oskarżyciele ks. Stryczka sami o mobbing byli oskarżani. Mimo to artykuł Schwertnera potraktowany został jako niekwestionowalna prawda i uruchomił lawinę potępień oraz oskarżeń wobec księdza ze strony dominujących mediów. Konkrety się nie pojawiły, ale nagonka przerodziła się w medialny lincz, a świetnie rozwijająca się charytatywna inicjatywa została zniszczona.

Po kilku latach z braku jakichkolwiek podstaw prokuratura śledztwo umorzyła.

Organizatorzy linczu na ks. Stryczku, włącznie z jego inicjatorem, nie poczuwali się jednak do winy. Mieli poczucie spełnionego zadania. „Tango down" – tym określeniem, oznaczającym w slangu NATO likwidację wrogiego celu, skomentował Schwertner na Twitterze rezygnację ks. Stryczka z funkcji prezesa Wiosny. Za tę akcję zebrał pakiet nagród, nie wiem dlaczego nazywanych dziennikarskimi. Przecież jego celem było nie dochodzenie prawdy, ale niszczenie ideowego przeciwnika, jakim jest dla liberałów Kościół, a być może także likwidacja szeroko rozumianej społecznej konkurencji. No, ale widać dziś, że to ma być celem dominujących mediów.

Czy za kilka lat o sprawie ks. Olszewskiego mówić będziemy tak jak o zniszczeniu Wiosny oraz jej organizatora? Dyrektor grupy Profeto potraktowany został dużo bardziej brutalnie i zaatakowany przez cały aparat represji reżimu Tuska. Czy chodzi o zastraszenie Kościoła?

Sprawa Wiosny przypomniała się mi jeszcze z jednego powodu. Otóż Schwertner, który został po drodze redaktorem naczelnym jakiegoś portalu wystąpił ostatnio w roli moralisty. Zgromił Rafała Ziemkiewicza za: „chamstwo i skrajny, patologiczny, deficyt empatii". W rzeczywistości Ziemkiewicz potępił bezpodstawne wykorzystywanie śmierci do celów politycznych, co uprawia partia Tuska, a w czym uczestniczyła niestety posłanka Magdalena Filiks, matka 15-letniego samobójcy.

Organizatorzy kampanii nienawiści odpowiedzialni za niszczenie niewinnych ludzi i szlachetnych inicjatyw występują w kostiumach sędziów etycznych. Ta niestety typowa dla III RP groteska staje się dziś wyjątkowo drastyczna. Funkcjonariusze medialni nawołują wręcz do terroru, a koalicja 13 grudnia chwali się jego planami. Jak zwykle ma to służyć przywracaniu praworządności, tak jak likwidacja opozycji ma przywrócić demokrację.

Zapamiętajmy rzeczników tego przedsięwzięcia.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e18b405a8

Walizka Natalii Pasiut

artystki tancerki, solistki Polskiego Baletu Narodowego, trenerki Gyrotonic oraz jogi i movement director w reklamach

Większość moich podróży jest związana z pracą i moimi pasjami. Po ukończeniu Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Romana Turczynowicza w Warszawie dołączyłam do zespołu Anhaltisches Theater Dessau w Niemczech, następnie baletu Opery Nova w Bydgoszczy. Obecnie tańczę wiodące partie w całym bieżącym repertuarze Polskiego Baletu Narodowego, m.in. w choreografiach Johna Neumeiera, Wayne'a McGregora, Krzysztofa Pastora czy Kennetha McMillana. Po zakończeniu sezonu artystycznego w teatrze zawsze latem mamy ok. miesięczną przerwę. Jest to świetna okazja do wielu wyjazdów, co w moim przypadku nie oznacza braku treningów. Oprócz wakacyjnych przyjemności i odpoczynku zawsze wykorzystuję ten czas na szkolenie i rozwój w różnych technikach ruchowych, biorę udział w kursach Gyrotonic czy warsztatach tanecznych, lubię się inspirować i poznawać pracę tancerzy i baletmistrzów w innych zespołach w Europie. Dlatego w mojej walizce nie zabraknie takich przedmiotów jak:

POINTY

Nawet w wakacje nie mogę robić zbyt długiej przerwy od noszenia tego twardego i zniekształcającego stopy obuwia. W przeciwnym razie powrót na scenę po urlopie mógłby być znacznie bardziej bolesny.

PIŁKA GOLFOWA

Jako najlepszy masażer do stóp (w tym przypadku to prezent od innego tancerza).

KURTKA

Idealna do rozgrzewki kurtka Uniqlo (zmieści się wszędzie).

eprasa.pl 9e18b405a8

ANALOGOWY APARAT FOTOGRAFICZNY
Na kliszę! Ten sam, który otrzymałam jako prezent 20 lat temu.

KOSMETYKI
Poza tym skin care, kremy, kosmetyki do makijażu, ulubiona szminka Chanel i na każdy wyjazd wyjątkowe perfumy (tym razem Glossier przywiezione z Los Angeles, gdzie zatańczyliśmy z Krisem dwa piękne koncerty).

ŚRODKI PRZECIWBÓLOWE
Profesjonalny taniec jest związany z ekstremalnym obciążeniem organizmu, a przez to także z bólem – czasami nie da się tego uniknąć.

KALENDARZ Z AGENDĄ
Zapisuję plan pracy i umówione zajęcia z klientami w moim studiu.

BIŻUTERIA I PIERŚCIONEK ZARĘCZYNOWY
Ślub we Włoszech już za trzy miesiące!

WYGODNE OBUWIE
Tak dla odmiany.

KAPELUSZ
Taki sam, z jakim tańczyłam jedną z mych ukochanych ról: Prudencję w „Damie Kameliowej" Johna Neumeiera.

OCZYWIŚCIE KSIĄŻKI
Tym razem „Gerard Wilk. Tancerz" autorstwa mojej kochanej prof. Zofii Rudnickiej, wspomina ona w niej również mojego narzeczonego Kristófa.

SŁUCHAWKI
Bo muzyka jest dla mnie bardzo ważna. Gdybym się nie uczyła w szkole baletowej, pewnie bym wybrała szkołę muzyczną.

BUTELKA NA WODĘ
Nawadnianie to podstawa.

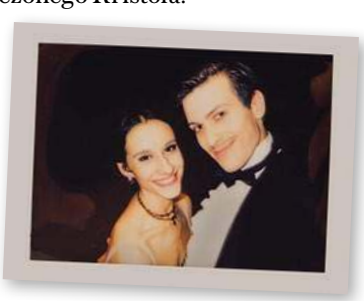

KRISTÓF
Jeżeli o Kristófie mowa, to on zazwyczaj jest organizatorem moich podróży i kompletuje nasze bagaże. Nie wiem, jak udaje mu się zmieścić w małej walizce wszystkie moje zachcianki związane z garderobą, ale jest w tym świetny! Niedawno to on prezentował wnętrze swojej walizki i w związku z tym, że choruje na cukrzycę typu 1, w większości była ona wypełniona sprzętem medycznym. Ja natomiast zawsze mam przy sobie zastrzyk z glukagonem na wypadek utraty przez niego przytomności i wszelkiego rodzaju przekąski na podniesienie poziomu cukru we krwi.

ZDJĘCIE PAMIĄTKOWE
Z najbliższą rodziną (po prawej) i z Krisem na scenie po premierze w roli Olimpii (zdjęcie po lewej).

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, Ewa Krasucka/TWON, zdjęcia z archiwum bohaterki

eprasa.pl 9e18b405a8

Bez echa

Samuel Pereira

Gdy 28 marca Patryk Słowik ujawnił na Wirtualnej Polsce machloje władzy i podejrzane działania posła, a później ministra oraz prokurator Ewy Wrzosek, media w Polsce praktycznie nie podchwyciły tematu, a zagranicznej reakcji nie było żadnej. Nikt nie podważył prawdziwości doniesień portalu, po prostu przemilczano temat, co zachęciło władzę do ostrzejszych działań.

Następnego dnia rano zamiast uderzyć się w piersi i przeprosić za ujawnioną aferę premier Donald Tusk postanowił rzucić kamieniami i insynuacjami. „Tym, którzy bezinteresownie odważyli się kilka lat temu wystąpić przeciw kłamstwom i złodziejstwu władzy, należy się szacunek. Szczególnie od tych, którzy na współpracy z tą władzą nieźle zarabiali. Wiecie, o czym mówię". Szef rządu staje w obronie skompromitowanej prokurator i pozwala sobie organizować nagonkę na dziennikarza. Dlaczego? Bo może, a konkretnie – na to mu pozwolono. Przecież gdy groził reporterom TVP, był rechot i przyzwolenie. Dziś idzie dalej i wysyła sygnał: w sprawie zamachu na media macie mi klaskać lub siedzieć cicho, a kto się nie podporządkuje, dostanie po głowie. Przekaz prosty, acz dobitny i obawiam się, że trafiający na podatny grunt, bo przecież jeśli spojrzymy na poglądy przeważającej większości mainstreamowych mediów, to do uwielbienia dojdzie po prostu dodatkowo strach i tyle.

Tylko jak to jest, że za granicą cała sprawa nie odbiła się żadnym echem, a rankingi wolności prasy w Polsce nawet nie drgnęły? Premier dużego europejskiego kraju ogłasza nagonkę na dziennikarza, bo ujawnił machloje przy operacji przejęcia mediów publicznych? Oj tam, oj tam. W ten sposób zaciska się pętla i demokracja zaczyna pełzać w kierunku dyktatury. Kiedyś powiedzielibyśmy, że w systemie Tuska wystarczy nie lubić PiS i można cieszyć się wolnością oraz praworządnością, ale okazuje się, że i to nie wystarczy. Teraz masz wielbić władzę, bo jak nie, to jeśli będzie trzeba, najwyższe gremia pokażą ci twoje miejsce w szeregu. Uśmiechacie się?

Pierwszy krok do świata filmu

Z Łukaszem L.U.C. Rostkowskim, twórcą, wykonawcą i producentem muzycznym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Można powiedzieć, że na skrzydłach Orła dofrunął pan do świata filmu.

Łukasz Rostkowski: Nagroda za najlepszą muzykę, przyznawana przez branżę filmową, wprowadziła mnie do grona Polskiej Akademii Filmowej. Spełniło się marzenie, o które walczyłem wiele lat, ale wiele lat też tchórzyłem, bo nie podejmowałem jego realizacji. Odebranie statuetki Orła to była wielka chwila.

Dotarliście do imponującej liczby odbiorców.

Gorące przyjęcie filmu, w tym muzyki, przerosło nasze oczekiwania. Ale to też wynik talentu wielu ludzi. W tym tych, którzy wzięli udział w projekcie Rebel Babel Film Orchestra, do którego zaprosiłem wiele wspaniałych orkiestr i muzyków.

Muzyka do filmu „Chłopi" miała przekroczyć granice Reymontowskiej wsi Lipce?

Chcieliśmy wyjść poza łowicki, mazowiecki folklor, pokazać szerszy obraz polskiej czy też słowiańskiej muzyki. Ponad granicami. Mieliśmy też przyjemność zaprezentować naszą muzykę na specjalnym przedoscarowym pokazie, gdzie mogłem poznać światowych kompozytorów i producentów muzyki filmowej. Znalezienie się w takim otoczeniu, w tym środowisku, było dla mnie przekroczeniem najśmielszych marzeń.

Co teraz?

Ten film wiele mi dał, ale i zabrał osiem lat, w tym trzy pierwsze z życia mojego syna. Teraz liczy się więc głównie rodzina, ale mamy już propozycję na kolejny film i trwają rozmowy z agentem w Los Angeles. Dużo się dzieje, z tym że ja zachowuję spokój.

eprasa.pl 9e18b405a8

Tzw. mowa nienawiści

Marta Kaczyńska-Zielińska

J. K. Rowling zamieściła na platformie X (d. Twitter) wpis, w którym omawia przykład kilku transpłciowych kobiet i stwierdza, że według niej wszystkie z nich to mężczyźni. Autorka serii książek o Harrym Potterze oświadczyła, że jeśli wyrażona przez nią opinia nosi znamiona popełnienia przestępstwa w myśl przepisów obowiązującej od niedawna w Szkocji ustawy o przestępstwach z nienawiści, to „nie może się doczekać, aż zostanie aresztowana, kiedy wróci do miejsca narodzin szkockiego oświecenia". Warto zwrócić uwagę, że zgodnie z nowymi szkockimi przepisami podsycanie nienawiści wobec kobiety ze względu na płeć nie stanowi przestępstwa, natomiast nielegalne jest propagowanie nienawiści do mężczyzn przebierających się za kobiety. Szczęśliwie w odniesieniu do wypowiedzi słynnej pisarki premier Wielkiej Brytanii Rishi Sunak stwierdził, że nie należy karać ludzi za stwierdzanie prostych faktów odnoszących się do biologii i opowiedział się za ochroną wolności słowa, której konserwatyści zawsze będą bronić.

W primaaprilisowy poniedziałek w Szkocji weszła w życie ustawa wymierzona w tzw. mowę nienawiści – według ustawodawcy mająca służyć ochronie przed groźbami i nadużyciami, przez krytyków uznawana za potencjalne narzędzie do ograniczania wolności słowa. Ustanawia ona nowe przestępstwo polegające na „wzbudzaniu nienawiści" wobec długiej listy „cech chronionych". Należą do nich: „rasa, kolor skóry, narodowość, obywatelstwo, pochodzenie etniczne lub narodowe, wiek, niepełnosprawność, religia, w przypadku grupy społecznej lub kulturowej postrzegana przynależność religijna, orientacja seksualna, tożsamość transpłciowa [lub] cechy płciowe".

Przepisy pozwalają na szeroką interpretację, bo ocena, czy dane zachowanie wypełnia znamiona przestępstwa, jest subiektywne. W przypadku niesłusznego zawiadomienia anonimowy zgłaszający nie ponosi żadnych konsekwencji, w przeciwieństwie do oskarżonego, który łatwo może wpaść w gehennę procedury karnej. Trzeba bowiem wspomnieć o tym, że anonimowo można zgłosić popełnienie omawianego przestępstwa nie tylko na komisariacie, lecz także w jednym z wyznaczonych punktów, do których należą np. sklepy dla zwierząt czy sex shop. Szkocka ustawa o mowie nienawiści ma zastosowanie do wszystkich form komunikacji, od prywatnych rozmów poprzez wiadomości wysyłane za pośrednictwem internetowych komunikatorów, a także wszelkich zachowań, które „rozsądna osoba uznałaby za stanowiące groźbę, obelgę lub obrazę". Szkoci będą mogli zostać pociągnięci do odpowiedzialności karnej za to, co powiedzieli lub jak się zachowali zarówno w zaciszu własnego domu, jak i publicznie. Sankcje za wzbudzanie nienawiści obejmują grzywny i kary pozbawienia wolności aż do 7 lat.

Obrońcy praw kobiet obawiają się, że ekstremistyczni aktywiści wykorzystają nowe ustawodawstwo, aby ograniczać wolność słowa przeciwników ideologii gender.

Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, uchwalona przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1948 r., w art. 19 stanowi, że każdy ma prawo do wolności poglądów i ich swobodnego wyrażania; prawo to obejmuje swobodę posiadania niezależnych poglądów, poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania informacji oraz idei wszelkimi środkami przekazu, bez względu na granice.

W ostatnich tygodniach posłowie do Parlamentu Europejskiego wezwali Radę, aby poczyniła postępy w zakresie prawodawstwa zapewniającego każdej osobie znajdującej się na terytorium UE odpowiedni poziom ochrony przed nienawiścią. Według parlamentarzystów Rada powinna przyjąć decyzję o włączeniu mowy nienawiści i przestępstw z nienawiści do przestępstw w rozumieniu art. 83 ust. 1 TFUE (obok najcięższych przestępstw, takich jak terroryzm, handel ludźmi, seksualne wykorzystywanie dzieci i inne wymienione we wskazanym przepisie) do końca obecnej kadencji, tak aby we wszystkich państwach członkowskich obowiązywały normy minimalne w zakresie ustawodawstwa karzącego za mowę nienawiści. W Ministerstwie Sprawiedliwości trwają prace nad poszerzeniem zakresu przesłanek, które będą postrzegane jako dyskryminacyjne lub pogardliwe, w szczególności względem osób identyfikujących się jako przedstawiciele mniejszości seksualnych.

REKLAMA

21/0324/F

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 9e18b405a8

TRENDY I OWĘDY

Gdzie te miliardy?

Polska zwija się w imponującym tempie

„Nadwyżka budżetu państwa wciąż jest ogromna. Wyniosła ok. 27,2 mld zł". Tak było po październiku 2022 r. Deficyt na koniec tego roku – 12,6 mld. Szacunkowy deficyt budżetu państwa w okresie styczeń–wrzesień 2023 r. na koniec września – 34,7 mld zł. W 2023 r. budżet został znowelizowany z deficytu wielkości 68 mld zł do maksymalnie 92 mld zł. Warto przypomnieć, że na 2020 r. rząd PiS planował budżet bez deficytu. Niestety wyskoczył COVID-19, potem wojna, ale państwo gospodarczo dawało radę. Wystarczało na zbrojenia, inwestycje, programy społeczne, a kwota wolna od podatku doszła do 30 tys. zł. Pojawiły się rezerwy złota. I to by było na tyle.

Ryszard Makowski

Wróciły rządy wybitnych ekonomistów spod znaku Platformy Obywatelskiej i już po trzech miesiącach pojawiają się obawy co do stabilności budżetu. Obecna dziura budżetowa to 184 mld zł!!! Jak to się mówi – mają rozmach! Ale jak wynika z analizy specjalistów z banku Citi Handlowy: „Nadchodząca rewizja budżetu" i ta astronomiczna kwota niedoboru może się okazać za mała i będzie konieczna nowelizacja wydatków rzędu 30 mld zł.

I tutaj pojawia się pytanie – co się dzieje z tymi miliardami? PiS udowodniło, że w naszej gospodarce jest na tyle dużo pieniędzy, że nawet brak wypłat z KPO, blokowanych przez Brukselę, nie stanowił problemu. Obecnie rząd ogłosił tryumfalnie, że mają te 600 mld od cioci von der Leyen. Nie ogłosił tylko, dla kogo są te pieniądze. Wygląda na to, że nie było bardziej opłacalnej inwestycji w historii Niemiec niż inwestycja w reelekcję Donalda Tuska.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

*REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR, ABDEL KAREEM HANA/AP PHOTO/EASTNEWS, KPRP, EPISKOPATNEWS, SHUTTERSTOCK

Reklama | 20/0324/F

eprasa.pl 9e18b405a8

NARODOWY BANK POLSKI

Narodowy Bank Polski informuje:

Reakcja NBP na złożenie politycznego wniosku o Trybunał Stanu dla Prezesa NBP

Dziś stoimy wobec próby złamania niezależności polskiego banku centralnego podjętej przez stu kilkudziesięciu posłów, a to przez wniosek o postawienie prezesa NBP Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. To nie jest sprawa personalna jednej osoby, to rozbijanie podstaw państwa polskiego i jego gospodarki.

Podstawowy zarzut to zakup na rynku wtórnym obligacji emitowanych lub gwarantowanych przez Skarb Państwa, co, jak twierdzą oskarżyciele, stanowi złamanie Konstytucji.

NBP, tak jak FED, BoE i ECB, dokonywał skupu obligacji w okresie covidu; w latach 2020-21 skupił ok. 144 mld zł obligacji. Operacje te były przeprowadzane z zachowaniem najwyższych standardów, na otwartych aukcjach ogłaszanych publicznie, dostępnych dla wszystkich banków mających dostęp do systemu transakcyjnego NBP.

W okresie COVID NBP podjął szereg działań nadzwyczajnych: RPP obniżyła podstawową stopę procentową do 0,1%, poziom rezerwy obowiązkowej banków, na wniosek NBP zniesiono bufor ryzyka systemowego. Działania te odniosły skutek: inflacja powróciła do celu, PKB jest większy o 10% wobec 2019 r., mamy historycznie niskie bezrobocie.

Jak wyglądałaby alternatywa wobec tego, co zaszło w latach 2020-21? Wystąpiłby głęboki spadek PKB (mieliśmy tylko 2%, we Francji i Hiszpanii 7-11%), brak warunków dla stabilności cen, kryzys systemu finansowego, upadek tysięcy firm, bezrobocie i ze względu na dużą mobilność Polaków kolejna fala emigracji. Słowem: podmycie fundamentów naszej gospodarki i waluty. Tak osłabiona Polska stanęłaby wobec ataku hybrydowego na granicę z Białorusią, a następnie inwazji Rosji na Ukrainę.

Działania NBP były uzasadnione ekonomicznie i zgodne z prawem. Artykuł 227. Konstytucji stanowi, że NBP przysługuje wyłączne prawo emisji pieniądza oraz ustalania i realizowania polityki pieniężnej. To prawo wyłączne, NBP nie ma obowiązku uzgadniania polityki pieniężnej, a inne instytucje nie mogą wkraczać na ten obszar. Ponadto Ustawa o NBP jasno stwierdza, w artykule 48., że NBP może skupować i sprzedawać dłużne papiery wartościowe w ramach operacji otwartego rynku.

Jesteśmy oskarżani za to, co możemy i powinniśmy robić. Wnioskodawcy tworzą stan, w którym w przypadku podobnych zagrożeń w przyszłości, Polska będzie bezbronna, a osoby zajmujące funkcje publiczne będą się bały podejmowania decyzji. Komunikat, który dziś został wysłany brzmi: Jeżeli w chwili zagrożenia, wykażesz spokój, odwagę i wiedzę, podejmiesz konieczne decyzje, odniesiesz sukces, wyciągniesz kraj z opresji, to zwycięzca kolejnych wyborów będzie chciał wsadzić Ciebie do więzienia.

Ten atak się nie powiedzie, niezależności NBP nie da się złamać ani zniszczyć.

eprasa.pl 9e18b405a8

To polityczne zlec

Michał Karnowski rozmawia ze Zbigniewem Ziobrą, byłym ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym, liderem Suwerennej Polski

Kiedy się pan dowiedział o chorobie? Kiedy ta straszna diagnoza wybrzmiała nieodwołalnie?

Zbigniew Ziobro: To było już pod koniec urzędowania. Od jakiegoś czasu odczuwałem pewne dolegliwości, ale z braku czasu głębszą diagnozę ciągle odkładałem na później. Dziś mogę tylko poprosić wszystkich, by nie lekceważyli żadnych niepokojących objawów, by się badali. U mnie była to mocna, nasilająca się chrypka, potem bóle zamostkowe. Zbadałem się nawet pod kątem zawału, bo mam takie genetyczne wskazania. Nie przyszło mi do głowy, że przyczyną jest nowotwór. Doszło do tego, że ból nasilił się do tego stopnia, że nie mogłem spać, zacząłem się bardzo pocić w nocy. Wtedy zdecydowałem się przebadać bardzo dokładnie. Gastroskopia wykazała w przełyku masywny, duży nowotwór zajmujący 7 z 20 cm przełyku. Endoskop z trudem w ogóle przeszedł przez tę strukturę. Mam zdjęcia tego nowotworu – wygląda jak obrzydliwa kostucha. Kolejne badania potwierdziły diagnozę.

Brzmiała jak wyrok?

Nikt nigdy tak tego nie ujął, ale nie było wątpliwości, że statystycznie szanse nie są duże, śmiertelność przy tym

eprasa.pl 9e18b405a8

Uprzedzam wszystkich – ekipa, która dziś rządzi, ma charakter kryminalny i przestępczy, nie warto być jej częścią, to wszystko będzie rozliczone

enie Tuska

Fot. Andrzej Wiktor

typie nowotworu jest bardzo wysoka. Postanowiłem jednak się nie poddawać, stoczyć bitwę życia. Wszystko to zbiegło się w czasie ze zmianą rządu i uznałem, że ze względu na lojalność wobec współpracowników muszę dotrwać do końca.

Nie uczynił pan z tego sprawy publicznej. Dlaczego?

Tak, starałem się ukrywać moją chorobę przed opinią publiczną. Przede wszystkim chciałem chronić dzieci przed taką interpretacją, która nieuchronnie pojawiłaby się w mediach, że tata umiera. Nie ukrywaliśmy przed nimi, że tata się leczy, że to poważne. Pragnąłem, byśmy przeszli przez to jako rodzina w możliwym spokoju. Byłem mocno zmotywowany, by pokonać tego gada, tę kostuchę, która chciała mnie zabić.

Mógł pan liczyć na rodzinę? Bliskich? Przyjaciół? W takich sytuacjach przekonujemy się, ile jest warte to, co zbudowaliśmy.

Tak. Nie zawiedli. Nikt nie zawiódł. Dla żony to było też oczywiście ciężkie doświadczenie, ale zrobiła wszystko, co w jej mocy, by mnie wesprzeć. Zaczęliśmy od planu B, od przygotowania wszystkiego na najgorszy scenariusz. Uporządkowaliśmy sprawy majątkowe, pokazałem jej, jak się obsługuje najważniejsze urządzenia w tym domu, gdzie są bezpieczniki, gdzie odłączyć wodę. Swoją drogą, przeszliśmy wtedy przez nasz dom tym samym szlakiem, którym szła potem ekipa przeszukująca go na polityczne zlecenie Tuska. Dla żony to były chyba najtrudniejsze chwile – były łzy, był wielki żal. Dobrze jednak, że to zrobiliśmy, szybko, konkretnie. Potem już ze spokojną głową o takie prozaiczne sprawy mogliśmy skupić się na planie A. Czyli na walce.

Jak ona wyglądała?

Najpierw chciałem poznać wroga, przeczytać o nim wszystko, co dostępne. Mój młodszy synek też włączył się w tę walkę: uruchomił mi chat GPT, któremu zleciliśmy raport o tym nowotworze, metodach leczenia. Ta analiza okazała się zaskakująco wyczerpująca, precyzyjna, pomocna, oczywiście tylko jako wskazówka dalszych poszukiwań.

Zaczął pan leczenie w Polsce?

Zanim odpowiem, jeszcze raz chcę podziękować całemu zespołowi szpitala onkologicznego w Lublinie, a szczególnie śp. pani prof. Elżbiecie Starosławskiej. To ona mnie przekonała, opierając się na najnowszych badaniach ze Stanów Zjednoczonych, iż ze względu na liczbę przerzutów standardowa droga leczenia nie daje wielkich szans na przeżycie, że trzeba zaryzykować. Zaryzykowałem i ta nowatorska terapia okazała się bardzo skuteczna. W dużym skrócie polegała ona na immunoterapii i skorygowanej chemioterapii. Dlatego w czasie leczenia nie utraciłem włosów, co przedstawiano jako rzekomy dowód na to, że symuluję chorobę. Chemioterapia miała jednak wiele innych, nieprzyjemnych reperkusji zdrowotnych.

Operację przeszedł pan jednak za granicą?

Operacja wstępnie była zaplanowana bądź w Lublinie, bądź w Zakopanem, u doskonałych specjalistów. Ale potem uznałem, że dalej muszę leczyć się za

eprasa.pl 9e18b405a8

granicą. Punktem przełomowym była rozmowa ze śp. prof. Starosławską, która przyszła do mnie przerażona, mówiąc, iż dostaje e-maile z groźbami, nie tylko wobec niej, lecz także całego szpitala. Ta wspaniała lekarka, onkolog, nigdy wcześniej nie spotkała się z niczym takim, to było dla niej szokiem. Poczułem dużą przykrość, że przeze mnie ma takie nieprzyjemności, a było tego więcej. Uznałem, że nie mogę narażać lekarzy i szpitali na takie szykany. Zdecydowałem się na operację za granicą, którą opłaciłem z własnych oszczędności. Był to zwykły szpital, nie żadna, jak niektórzy sugerują, ekskluzywna klinika.

Hejt na szpital, bo leczy się w nim polityk prawicy?

Niestety, w państwie Donalda Tuska, z tym serduszkiem przypiętym na marynarkach, na zapleczu mamy właśnie takie metody, hejt, nienawiść, brak ludzkich uczuć. Przecież to było nakręcane szyderstwami i kłamstwami, że symuluję. Najważniejsi ludzie z obozu Tuska dawali na to przyzwolenie. Nieco inaczej, muszę to przyznać, zachował się marszałek Sejmu Szymon Hołownia, który bez kpin uznał moje zwolnienie z obecności w Sejmie wystawione przez lekarzy onkologów. Podobną postawę przyjął wicemarszałek Piotr Zgorzelski. Napisałem do nich list z podziękowaniem i prośbą o powołanie zespołu lekarskiego, który by orzekł, czy i kiedy mogę zeznawać przed komisjami śledczymi.

Co by pan powiedział w oczy tym ludziom, którzy wtedy szydzili i nadal kpią z pana choroby, jak choćby pisarka Katarzyna Grochola?

Życzę im zdrowia. Trudno dodać coś więcej. Ludziom Tuska i jego radykalnym zwolennikom zaś doradzam, by zobaczyli, jak reżim Putina traktuje adwokatów i lekarzy ludzi stawiających opór ich władzy, by dostrzegli, jak bardzo to wszystko jest podobne do tego, co oni wdrażają w Polsce.

Oceniając dzisiaj, pozostanie pan aktywnym politykiem, uczestnikiem życia publicznego?

Walczę, nigdy się nie poddaję i nie poddam, choć mam świadomość, że wedle statystyk przeżywa tylko 30 proc. pacjentów dotkniętych takim nowotworem. Bardzo dziękuję za każdy gest wsparcia, każde dobre słowo, każdą modlitwę i nadal o nie proszę, to dla nas bardzo ważne. Nie ukrywam, że sytuacja, jaką mamy w Polsce dodaje mi sił i motywacji, by wrócić i pomóc skończyć z tym, co się dzieje. Nasz kraj potrzebuje sprawiedliwości. Ale podkreślam – do tego daleka droga, na razie wymagam rekonwalescencji, regularnego trybu życia, wielu zabiegów medycznych. Na przykład powinienem jeść małe posiłki, za to aż 7–9 razy dziennie. To skutek tego, że obecnie żołądek mam właściwie na płucu. Bywa, że to niemożliwe. Po akcji ludzi Tuska w moim domu musiałem jechać bez przerwy dziewięć godzin, by stawić się na kolejne przeszukanie. Taki był stan wyższej konieczności.

Rozmawiamy w pańskim domu pod Warszawą, na zwykłej polskiej wsi. Zobaczyłem rozwalone łomem drzwi, rozpruty sejf, rozebrane kafle pieca, powykrzywiane od siłowego otwierania okna. Czy nie mógł pan udostępnić domu służbom nasłanym przez Tuska dobrowolnie?

Ten obraz mówi więcej niż tysiąc słów i jest najlepszym komentarzem intencji tych, którzy tu przyszli. Gdyby się tylko ze mną skontaktowano, co nakazuje polskie prawo – zrobiłbym to natychmiast lub poprosił o to sąsiada, który ma klucze. Mój numer telefonu jest ten sam od lat, znają go w ministerstwie, prokuraturze. Wystarczyło zadzwonić. Co więcej, wracałem już do Polski, o czym wiedziano, bo mam świadomość, że jestem stale inwigilowany. Mogli poczekać kilkanaście godzin. Ale wtedy nie byłoby tego medialnego efektu, brudnej sugestii, iż jest jakaś afera, że ja coś ukrywam, że trzeba siłą wchodzić.

To w pańskiej ocenie wbrew prawu?

Polskie prawo zakłada, że tuż przed przeszukaniem należy się skontaktować z właścicielem nieruchomości i umożliwić mu jej otwarcie bez niszczenia mienia. Jednocześnie należy zapoznać go z postanowieniem wydanym przez organ zarządzający przeszukanie ze wskazaniem, czego domaga się prokurator czy sąd, umożliwić wydanie tych rzeczy. Żaden z tych elementów nie został zrealizowany.

Tu pada odpowiedź władzy, że było powszechnie wiadome, iż jest pan za granicą.

Czy telefony w Niemczech, a tam akurat byłem, nie działają? To w oczywisty sposób absurdalne tłumaczenie. Najpierw kłamali, że do mnie dzwonili, teraz wymyślają kolejne wymówki. Prawo nakazuje, by właściciel przeszukiwanej nieruchomości był obecny w czasie jego trwania lub upoważnił zaufaną osobę do obecności w trakcie tych czynności. Chodzi o to, by nie było podejrzeń, iż coś podrzucono czy ukradziono. W moim przypadku również, że zainstalowano podsłuch. Dziś takiej pewności nie ma. Zamiast mnie lub mojego reprezentanta służby wzięły przypadkową osobę, której nie znam i która nie mogła w odpowiedni sposób spełnić tego zadania. Podkreślam, że miała ona dobrą wolę i nie mam do niej pretensji. Nie chcieli mieć świadków, dlatego zakleili też kamery monitoringu. Jedną zauważyli dużo później, stąd wiem, co tu się działo i że było to nieprofesjonalne przeszukanie. Pozyskany w ten sposób materiał nie spełnia wymogów prawa.

Weszli w dużej sile?

Kilkudziesięciu funkcjonariuszy, potężna akcja, chodzili wszędzie i ryli wszystko przez pół dnia. Całość miała być manifestacją brutalnej siły i agresji wobec znienawidzonego przez Tuska byłego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Chodziło o obrazki dla uciechy gawiedzi. Jeszcze w grudniu dotarła do mnie informacja, że premier mówił w gronie zaufanych osób, iż zniszczy mnie i moją rodzinę. Ma to być zemsta za ujawnienie kilka lat temu zeznań niejakiego Marcina W., który był przez niego przedstawiany jako bardzo wiarygodny świadek koronny, gdy oskarżał Prawo i Sprawiedliwość o jakieś spiski, a który zeznał także o reklamówce z Biedronki z 600 tys. euro przekazanych przez syna Tuska dla pana Tuska seniora. To dobry przykład, że same zeznania to za mało, często świadkowie mieszają prawdę z konfabulacjami, czasem w ogóle zmyślają. Zawsze konieczna jest precyzyjna weryfikacja.

eprasa.pl 9e18b405a8

Fot. Andrzej Wiktor

Co zabrali funkcjonariusze?

Wszystko, co mogli. Prywatne dokumenty, wszelkie nośniki danych. W sumie co najmniej kilkanaście toreb. Nawet historyczne akta mojego dziadka, prześladowanego przez komunistów. Oraz akta dotyczące sprawy śmierci mojego ojca, które miałem wypożyczone legalnie i tuż po powrocie ze szpitala miały być zwrócone.

Dopuszcza pan myśl, że za tymi prześladowaniami stoi mafia, która straciła setki miliardów na walce rządów PiS, w tym pana, z przestępstwami VAT-owskimi? Obecny rząd na wstępie zapowiedział wypuszczenie z więzień 20 tys. skazanych.

To może być jeden z motywów. M.in. dzięki wprowadzonym przez nas przepisom dochody budżetu z VAT radykalnie wzrosły. Tusk pozwalał, by pod jego bokiem mafie VAT-owskie i paliwowe okradały Polaków na setki miliardów złotych. Eksperci alarmowali, że dzieje się wielkie złodziejstwo, on przez całe lata nie reagował. Ludzie, którzy powinni zajmować się walką z przestępczością, są używani do walki politycznej. Złodziejstwo zaraz wróci.

Mówi pan o ataku na rodzinę. Szykują ciąg dalszy?

Mogą o tym świadczyć brudne sugestie, które puszczają do mediów na temat mojej żony, mówią o jakiejś „pracy nad zeznaniami na jej temat". Co to jest „praca nad zeznaniami"? Bolszewickie metody. Będę jej bronił z całych sił, mimo choroby, bo jest wspaniałą żoną i matką, samodzielną zawodowo, dzielną kobietą, która „zawiniła" jedynie tym, że wyszła z mąż za Zbigniewa Ziobrę. Proszę zwrócić uwagę na samochód neoTVP, który codziennie od 5.00 do 22.00, a więc w godzinach, gdy służby dokonują zatrzymań i przeszukań, stoi kilkadziesiąt metrów od mojego domu. Stale trzech ludzi w środku, kamery. Siedzą i czekają – zapewne na jakiś cynk od władzy. Obrzydliwa presja, ale wytrzymamy i to. Nic nas nie złamie, nie poddamy się, przyjdzie czas na sprawiedliwość w tej sprawie.

> Ból nasilił się do tego stopnia, że nie mogłem spać. Gastroskopia wykazała w przełyku masywny, duży nowotwór zajmujący 7 z 20 cm przełyku. Wygląda jak obrzydliwa kostucha. Postanowiłem jednak się nie poddawać, stoczyć bitwę życia

Władza i media rządowe kreują temat rzekomej „afery funduszu sprawiedliwości". Jak pan się do tego odnosi?

Nie ma żadnej afery, jest wielka zasługa. Chcąc efektywnie wydawać pieniądze dla osób pokrzywdzonych, Ministerstwo Sprawiedliwości uznało, że warto zbudować klinikę dla osób pokrzywdzonych w wypadkach drogowych. Często są to osoby w stanie śpiączki, wymagające długotrwałej, troskliwej opieki i rehabilitacji. Rodziny ofiar często są zostawiane same sobie, także gdy dotyczy to dzieci. Wybrana została propozycja pani Ewy Błaszczyk „Budzik". Dokładnie to samo postąpiono potem z ofertą księdza Olszewskiego budowy wielkiego ośrodka pomocy ofiarom przemocy tak dzieciom jak i osobom dorosłym. W obu przypadkach decyzje podejmowały te same panie urzędniczki, w obu przypadkach ceny budowy były podobne, w obu przypadkach budowa była realizowana zgodnie z planami i harmonogramami. Cóż jest w tym złego? To cała historia, każdy może pojechać, zobaczyć, sprawdzić. Reszta to szukanie politycznej zemsty. Bardzo mnie boli, że z tego powodu cierpią i siedzą w areszcie niewinni ludzie, panie urzędniczki, ksiądz Olszewski.

Może ktoś chce przejąć ten ośrodek?

Nie jest to wykluczone. Może jakiś koleś z PO dostrzegł tu dla siebie szanse? Może ma być tam nie ośrodek katolicki pomagający ofiarom wypadków, ale miejsce dla jakiejś grupy LGBT+? Dzieje się wielka niesprawiedliwość i zło. To naprawdę diabelskie. Tusk jest złym człowiekiem, który w drodze do politycznego celu będzie w stanie podeptać niewinnych, służących społeczeństwu kapłanów i zniszczyć ich dzieła.

Jak pan ocenia sytuację polityczną w Polsce?

Tusk ma problemy. Rozumie, że utrzymanie władzy w tej dynamice politycznej będzie trudne. Porównajmy sobie poparcie dla jego rządu po pierwszych trzech miesiącach w 2008 r. i teraz. Wtedy było to prawie 60 proc., dziś 30 proc. Na starcie nie dostał żadnego kredytu zaufania od Polaków, choć zawsze tak było. To pokazuje, że jego pozycja jest krucha. Można sobie wyobrazić wydarzenia, które radykalnie osłabią jego pozycję. Rządzenie zawsze zużywa, ale tę władzę będzie zużywało szybciej niż poprzednie.

Dlaczego?

Do trudnej wewnętrznej konstrukcji obecnego obozu rządzącego, oszukania wyborców obietnicami, których nie zamierzali nawet spełnić,

eprasa.pl 9e18b405a8

Fot. Andrzej Wiktor

dochodzą czynniki zewnętrzne. Te same, które pomogły mu wygrać. Dla Polaków Tusk jest twarzą rządzących dziś Unią Europejską, którzy w najbliższych miesiącach i latach chcą narzucić ludziom drakońskie ograniczenia, radykalnie pogarszające poziom życia. Rolnicy już się zorientowali, co się dzieje, co jest na końcu tej drogi i podjęli protest. Inni dowiedzą się za chwilę: najpierw nie wjadą do centrów miast starszymi pojazdami, potem zapłacą dużo więcej za paliwo, a następnie w ogóle zakażą aut spalinowych.

Elektryka nie kupi?

Większości ludzi nie będzie stać na elektryki. Poza tym ceny energii elektrycznej bez radykalnego przeciwdziałania ze strony państwa, czego Tusk nie robi, przy realizacji założeń Zielonego Ładu poszybują niebotycznie. On wie, że będzie miał coraz większe problemy, dlatego próbuje brutalnego przyspieszenia, skumulowania największej możliwej władzy już teraz, choćby bezprawnie, bo potem jego sytuacja będzie coraz gorsza. Dlatego się spieszy.

Coś planuje w tym kupionym brutalnością czasie?

To jest jasne – ma na siłę wepchnąć nasz kraj do scentralizowanego państwa europejskiego, gdzie głos Polski i Polaków nie będzie się w ogóle liczył, gdzie inni będą za nas decydowali o wszystkim, co istotne. Mamy stracić własną walutę, możliwość wpływania na podatki, obronność, ochronę granic, politykę zagraniczną, sprawy migracyjne i wiele innych obszarów. Mamy zostać rozbici na regiony. Skala redukcji naszej wolności będzie gigantyczna. Gdy moje środowisko polityczne alarmowało w tej sprawie, twierdzono, że przesadzamy. Dziś jesteśmy u progu odebrania nam niepodległości. I to jest główne zadanie Tuska, które otrzymał do wykonania w Polsce.

Coś go może powstrzymać?

Opozycja musi organizować sprzeciw, Polacy muszą się przebudzić. To jest wyścig z czasem, bo polityka Brukseli i Tuska przyniesie naszym rodakom potężne zubożenie. Nawet za komuny, która wszystko kontrolowała, kryzysy gospodarcze powodowały społeczne wybuchy. Tuska czeka to samo zderzenie.

W ostatnim wydaniu tygodnika „Sieci" Marek Pyza opisał kulisy tej władzy, kulisy tyranii. Okazuje się, że wielu uczestników obecnego reżimu ma świadomość, w czym bierze udział, jak bardzo podeptali prawo. Czy pójdą za Tuskiem do końca? Wezmą udział w kolejnych siłowych „wejściach" do legalnych instytucji? Brutalnych przeszukaniach w domach niewinnych ludzi?

To, co się dzieje, jest więcej niż bezprawiem. To czysty kryminał – przejęcie TVP czy prokuratury dokonano w sposób gangsterski, kryminalny.

eprasa.pl 9e18b405a8

Gdybyśmy przejęli władzę, mam na myśli mój obóz polityczny, bo nie wiem, jak potoczy się moja osobista walka z chorobą, będziemy musieli wyciągnąć z tego wnioski. Byłoby ciężkim politycznym błędem zaniechanie rozliczenia tego. Już dziś powinniśmy pracować nad ustawą, która pociągałaby do odpowiedzialności funkcjonariuszy i prokuratorów wykazujących się nadgorliwością w łamaniu prawa, bezprawnych działaniach zlecanych przez władzę. I wobec tych, którzy pozyskane często nielegalnie materiały używają do medialnych gier wobec przeciwników politycznych, puszczają zakłamane przecieki. W związku z kryminalnym, siłowym przejęciem prokuratury należy w przyszłości uchwalić ustawę powołującą komisję weryfikacyjną do skontrolowania wszystkich prokuratorów i funkcjonariuszy uczestniczących w takich operacjach.

Jakie byłyby kryteria?

Pracujemy nad szczegółami, ale dwa elementy są pewne: nieproporcjonalność działań wobec objętych tymi politycznymi śledztwami w stosunku do realnej wartości materiału dowodowego i wyrzucanie do mediów pozyskanych w śledztwie materiałów dotyczących prywatnych ludzkich spraw w celu dyskredytacji osób nielubianych przez władzę. W latach 2007–2015 stosowali te same obrzydliwe metody, by przypomnieć kłamstwa ówczesnego ministra Zbigniewa Ćwiąkalskiego na mój temat, z twierdzeniami, iż niszczyłem służbowy laptop – choć dysk działa do dzisiaj.

To była głośna sprawa.

Swoją drogą, później odkupiłem ten komputer od ministerstwa na pamiątkę i był w tym domu – służby Tuska znowu go zgarnęły. Powtarzam: drugi raz nie popełnimy tego samego błędu. Komisja weryfikacyjna będzie musiała zbadać te sprawy i w przypadku osób świadomie dopuszczających się takich czynów zdecydować o usunięciu ze służby i z zawodu, bez możliwości ucieczki na emeryturę. Urzędnicy państwowi nie mogą włączać się w kampanie hejtu i nienawiści, organizowane przez dziś rządzących. Tusk ucieknie pewnie do Berlina czy Brukseli, choć i tam będziemy musieli go ścigać, bo to on podejmuje zasadnicze decyzje. Ale wszyscy tam nie wyjadą. Uprzedzam ich – ekipa, która dziś rządzi, ma charakter kryminalny i przestępczy, nie warto być jej częścią, to wszystko będzie rozliczone.

> Tusk ma problemy. Rozumie, że utrzymanie władzy w tej dynamice politycznej będzie trudne, że czas pracuje przeciwko niemu. Jego oszustwa docierają do Polaków. Do tego Zielony Ład, który nas radykalnie zuboży. Rolnicy już to zrozumieli

Czy mamy w ogóle prokuraturę? To struktura hierarchiczna, a na szczycie stoi człowiek sprawujący swoją funkcję nielegalnie.

To dobre pytanie. Oni świadomie stworzyli stan anarchii, co pokazuje nienawiść Tuska do własnego kraju. Każdy, kto szanuje polskie państwo, nie zdecydowałby się na taką anarchizację. Przecież w prokuraturze zapadają decyzje o głębokiej ingerencji w obszar wolności obywateli, od wniosków o podsłuchy po wnioski o areszt. Nie może być cienia wątpliwości, że podejmujące je osoby działają legalnie, mają moc nadaną im przez konstytucję, ustawy i naród. A Tusk z Bodnarem lekką ręką bezprawnie posadzili tam swojego nominata. Wszystkie działania podejmowane w samozwańczym kierownictwie prokuratury mają cechy nielegalności. Konsekwencje mogą być tragiczne dla wszystkich – ciężka praca uczciwych prokuratorów w walce z prawdziwymi przestępcami może pójść na marne, adwokaci już próbują podważać mandat prawny prokuratorów.

Tuskowi smakuje ta przemoc? Miał już więźniów politycznych, których tylko społeczna presja i działanie prezydenta wyciągnęły zza krat. Pan ma być jego kolejnym więźniem politycznym?

Tusk nie ma żadnych zahamowań, wie, że czas pracuje przeciwko niemu. Widzi, że jego oszustwa, bez względu na skalę propagandy, docierają do Polaków. Zmienia się nawet nastawienie naszych rodaków do Unii Europejskiej, bo zaczynamy rozumieć, co tam dla nas szykują. Wszystko, co niedawna opozycja i jej sprzymierzeńcy mówili przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy okazało się kłamstwem z tzw. obroną praworządności na czele. Była to po prostu zorganizowana akcja obalania demokratycznego polskiego rządu. Potwierdziło się wszystko, przed czym ostrzegała Suwerenna Polska.

Jaka jest przyszłość Zjednoczonej Prawicy? Prezes Jarosław Kaczyński ogłosił w „Sieci", że zostaje, walka o Polskę toczy się dalej.

Jarosław Kaczyński jest gwarantem jedności naszego obozu, w którym mieszczą się różne wrażliwości, stanowiska polityczne. Czytelnicy „Sieci" znają moje zastrzeżenia do części działań naszych rządów, ale dziś nie czas na rozdrapywanie tego. Jedność prawicy jest dużą wartością. Niektórzy niepotrzebnie próbują na siłę nakręcać różnice. Tak było choćby przy okazji wypowiedzi Patryka Jakiego na temat premiera Mateusza Morawieckiego. Został zapytany i odpowiedział, że nie chciałby, aby w przyszłości ponownie był premierem. I ma prawo do takiej oceny, podobnie jak Morawiecki może powiedzieć, iż on by nie chciał, aby Jaki był szefem rządu. Te różnice nie są jednak zasadniczą przeszkodą, by nadal wspólnie pracować dla Polski.

eprasa.pl 9e18b405a8

Weto prezydenta wobec pigułki „dzień po" uaktywniło chętnych z obecnego układu rządzącego do usunięcia go z urzędu

Duda na celowniku

STANISŁAW JANECKI

Wystarczyło, że prezydent Andrzej Duda zawetował nowelizację ustawy w sprawie tzw. tabletki „dzień po", by wrócił nie tylko przemysł pogardy wobec głowy państwa, lecz także straszenie usunięciem z urzędu. Prezydent uzasadnił swoją decyzję próbą wprowadzenia „niezdrowych, chorych i niebezpiecznych dla dzieci zasad". Tabletka „dzień po" jest w Polsce dostępna, tyle że na receptę, a miałaby być dostępna dla osób powyżej 15. roku życia bez konieczności okazania recepty.

Układ rządzący z Donaldem Tuskiem na czele uznał, że sprawa tabletki „dzień po" wywoła gniew ludu, który przykryje i uzasadni nielegalne, a wręcz kryminalne metody postępowania wobec głowy państwa. Usunięcie Andrzeja Dudy z urzędu – oprócz zniszczenia Prawa i Sprawiedliwości, i to w taki sposób, żeby ta partia już nigdy nie była w stanie odzyskać władzy – jest celem rządów większości spinanej przez Donalda Tuska. Usunięcie wszelkimi sposobami. Tusk i jego polityczne zaplecze uważają, że gdy skierują na prezydenta wszystkie armaty, co nawet jeśli go nie zastraszy, to uniemożliwi normalne funkcjonowanie, zaś „ludowe" bojówki będą w stanie zakłócić bezpośrednie spotkania głowy państwa z Polakami. A może nawet sytuacja dojdzie do takiego momentu, gdy znajdzie się jakiś „mściciel", który ostatecznie rozwiąże problem.

Donald Tusk już toczył bezwzględną wojnę z prezydentem. W 2008 r., gdy po raz pierwszy był premierem, a głową państwa Lech Kaczyński. W połowie października tego roku na lotnisku

eprasa.pl 9e18b405a8

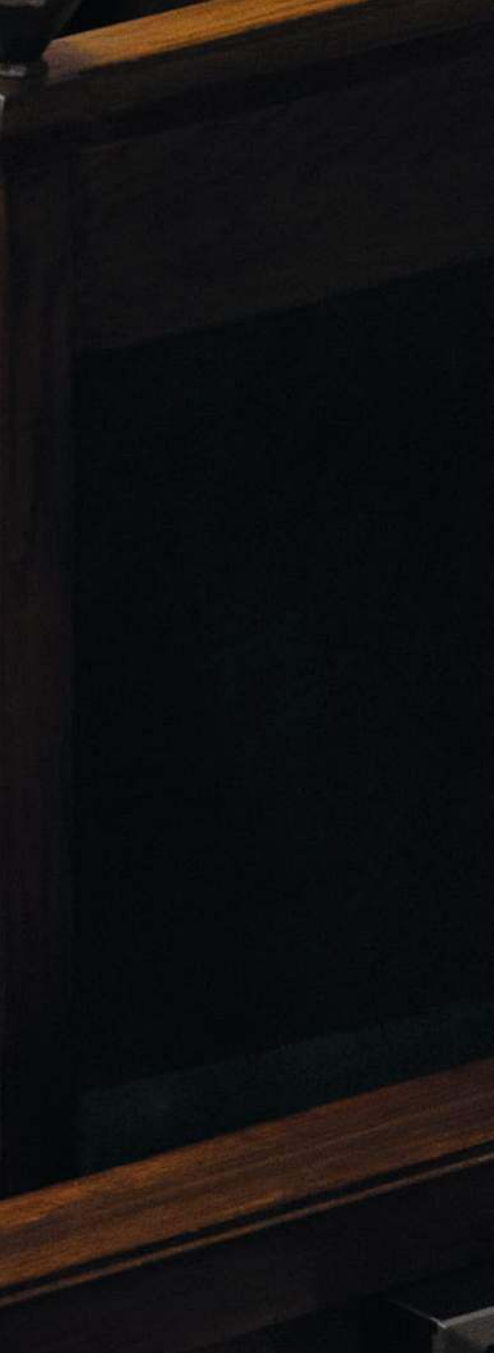

Fot. Andrzej Wiktor

w Brukseli Tusk mówił: „Ja wiem, że »samolotowa opera mydlana« [chodziło o odmowę udostępnienia prezydentowi samolotu, by uniemożliwić mu udział w szczycie Unii Europejskiej] jest pasjonująca, ale tu chodzi o bardzo poważny spór kompetencyjny. Póki nie ma w tej sprawie werdyktu Trybunału Konstytucyjnego, sam muszę podejmować decyzje, które umożliwią mi pracę". Na pytanie, czy premier [Tusk] „potrzebuje samolotu", ten odpowiedział: „Nie potrzebuję prezydenta". Bo wtedy podobno nie było stać Polski, by „w sprawach pakietu klimatycznego, traktatu lizbońskiego i kryzysu finansowego kraj reprezentowali dwaj politycy o odmiennym zdaniu". Podjęte wówczas decyzje do dziś mają wpływ na nasz kraj. I do dziś nie zmieniło się nastawienie Tuska jako premiera do prezydenta własnego państwa, choć ten się zmienił i minęło ponad 15 lat. Inne są natomiast metody walki z głową państwa – utrudnianie funkcjonowania zastąpiły otwarte groźby usunięcia z urzędu.

POWTÓRKA Z NARUTOWICZA?

Gdy Andrzej Duda zawetował ustawę o pigułce „dzień po", Donald Tusk napisał na portalu X (d. Twitter) tylko tyle: „Prezydent nie skorzystał z okazji, żeby stanąć po stronie kobiet. Wdrażamy plan B". Była to zachęta do eskalacji ataków na głowę państwa. Posłanka Kamila Gasiuk-Pihowicz (PO) stwierdziła: „Andrzej Duda to prezydent minionej epoki. Epoki ciemnoty, niewiedzy, religijnego fanatyzmu i polityki skierowanej przeciwko kobietom. Będzie tak zapamiętany". Poseł Platformy Obywatelskiej Michał Szczerba (w „Jedynce" Polskiego Radia) wręcz szalał: „Zachowanie Andrzeja Dudy jest skandaliczne i niebroniące się. I jakby antykobiece. [...] To jest decyzja, która pokazuje jakby infantylność tej postaci. Pokazuje to, że on nic nie rozumie również z wiedzy medycznej i będzie odpowiedzialny za setki, tysiące aborcji w Polsce, dziewczyn, kobiet, które na przykład przez trzy dni świąt nie miały dostępu do ginekologa po to, żeby wypisał tabletkę »dzień po«". Minister edukacji Barbara Nowacka (Inicjatywa Polska, Koalicja Obywatelska) grzmiała w TVN 24: „Duda jest znany ze swojego mizoginizmu. Podejrzewam, że uważa kobiety w ogóle za istoty niedojrzałe, a już szczególnie nastolatki". A Mirosław Suchoń, przewodniczący Klubu Parlamentarnego Polska 2050 – Trzecia Droga, wypalił: „Pan prezydent Andrzej Duda traktuje Polki i Polaków jak przedszkolaków. Hańba i wstyd na cały normalny świat".

W tych wszystkich atakach chodziło o wzbudzenie nienawiści wobec prezydenta, żeby uzasadnić próbę usunięcia go jako przeszkody dla świetlanych rządów Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy. Kierunek wskazał Donald Tusk, i to już 19 grudnia 2019 r. (podczas wiecu na rzecz telewizji TVN), który przed pałacem prezydenckim cytował słowa noblisty Czesława Miłosza z wiersza „Który skrzywdziłeś": „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy. I sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta". Tusk wyraźnie zaznaczył, że kieruje te słowa do prezydenta Andrzeja Dudy. Był to bezprecedensowy atak na głowę państwa, bo nawołujący do samosądu, co musiało budzić skojarzenia z zabójstwem pierwszego prezydenta II RP – Gabriela Narutowicza.

Odwołanie Andrzeja Dudy w referendum podpowiadał Donaldowi Tuskowi były prezydent Lech Wałęsa. Jego pomysł wsparł profesor prawa (w tym konstytucyjnego) Marek Chmaj. Stwierdził on, że „istnieje możliwość odwołania prezydenta przed upływem kadencji. W zasadzie zarządzenia nowych wyborów przed upływem kadencji, jeżeli na to wyrazi zgodę naród w drodze referendum. [...] Myślę, że to referendum ws. jakichś kompetencji prezydenta lub kadencji prezydenta, zastrzegając, że udzielenie przez większość Polaków pozytywnej odpowiedzi na takie pytanie wiąże się z koniecznością zarządzenia nowych wyborów prezydenckich. Po takim referendum marszałek zarządza nowe wybory prezydenta, one się odbywają, prezydent elekt składa przysięgę przed Zgromadzeniem Narodowym i wraz ze złożeniem przysięgi rozpoczyna sprawowanie urzędu".

Tusk i jego apologeci rozważają usunięcie prezydenta w drodze referendum, mimo że wszystkie przypadki, gdy obowiązki prezydenta przejmuje marszałek Sejmu, są opisane w art. 131 ust. 2 konstytucji (śmierć; rezygnacja; nieważność wyboru i nieobjęcie urzędu; trwała niezdolność ze względu na stan zdrowia, co ustala Zgromadzenie Narodowe większością dwóch trzecich głosów; złożenie z urzędu prawomocnym orzeczeniem Trybunału Stanu – do tego potrzeba dwóch trzecich głosów Zgromadzenia Narodowego). Rządzący układ chce usunięcia prezydenta Andrzeja Dudy, mimo że zgodnie z art. 126 konstytucji jest on najważniejszym przedstawicielem RP, gwarantując ciągłość władzy państwowej. I ta ciągłość musi być zachowana, co zapewnia

eprasa.pl 9e18b405a8

także opuszczenie urzędu opisane w art. 131.2, gdy obowiązki przejmuje marszałek Sejmu. Referendum, gdyby się odbyło i znalazła się większość głosująca za odwołaniem głowy państwa, przerywałoby ciągłość władzy w sposób nieopisany w konstytucji, więc byłoby deliktem konstytucyjnym. Z kolei art. 125 konstytucji dotyczący referendum nic nie mówi o odwoływaniu prezydenta RP w taki sposób. Podobnie ustawa o referendum z 14 marca 2003 r.

ZAMACH STANU PRZY MILCZENIU ŚWIATA?

Na Donaldzie Tusku i jego poplecznikach nie robi wrażenia to, że za próbę usunięcia prezydenta powinno się odpowiadać z art. 127 i 128 Kodeksu karnego. Te artykuły to „przestępstwa przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej". Art. 127 dotyczy „zamachu stanu", zaś art. 128 – „zamachu na organ konstytucyjny RP". Art. 127 kk stanowi w par. 1.: „Kto, mając na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części obszaru lub zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej, podejmuje w porozumieniu z innymi osobami działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 10 albo karze dożywotniego pozbawienia wolności". Usunięcie prezydenta jest więc zmianą konstytucyjnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej za pomocą przemocy. Ci, którzy chcą usunąć prezydenta, już popełniają przestępstwo z art. 128 par. 3 kk: „Kto przemocą lub groźbą bezprawną wywiera wpływ na czynności urzędowe konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10". Tusk wywiera taki wpływ od ponad 4 lat.

To, że premier i spółka nic sobie nie robią z kar grożących im za zamach na prezydenta, wynika z przekonania, że minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar zaakceptuje wszelkie bezprawne posunięcia wobec głowy państwa oraz znajdą się sędziowie sądów powszechnych, który orzekną usunięcie głowy państwa z urzędu i stwierdzą legalność takiego posunięcia.

Pogląd o możliwości skazania głowy państwa przez sąd powszechny w styczniu 2024 r. rozpowszechniał Jacek Żakowski, obecnie publicysta „Polityki", przez lata w „Gazecie Wyborczej". Nawiązując do postępowania prezydenta wobec ministrów Mariusza Kamińskiego oraz Macieja Wąsika, Żakowski straszył: „Otwarcie wspierając przestępców, idzie ścieżką do samozniszczenia. [...] A jako prawnik powinien zdawać sobie sprawę, że to, co robi w okresie przywracania w Polsce praworządności, radykalnie zmniejsza jego szanse na bezkarność – nie tylko przed Trybunałem Stanu, lecz także przed sądami powszechnymi".

Przy okazji zapomina się, że postawienie głowy państwa przed Trybunałem Stanu byłoby możliwe, gdyby w Zgromadzeniu Narodowym zebrano 376 głosów. Także Żakowski (a politycy rządzącego układu to poparli) przestrzegał prezydenta przed „samoułaskawieniem": „Niektórzy przypuszczają, że uparcie broniąc pierwszej próby ułaskawienia Wąsika i Kamińskiego, czyli możliwości zastosowania łaski wobec przestępstw jeszcze nieosądzonych, Duda w istocie walczy o prawo do generalnego samoułaskawienia tuż przed opuszczeniem urzędu". Ale „kombinowanie z samoułaskawieniem nie ma wielkiego sensu, bo nie uznają go sądy, prokuratura, policja ani nawet Służba Więzienna".

> Usunięcie Andrzeja Dudy z urzędu – oprócz zniszczenia Prawa i Sprawiedliwości, i to w taki sposób, żeby ta partia już nigdy nie była w stanie odzyskać władzy – jest celem rządów większości spinanej przez Donalda Tuska

Tuskowi i jego medialnym pomocnikom marzy się „nieunikniona odpowiedzialność Dudy za wszystko, co zrobił Polsce, jej obywatelom i wszystkim ludziom krzywdzonym przez pisowską władzę". To sposób przykrycia bezprawia i degrengolady, które ma już na koncie ekipa Donalda Tuska, choć rządzi dopiero od 13 grudnia 2023 r. Kompletnym „odlotem" jest twierdzenie, że „urzędujący prezydent może opóźniać demokratyzację i przywracanie rządów prawa w Polsce, ale zapobiec im nie jest w stanie", bo sam zostanie ukarany, a wcześniej usunięty z urzędu. Prezydent Andrzej Duda „w więzieniu" to wymysł szaleńca lub sprowadzenie polityki do działań gangu nieliczącego się z nikim i niczym, posługującego się wyłącznie siłą.

Tusk liczy zapewne na to, że bezprawne usunięcie głowy państwa lub uniemożliwienie jej normalnego funkcjonowania nie wywoła sprzeciwu Komisji Europejskiej, TSUE, Rady Europy, Komisji Weneckiej czy administracji Joe Bidena, skoro wszystkie one tolerują bezprecedensowe łamanie konstytucji i bezprawie rządzącej koalicji po 13 grudnia 2023 r. Zamach na prezydenta to jednak sprawa znacznie poważniejsza niż się wydaje chętnym na zamchowców. Także w skali Europy i świata.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl/e/1/1/405a8

Dzieci Peerelu

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gdyby przejrzeć życiorysy osób, które dzierżą dziś władzę w Polsce – czy to polityczną, czy medialną – okaże się, że bardzo wielu z nich urodziło się w epoce Gomułki. Podobnie jest z dużą częścią wyborców. Najbardziej aktywni mają powyżej pięćdziesiątki. Krótko mówiąc, o kształcie dzisiejszej Polski decydują ludzie urodzeni w głębokim PRL

Mimo że od upadku PRL minęło ponad 30 lat, to ciągle wpływa on na naszą rzeczywistość. I nie chodzi tutaj o grubą kreskę, brak dekomunizacji i rozliczeń, choć narobiły one wiele szkód. Nie chodzi też o zapóźnienia cywilizacyjne, bo te w dużym stopniu udało się nadrobić. Problem tkwi gdzie indziej – w ludzkich głowach.

Po prawej stronie polskiej sceny politycznej popularne było hasło o wielopokoleniowej walce akowców i ubeków. Jest to barwne, aczkolwiek zbyt daleko idące uproszczenie, bo można wskazać liczne przykłady osób niemieszczących się w tej klasyfikacji. Ważniejsze od biografii są bowiem wybory dróg życiowych. Jedni – a tych była większość – szli drogą konformizmu i podporządkowania się, a drudzy wręcz przeciwnie – nigdy nie podpisali cyrografu z komuną, a po jej upadku odrzucali dziedzictwo PRL w życiu publicznym. I te dwie drogi życiowe – oraz popularność każdej z nich w społeczeństwie – mają dziś swoje konsekwencje.

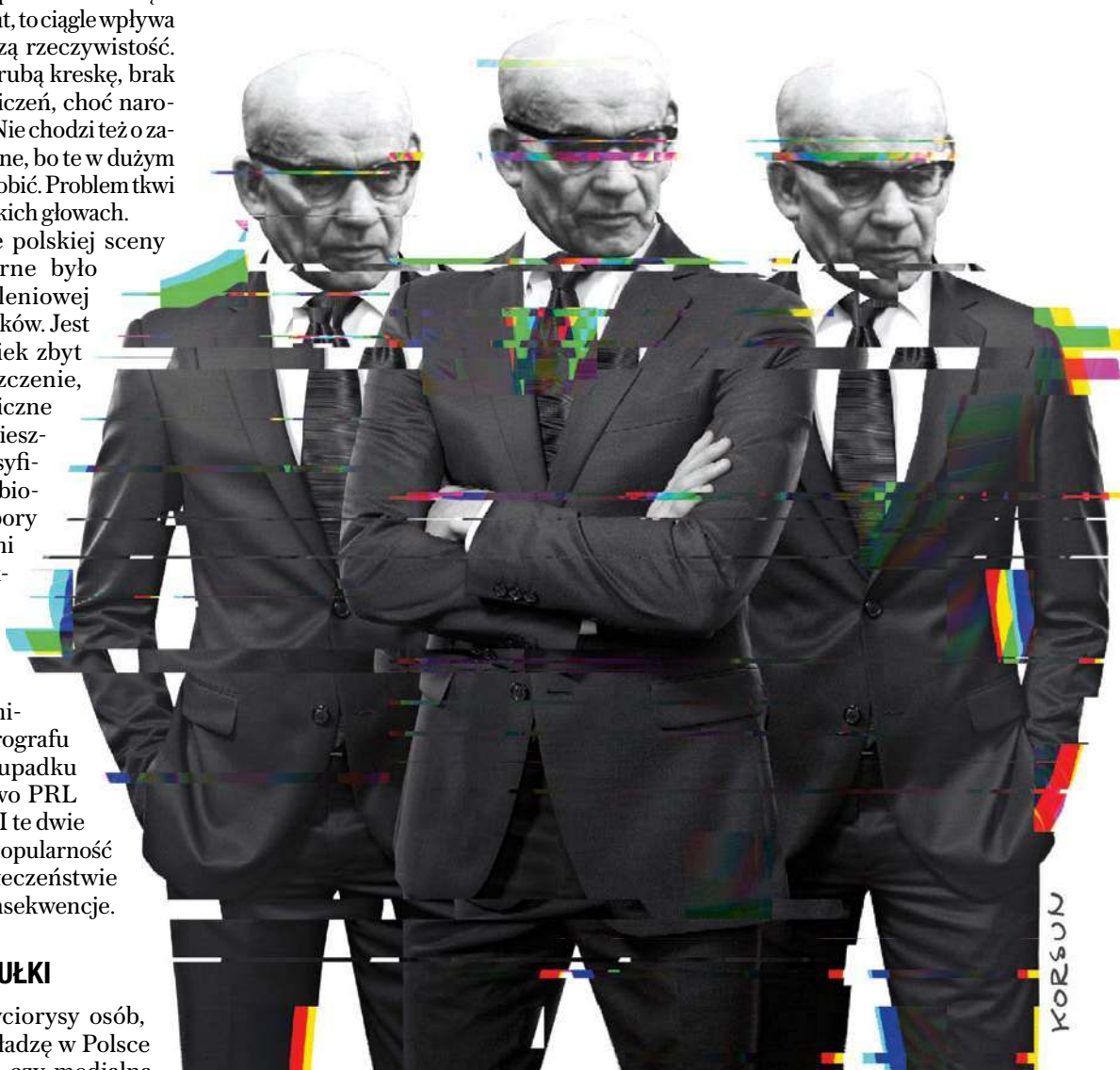

Fot. Shutterstock, Ulrich Kohls/Bundesarchiv

PLATFORMA GOMUŁKI

Gdyby przejrzeć życiorysy osób, które dzierżą dziś władzę w Polsce – czy to polityczną, czy medialną

eprasa.pl 9e18b405a8

– okaże się, że bardzo wielu z nich urodziło się w epoce Gomułki. Popatrzmy: Tusk – rocznik 1957, Sikorski – 1963, Sienkiewicz – 1961, Graś – 1964, Kopacz – 1956, Halicki – 1961, Siemoniak – 1967. Z kolei w środowisku medialnym sprzyjającym władzy: Lis – 1966, Olejnik – 1956, Wojewódzki – 1963, Czyż – 1968, Kolenda-Zalewska – 1963. Przykłady można mnożyć, ale to chyba wystarczy. Oczywiście jest też wiele osób młodszych, ale przecież nie na tyle młodych, żeby w ogóle nie pamiętać PRL. Szczególnie że mowa o tych, którzy mają realne wpływy w dzisiejszej Polsce.

Podobnie jest z dużą częścią elektoratu. Najbardziej aktywni wyborcy – co pokazują sondaże z ostatnich wyborów parlamentarnych – mają powyżej pięćdziesiątki. Krótko mówiąc, o kształcie dzisiejszej Polski decydują ludzie urodzeni w głębokim PRL.

Rzecz jasna Platforma i jej elektorat nie są tu jakimś szczególnym wyjątkiem. Z oczywistych przyczyn podobne proporcje są również w dzisiejszej opozycji spod znaku PiS. Jest jednak istotna różnica, którą wskazałem wcześniej. Otóż tym, co dzieli obie formacje i ich elektoraty, jest wybór drogi życiowej.

Nie będzie wielkim nadużyciem stwierdzenie, że w PRL najbardziej powszechną postawą była bierność. Podporządkowanie totalitarnej władzy połączone z izolacją od świata zewnętrznego pozostawiło silną skazę w ludzkich umysłach, która do dziś podświadomie daje o sobie znać. Można ją nazwać drastycznie niskim poczuciem własnej wartości. Z kolei ten, kto wtedy się opierał, choćby wewnętrznie, zachował znacznie większy krytycyzm wobec otaczającego go świata i – co za tym idzie – wyrastał ponad peerelowską tandetę.

Teraz tamte postawy, niekiedy przekazywane kolejnemu pokoleniu, dość wyraźnie przekładają się na sposób myślenia o Polsce i świecie oraz na wybory polityczne i światopoglądowe. Nieco upraszczając, można powiedzieć, że dziś walczy ze sobą nie tyle kolejne pokolenie akowców i ubeków, ile raczej umowne dzieci Peerelu z umownymi dziećmi Polski, a więc ci, których mentalnie ukształtował PRL z tymi, którzy ten PRL i jego polityczne dziedzictwo wewnętrznie odrzucali.

KOMPLEKS POLSKOŚCI

Gdy dzisiaj mówimy o ojkofobii wielu Polaków, wulgarności elektoratu Platformy, antyklerykalnym zacietrzewieniu liberalnej lewicy, politycznej korupcji i wysługiwaniu się obcym, to wszystko jest w dużym stopniu owocem tego peerelowskiego dziedzictwa oraz późniejszej „terapii", przeprowadzonej na dzieciach PRL przez oligarchiczne elity III RP.

Kluczem do zrozumienia tych zachowań – aczkolwiek mają one również swoje dłuższe, historyczne korzenie – jest kompleks niższości wobec zewnętrznego świata. Obywatele PRL wstydzili się państwa, w którym przyszło im żyć. Wstydzili się go nie tylko przed bogatym Zachodem, lecz także przed sąsiadami z okolicznych baraków – Czechami, Węgrami czy Niemcami z NRD. Polacy każdego dnia musieli się zmagać z biedą, wszechobecną tandetą i technologicznym zacofaniem. Każdy, kto miał okazję wyjechać wtedy na Zachód, dostrzegał przepaść dzielącą Polskę od państw Europy Zachodniej. I odczuwał wstyd.

> Dzieci PRL budują nam przyszłość ograniczoną swoimi kompleksami, taką, która nie odpowiada aspiracjom rozwiniętego, europejskiego kraju

W 1989 r. niejeden przeciętny Polak – dziecko PRL – był zastraszoną istotą, która przepraszała wszystkich dookoła, że żyje. Czuł się gorszy od innych. Już w szkole uczono go, że jest bezwartościowym idiotą. Sądził, że jest zbyt głupi, aby samodzielnie decydować o swoim losie. Był zapatrzony w Zachód i uważał, że jego mieszkańcy zawsze mają rację. Był bardzo dumny z tego, gdy go – obdartego parobka ze Wschodu – czasem pochwalono i poklepano po plecach za dobrze wykonane polecenie. A kiedy zauważył, że posłuszeństwo może być wynagrodzone kilkoma srebrnikami, wysługiwał się z fanatyczną gorliwością każdemu przybłędzie, który przybył z „lepszego świata".

PRL wybił mu z głowy myślenie wspólnotowe i w zamian nauczył go darwinowskiej walki o przetrwanie. Wygrywał ten, kto lepiej kombinował, oszukiwał, umiał się podlizać szefom lub okazał się większym cwaniakiem. Takie postawy były wynagradzane lepszą pozycją i wyższymi dochodami, uczciwi ludzie przestrzegający zasad uchodzili za frajerów. Wszystko to przetrwało upadek komunizmu i z łatwością zostało przeniesione do nowych czasów.

Ważnymi postaciami były wówczas tzw. autorytety. Ludzie znani z telewizji i prasy, którzy bywali na Zachodzie i byli łącznikami z tamtejszym „rajem". Tłumaczyli oni, jak się należy zachowywać, w co wierzyć i za czym się opowiadać, aby w przyszłości dołączyć do wymarzonej, bogatej Europy.

Tę drogę do powszechnego zbawienia Polaków wytyczał Adam Michnik oraz jego polityczni przyjaciele z Unii Demokratycznej, a potem – przez pewien czas – także z SLD. Polska miała się rozpłynąć w liberalnej Europie – miała być laicka, postępowa i przede wszystkim świadoma swoich słabości.

Większość tych słabości miała być – jak wmawiano Polakom – bezpośrednim skutkiem polskiej tożsamości – zbyt katolickiej, patriotycznej i nacjonalistycznej. To te „przywary" doprowadziły – według tej wizji – do wielokrotnego upadku Polski: od rozbiorów poprzez klęskę wojenną w 1939 r. po komunizm. Jeśli więc Polska nie chce powtarzać tych samych błędów, musi się zmienić, biorąc sobie za wzór najlepiej prosperujące kraje Zachodu i bez szemrania kopiując tamtejsze rozwiązania. Bo jakakolwiek dyskusja, jakiekolwiek odwoływanie się do własnej odrębności i specyfiki, grozi odejściem od wyznaczonego ideału i ponownym

eprasa.pl 9e18b405a8

upadkiem. To jeszcze bardziej wzmacniało i tak już silny kompleks niższości. Ludziom wpajano bowiem przekonanie, że tradycyjnie rozumiana polskość jest obciążeniem, które należy odrzucić jak najszybciej.

Ta strategia okazała się całkiem skuteczna wobec wielu wyposzczonych komunizmem Polaków. Głęboko wierzono, że dla takiego podejścia nie ma żadnej alternatywy, a wejście do Unii Europejskiej w licznych kręgach zostało przyjęte jako nagroda za dobre sprawowanie. Dziś ci sami ludzie, już starsi, czasem w wieku emerytalnym, boją się, że jakiekolwiek odstępstwo czy sprzeciw wobec Unii skończy się „ukaraniem" Polski i wyrzuceniem jej poza europejską wspólnotę.

DYKTAT RAMOLI

Takie postawy – niższości i uległości – stały się fundamentem życia publicznego III RP. Kształt Polski po 1989 r. został bowiem wytyczony przez ludzi głęboko tkwiących mentalnie w PRL. Początkowo byli oni prowadzeni za rękę przez zachodnich mentorów oraz usługujące im lokalne „autorytety moralne" spod znaku „Wyborczej", później jednak sami – choćby z powodów metrykalnych – zaczęli przejmować władzę w kraju. Nie tylko polityczną, lecz także w mediach, kulturze i gospodarce. Takie są korzenie Platformy Obywatelskiej oraz wspierającego ją środowiska.

Rządzi nami pokolenie urodzone za Gomułki – nieco tylko odpicowane – bywałe w świecie, bardziej „zachodnie" oraz bogatsze od swoich rodziców. I wybierane przez swoich rówieśników. Myślenie tych ludzi o Polsce nigdy jednak do końca nie uwolniło się od dawnych peerelowskich kompleksów. Kieruje nimi uniżoność oraz pokłon wobec obcych oraz bogatszych, którzy przecież zawsze są od nas bystrzejsi i potężniejsi.

Dawna retoryka zmieniła się stosunkowo niewiele. Nadal wszystko, co polskie, jest niejako z definicji gorsze od zachodniego. Króluje minimalizm i rezygnacja z obrony własnych interesów. Centralny Port Komunikacyjny? A po co nam on, skoro jest lotnisko w Berlinie. Polska żywność? Kto kupuje to szkodliwe badziewie? Linie lotnicze LOT? To tylko nikomu niepotrzebna historia. Polskie karabinki? Można się samemu z nich zabić.

Mimo upływu trzech dekad od upadku PRL i niezaprzeczalnych sukcesów Polski w tym czasie, jest mnóstwo przykładów takiego dezawuowania własnego dorobku. Co gorsze, taki sposób myślenia ciągle jest obecny wśród dużej części średniego i starszego pokolenia. Tej, która nigdy nie przestała się wstydzić własnego pochodzenia i której reprezentacją jest obecna koalicja rządowa z PO na czele. Ci ludzie nie chcą silnego państwa, wolą je raczej rozpuścić w Unii i podporządkować obcym (mądrzejszym). Wybierają samobójstwo Polski zamiast jej dalszego, samodzielnego trwania. Ich wstyd i kompleksy są bowiem silniejsze od instynktu samozachowawczego.

> Postawy niższości i uległości stały się fundamentem życia publicznego III RP. Kształt Polski po 1989 r. został bowiem wytyczony przez ludzi głęboko tkwiących mentalnie w PRL

TŁUMIONE ASPIRACJE

To dość groźna perspektywa. Dzieci PRL budują nam bowiem przyszłość ograniczoną swoimi fobiami i kompleksami, taką, która nie odpowiada aspiracjom rozwiniętego, europejskiego kraju. Zatrzymali się mentalnie gdzieś na pograniczu lat 80. i 90., a może nawet wcześniej. Mamy siedzieć cicho, słuchać innych i nie wyskakiwać przed szereg. Bo dostaniemy za karę po uszach. Polakom ma wystarczyć sam blichtr przynależności do Europy oraz poklepywanie po plecach przez zadowolonych wujków z nieomylnego Zachodu.

Rozdźwięk pomiędzy kunktatorstwem rządzącego dziś Polską pokolenia Gomułki a powszechnymi oczekiwaniami jak dotąd był najjaskrawiej widoczny przy okazji debaty wokół CPK. Coraz więcej Polaków – nie tylko tych, którzy popierali PiS – czuje się bowiem, i słusznie, pełnoprawnymi członkami wspólnoty europejskiej. Nie uważają się – tak jak niektórzy ich rodzice lub dziadkowie – za gorszych od swoich zachodnich rówieśników, bo niewiele się od nich różnią. Nie chcą więc, aby ktokolwiek prawił im kazania lub ograniczał ich aspiracje.

Mowa tu głównie o młodym pokoleniu – tym, które nie zaznało komunizmu. To zwykle ludzie dość mocno zintegrowani z Zachodem i często ukształtowani przez tamtejszy liberalny mainstream, czy to dzięki wyjazdom, czy to poprzez media społecznościowe i popkulturę. Dla tych młodych ludzi tradycyjna polska tożsamość, z katolicyzmem, patriotycznymi uniesieniami, często trąci anachronizmem. Jaką ostatecznie formę przybierze (i czy w ogóle przybierze) ich głębszy, emocjonalny związek z Polską, nie wiemy. W tej chwili widać jednak wyraźnie, że – w przeciwieństwie do wielu osób z poprzedniego pokolenia – czują się częścią szeroko rozumianego Zachodu.

Do niedawna byli oni podatni na antypisowskie manipulacje Platformy. Gdy jednak Tusk i jego ekipa po przejęciu władzy odkryli karty, okazało się, że jedyne, co nowy rząd ma do zaoferowania młodemu pokoleniu, to aborcja i pigułka „dzień po". Świadczy to jedynie o tym, że gabinet Tuska postrzega potrzeby młodych ludzi wyłącznie w kategoriach seksualno-kopulacyjnych i sądzi, że w ten sposób zaspokoi ich ambicje. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne.

Tusk myśli, że po eliminacji PiS czeka go złota epoka. Być może jeszcze nie dostrzega, że żadnej złotej epoki nie będzie. Bo jego czas – tak jak całego pokolenia urodzonego za Gomułki – po prostu mija.

eprasa.pl 9e18b405a8

14 lat hańby

MAREK PYZA

Powrót do władzy Donalda Tuska cofa nas w rzeczywistość 2011 r. Ma obowiązywać raport komisji Millera. Premierowi winniśmy być wdzięczni za naiwną politykę „cywilizowania" Rosji i sprawne przeprowadzenie pogrzebów. O prawdę zaś – a nawet o pamięć – znów trzeba się będzie bić. Ofiara życia pasażerów TU-154M nr 101 nie nauczyła nas wystarczająco dobrze, że Polska to śmiertelnie poważna sprawa

Ledwie trzech tygodni potrzebowała nowa wojewoda pomorska Beata Rutkiewicz, by usunąć nazwę sali konferencyjnej w swoim urzędzie. Jej patronem był Lech Kaczyński. Litery znad progu, a także okolicznościowa tablica wmurowana w 2016 r. zostały więc wyrwane ze ściany, a miejsce po nich byle jak zaszpachlowane. Nowej nazwy jeszcze nie ma (pani wojewoda chce, by patronką sali konferencyjnej została kobieta), lecz to mało istotne. Ważne, że pozbyto się dotychczasowego patrona.

Nie inaczej jest na szczeblu centralnym. Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz pod koniec lutego zapowiedział, że pomnik smoleński zniknie z pl. Piłsudskiego przy okazji odbudowy pałacu Saskiego.

Lewicowo-liberalna barbaria nie zawaha się nawet przed uderzaniem w pamięć o ofiarach katastrofy smoleńskiej, wybitnych przedstawicielach naszego narodu. Znów trzeba będzie mocno o nich walczyć.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ TUSKA

Tragedia smoleńska to soczewka zła, jakie fundował i funduje Polsce Donald Tusk. Co roku w pierwszych dniach kwietnia uświadamiamy sobie, jak bardzo nasze państwo utraciło podmiotowość w czasie pierwszych rządów Platformy Obywatelskiej. Znów nie dowierzamy, jak można było dopuścić do tej tragedii i zrezygnować z możliwości

eprasa.pl 9e18b405a8

jej wyjaśnienia. Jak można było pozwolić zbrodniarzowi z Kremla na rugowanie z polskich uroczystości w Katyniu prezydenta Rzeczypospolitej, a po jego tragicznej i zagadkowej śmierci prowadzić potężną akcję dezinformacyjną wybielającą Rosjan i godzić się na hańbienie oficerskich mundurów polskiego żołnierza? Te pytania nie straciły na aktualności.

Wyborcy Tuska cieszą się dziś z dętych zarzutów stawianych politykom poprzedniej władzy, upajają się wsadzeniem do więzienia posłów PiS odpowiedzialnych za rzekome nieprawidłowości przy akceptowaniu kontroli operacyjnej czy bandyckim włamaniem do domu byłego ministra sprawiedliwości. Przebierają nogami na myśl o stawianiu przed Trybunałem Stanu prezesa NBP, który akurat świetnie wypełniał swoje obowiązki, chroniąc naszą gospodarkę przed katastrofalnymi skutkami pandemii oraz rosyjskiej wojny na Ukrainie.

Gdyby ta nienasycona gawiedź miała w sobie pierwiastek państwowości, żądałaby Trybunału Stanu dla premiera spiskującego z Putinem przeciw własnemu prezydentowi oraz jakiejkolwiek odpowiedzialności urzędników za nieprawidłowości przed 10 kwietnia 2010 r. i oburzające decyzje po katastrofie.

Po 10 kwietnia rządzący wówczas wmawiali nam, że państwo zdało egzamin, a przecież nie było w stanie nawet należycie przeprowadzić pogrzebów ofiar. Doszło do bezprecedensowych skandali – kilkanaście osób nie spoczęło w swoich grobach, zdarzały się przypadki chowania szczątków kilku osób w jednej trumnie.

W czasie sejmowego wystąpienia we wrześniu 2012 r. Donald Tusk przepraszał rodziny ofiar za „błędy i pomyłki".

Tyle że nie chodziło o jakieś drobne gafy, lecz złamanie prawa. Błyskawicznie organizowano bowiem pogrzeby bez dokumentacji sądowo-medycznej (wymaganej w przypadku nagłej śmierci). Tej zaś nie było, ponieważ polski rząd się zgodził, by Rosjanie przetransportowali ciała ofiar ze Smoleńska do Moskwy i tam poddali je autopsji bez udziału polskich specjalistów (choć ówczesna minister zdrowia Ewa Kopacz okłamywała Polaków, jakoby nasi lekarze pracowali „ramię w ramię" z Rosjanami). Następnie zaś nie czekano na przysłanie dokumentów sekcyjnych (wbrew kodeksowi postępowania karnego), lecz pospiesznie przeprowadzono pochówki. A później dochówki i kolejne dochówki, bo z Moskwy wciąż nadsyłano jakieś szczątki. Ostatecznie potrzebne były ekshumacje wszystkich ofiar, gdy po wielu miesiącach wyszło na jaw, że Rosjanie nie tylko powrzucali ciała, gdzie popadnie, lecz także sfałszowali dokumentację medyczną (w protokołach z sekcji można było np. znaleźć adnotacje o badanych narządach, które ofiara miała wiele lat wcześniej operacyjnie usunięte).

Wyszło też na jaw, że doszło do profanacji zwłok (serce Zbigniewa Wassermanna zaszyte w nodze, niedopałek papierosa wrzucony do płuc prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego), w kolejnych latach ujawniliśmy na łamach „Sieci", że pozostawione bez opieki polskich urzędników worki z ludzkimi szczątkami były przez Rosjan dosłownie rzucane po podłogach moskiewskiego zakładu medycyny sądowej, a nawet kopane.

„Siłą rzeczy brałem wówczas i biorę dzisiaj na siebie pełną odpowiedzialność za działania państwa polskiego i służb podległych polskiemu rządowi wówczas w Smoleńsku i w Moskwie po katastrofie. Tej odpowiedzialności nikt ze mnie nie zdejmie i ja tego nie oczekuję" – mówił Tusk z sejmowej mównicy przed 12 laty.

To jeden z jego ulubionych retorycznych wytrychów. Lecz żadnej odpowiedzialności nigdy nie wziął ani nikogo do niej nie pociągnął.

Zasłaniał się „niezależną" prokuraturą wojskową, która latami torpedowała główne postępowanie. To poświęcone wątkowi organizacyjnemu cywilni śledczy umorzyli, choć w kilkusetstronicowym postanowieniu o umorzeniu mogliśmy znaleźć długą listę win urzędników, którzy dopuścili się zaniedbań. Prokuratura uznała jednak, że... nie przewidzieli oni, iż zaniedbania doprowadzą do tragedii. Na tej zasadzie można uniewinnić niemal każdego w niemal każdej sprawie.

W czasie wspomnianego wystąpienia Tusk stwierdził też, że stawianie tez o zamachu „jest rzeczą niezwykle dwuznaczną i chyba groźną z punktu widzenia nie tylko osób zaangażowanych w ten dramat, lecz także całego państwa polskiego i polskiego społeczeństwa".

Dał więc zielone światło operacji dezawuowania i wykpiwania wszystkich wskazujących, że to nie była zwykła katastrofa. Stąd sabaty pijanego tłumu pod krzyżem przed pałacem prezydenckim, jad publicystów wyzywających pogrążone w żałobie rodziny od sekciarzy czy ukuty przez sądowego kłamcę Sikorskiego termin „psychoprawica".

Dlaczego Tusk tak się bał stwierdzenia, że w Smoleńsku doszło do zamachu? Bo wówczas stałby się zań po trosze odpowiedzialny. Wróciłyby np. pytania, o czym rozmawiał w czasie wizyty przygotowującej katyńskie uroczystości szef jego kancelarii w moskiewskiej restauracji z szefem administracji Putina? Dlaczego wyprosił z tego spotkania tłumaczkę? Dlaczego zgodzono się na dwie wizyty, a co za tym idzie – obniżenie rangi i stopnia zabezpieczenia tej z udziałem prezydenta? Dlaczego *de facto* oddano śledztwo Rosjanom?

Wszystko, co się działo później, było tylko brnięciem w obronę własnego interesu przy głębokiej pogardzie dla interesu państwa.

Tusk stał się zakładnikiem swoich naiwnych relacji z Putinem i niewybaczalnych, sprzecznych z polską racją stanu decyzji sprzed i tuż po 10 kwietnia.

RAMIĘ W RAMIĘ Z ROSJĄ

Jerzy Miller, szef komisji badającej katastrofę i jednocześnie minister spraw wewnętrznych i administracji u Tuska, już na pierwszym posiedzeniu swojego zespołu wskazał kierunek prac – stworzenie raportu zbieżnego z raportem rosyjskim: „Albo zadbamy o jednolity przekaz, który nie sprzyja budowaniu mitów i podejrzeń, albo sami sobie ukręcimy bicz na własne plecy". I dbali o to nie tylko do lata 2011 r., gdy opublikowali swój raport, lecz także dużo dłużej, gdy działał specjalny zespół propagandowy, który miał bronić dorobku komisji Millera.

Na jego czele stał Maciej Lasek. Ten sam, który dziś stał się twarzą zarzynania projektu Centralnego Portu Komunikacyjnego.

eprasa.pl 9e18b405a8

W styczniu 2011 r. Rosjanie, ogłaszając swój raport, rzucili haniebne oskarżenie pod adresem Dowódcy Sił Powietrznych gen. Andrzeja Błasika, który nie dość, że miał być obecny w momencie katastrofy w kokpicie tupolewa, nie dość, że miał naciskać na załogę, by lądowała w niekorzystnych warunkach, to jeszcze miał być pijany. Wszystko to okazało się nieprawdą. Lecz komisja Millera do samego końca robiła wiele, by na postaci tragicznie zmarłego oficera pozostawić cień podejrzeń. Udało się im.

Ten sam Miller własnym podpisem na podsuniętym przez Rosjan dokumencie 31 maja 2010 r. zgodził się, by czarne skrzynki z rozbitego TU-154M na wieczność pozostały w Moskwie. Wtedy klamka zapadła – Polska zrzekła się podmiotowości w badaniu tej tragedii.

Tusk latami pozostawał głuchy na wezwania do skorzystania z pomocy zachodnich ekspertów. Pierwotnie odrzucili ją w czasie moskiewskiej narady z Putinem Ewa Kopacz i Tomasz Arabski. Kilka miesięcy później, gdy nadzorujący postępowanie wojskowej prokuratury cywil Marek Pasionek próbował uzyskać jakieś wsparcie w śledztwie od oficerów łącznikowych CIA i FBI, „niezależna" prokuratura postawiła mu za to zarzuty karne!

Został z nich oczywiście oczyszczony i na szczęście później – w 2016 r. – to on stanął na czele zespołu śledczego w Prokuraturze Krajowej, który przejął główne śledztwo smoleńskie. Dopiero wtedy nastąpiło jego umiędzynarodowienie oraz powołanie do zespołu biegłych wybitnych naukowców i badaczy katastrof lotniczych z renomowanych zachodnich instytucji. Do współpracy w badaniach kryminalistycznych zaproszono również najlepsze laboratoria w Europie – z Rzymu, Belfastu oraz angielskiego Kent. Ich analizy potwierdziły to, o czym w Polsce pisano już od 2012 r. – na miejscu katastrofy znajdowały się ślady materiałów wybuchowych.

Czy teraz śledztwo zostanie ukończone? Czy lata metodycznej pracy (która i tak nie naprawi wszystkich szkód poczynionych w tej sprawie przed 2016 r.) nie pójdą na marne? Nie ma żadnych powodów, by tak myśleć, skoro jedną z pierwszych decyzji ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza było przywrócenie do obiegu skompromitowanego raportu komisji Millera, tak bliskiego rosyjskiej wersji wydarzeń.

Wracamy do 2011 r. Ma obowiązywać raport komisji Millera. Tuskowi winniśmy być wdzięczni za naiwną politykę „cywilizowania" Rosji i sprawne przeprowadzenie pogrzebów. A jeśli ktoś ośmieli się pytać o jego odpowiedzialność i szukać dowodów na zamach, może nawet będzie odpowiadał za mowę nienawiści według nowych definicji, które szykują hunwejbini wpuszczeni przez szefa PO na salony.

> Jedną z pierwszych decyzji ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza było przywrócenie do obiegu skompromitowanego raportu komisji Millera, tak bliskiego rosyjskiej wersji wydarzeń

NIEZDANY EGZAMIN

Przez lata próbowano nam wmówić, że po 10 kwietnia nasz naród pękł na pół, że rozpoczęła się jakaś wojna polsko-polska, za którą całkowitą odpowiedzialność ponosi Prawo i Sprawiedliwość. Choć w rzeczywistości zaczęło się to już w 2005 r. po przegranych przez Tuska wyborach prezydenckich i zablokowaniu przez niego koalicji PO z PiS. Smoleńsk wyostrzył ten konflikt, bo rozmawialiśmy o elementarnych powinnościach państwa i braku reakcji na wielce prawdopodobny zamach na prezydenta.

Wspomnianą wyżej fałszywą tezę o zdanym przez państwo egzaminie tyle razy powtarzali politycy, publicyści, pseudoeksperci, że wgryzła się ona w umysły wielu. Czasem to ludzie tak młodzi, że nie mają prawa pamiętać, a tym bardziej rozumieć, co działo się na Krakowskim Przedmieściu i w naszej polityce w ciepłych miesiącach 2010 r. Teraz premier osobiście zadba, by mieli jak najmniej możliwości weryfikacji faktów w sprawie największej tragedii powojennej Polski.

Marnym pocieszeniem jest to, że Tusk już 14 lat żyje z poczuciem hańby i będzie mu ono towarzyszyć do końca jego dni. Państwo ma obowiązek zdawania egzaminu w sytuacjach krytycznych. Nie podołało temu, gdy na jego czele stał lider PO. Lecz również później, gdy stery rządzenia przejęło PiS. Sama pamięć – pomniki, filmy, ulice czy skwery – to dużo za mało. Ileż to razy ważni przedstawiciele obozu Zjednoczonej Prawicy na hasło „Smoleńsk" odwracali głowy, bo oznaczało ono tylko kłopoty, związane również z walką wewnętrznych frakcji. Ileż razy niżej podpisany słyszał od prokuratorów, iż są gotowi stawiać zarzuty, ale brakuje decyzji politycznej, bo za chwilę będą wybory i rzecz mogłaby zostać źle odebrana. Na takim myśleniu przeleciało osiem lat. Co się miało przedawnić, przedawniło się. A ci, którzy powinni stanąć przed sądem, wrócili do władzy.

Z najgłębszym smutkiem można dziś myśleć o pokrzywdzonych w tej historii – rodzinach ofiar, których głos o prawdę okazał się wołaniem na puszczy. Ekipa Platformy ostentacyjnie go lekceważyła, zaś następcy tylko udawali, że go słyszą. Każda z tych 95 rodzin ma najwięcej do powiedzenia o tym, jak bardzo nasze państwo zawodzi w godzinie próby.

14 lat temu zginęła duża część elity obozu niepodległościowego. Ponosząc najwyższą ofiarę, ci ludzie pokazali, że Polska to śmiertelnie poważna sprawa.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że my wszyscy – jako politycy, obserwatorzy życia publicznego, dziennikarze oraz wyborcy – jeszcze się tego nie nauczyliśmy.

eprasa.pl 9e18b405a8

Uczniowie drugiej kategorii

Stało się. Rozporządzenie resortu edukacji dotyczące prac domowych oraz oceny klasyfikacyjnej z religii i etyki weszło w życie. Od 1 kwietnia uczniowie szkół podstawowych nie muszą odrabiać lekcji w domu. Nowe przepisy grożą pogłębianiem, a nie zmniejszaniem przepaści między dzieciakami

DOROTA ŁOSIEWICZ

„Dziś pani powiedziała, że już nie będzie mogła wpisywać do Librusa, że mamy coś zadane" – oznajmiła moja najmłodsza (lat 8) we środę po powrocie ze szkoły. „Pani powiedziała, że teraz zadania będziemy robić na lekcji, a kto nie zdąży, może skończyć w domu, ale ona nie może nam kazać tego zrobić. Za to następnego dnia pani oceni pracę na lekcji" – kontynuowała relację moja córka. Uff – pomyślałam, czyli jednak jest jakiś pomysł na to, żeby wyegzekwować wiedzę i umiejętności od uczniów.

NAUCZYCIELE BEZ ENTUZJAZMU

Zgodnie z nowym rozporządzeniem w klasach I–III szkoły podstawowej nauczyciele nie będą zadawać prac domowych do wykonania przez ucznia w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych. Wyjątek stanowią prace dotyczące usprawniania motoryki małej, czyli ćwiczeń polegających na rozwijaniu umiejętności ruchowych dłoni. W klasach IV–VIII szkoły podstawowej uczniowie nie będą mieli obowiązku wykonywania prac domowych zadawanych w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych. Wykonanie lub niewykonanie pracy domowej nie będzie oceniane.

„Dzięki temu rozwiązaniu uczniowie będą mieli więcej czasu na utrwalanie

Fot. Shutterstock

wiedzy, przygotowanie się do sprawdzianów, czytanie książek, a także, co bardzo ważne, realizowanie swoich pasji i odpoczynek" – tłumaczyła podczas konferencji prasowej minister edukacji Barbara Nowacka.

Nowe przepisy nie oznaczają zniesienia obowiązku uczenia się w domu, czyli nauki czytania w przypadku najmłodszych uczniów, czytania lektur, przyswojenia określonych treści, słówek z języków obcych czy powtarzania materiału omówionego podczas lekcji – wyjaśnia resort.

Choć szefowa Ministerstwa Edukacji Narodowej twierdzi, że nowe przepisy wychodzą naprzeciw oczekiwaniom środowiska nauczycieli i rodziców, ani jedni, ani drudzy raczej nie tryskają entuzjazmem.

Gdy tylko pojawiła się zapowiedź rozporządzenia, portal Głos Nauczycielski zapytał w sondzie nauczycieli, co sądzą o pomyśle. 40 proc. respondentów stwierdziło, że „taka zmiana powinna zostać uprzednio skonsultowana ze środowiskiem oświatowym", kolejne niemal 30 proc. „źle ocenia pomysł" i uważa, że „za wcześnie na takie zmiany". Ideę dobrze oceniało jedynie 18 proc. osób, które oddały głos. 82 proc. nauczycieli, którzy wzięli udział w sondzie Sieci Organizacji Społecznych SOS dla Edukacji, uważa, że prace domowe są potrzebne. 85 proc. twierdzi, że to oni powinni podejmować decyzje o tym, ile i jakie prace są zadawane. Jednocześnie 57 proc. sądzi, że ich liczba powinna być zmniejszona.

Po opublikowaniu rozporządzenia nauczyciele skarżą się m.in. na brak definicji prawnych w przepisach, co może skutkować skargami rodziców i postępowaniami dyscyplinarnymi wobec nauczycieli, którzy nie będą respektować przepisów. To nie koniec listy żalów. „To odbiera nauczycielowi prawo do wyboru stosowanych przez niego metod dydaktycznych, podważa jego kompetencje i ogranicza możliwość realizacji celów dydaktycznych. W miejsce takiej ingerencji w metodykę nauczania lepsze byłoby wydanie rekomendacji, wytycznych, jak lepiej wykorzystać samodzielną pracę ucznia" – powiedziała portalowi dziennik.pl rzeczniczka ZNP Magdalena Kaszulanis. „Zamiast likwidować prace domowe, należy je ograniczyć. Zdaniem ZNP jeśli nauczyciel może zadać uczniowi pracę domową, to należy również umożliwić uczniowi uzyskanie oceny z odrobionej pracy".

Swojego niezadowolenia nie kryje także prezes ZNP Sławomir Broniarz, którego raczej nie można posądzać o niesprzyjanie obecnej władzy. „Nie ukrywam, że z mojego punktu widzenia tempo wdrożenia tej deklaracji premiera Donalda Tuska było nadmierne" – mówił w radiu RMF24. „W 2017 r. przeprowadziliśmy badania dotyczące roli prac domowych w zakresie pogłębiania umiejętności, pogłębiania kompetencji indywidualnych dzieci. Z tych badań wynikało, że w szkołach ponadpodstawowych praca domowa jest rzeczą niebagatelną i nie jest dyskutowana jej zasadność. Natomiast jeśli chodzi o klasy IV–VIII, to z tych badań wynikało, że u dzieci o wysokim poziomie wiedzy, umiejętności, to ta praca domowa ma mniejsze znaczenie w relacji do uczniów, którzy mają trochę gorsze wyniki nauczenia, którzy muszą pewne umiejętności sobie utrwalić, powtórzyć" – tłumaczył Broniarz.

> Aby choć trochę te negatywne skutki ograniczyć, dobrzy nauczyciele powinni jak najszerzej zakładać i prowadzić na terenie szkół kółka zainteresowań

POGŁĘBIANIE RÓŻNIC

Nie sposób się nie zgodzić ze Sławomirem Broniarzem, że nowe przepisy jeszcze tylko pogłębią i utrwalą różnice między dziećmi, którym nauka przychodzi łatwiej, a tymi z większymi problemami. Choć oczywiście zawsze można powiedzieć, że jak ktoś chce, to może się uczyć. Jednak jak coś nie jest obowiązkowe, to trudniej będzie przekonać młodego człowieka, że warto. Poza tym na realizowanie pasji zamiast ślęczenia nad lekcjami przy biurku, do czego tak zachęca szefowa MEN, trzeba mieć środki. I tu znów pojawia się ryzyko pogłębienia, a nie zasypania różnic między dziećmi z rodzin biedniejszych i bogatszych.

Ale i to nie wszystko. Media zwracają uwagę na jeszcze jedną kwestię, która będzie pogłębiać przepaść między uczniami. Jak informuje „DGP", analiza przepisów może prowadzić do wniosku, że zakaz, owszem, obowiązuje, ale tylko w szkołach publicznych.

„Art. 14 ust. 3 pkt 3 prawa oświatowego odnosi się do niepublicznych szkół w zakresie klasyfikowania i promowania oraz zasad przeprowadzania egzaminów, które obowiązują w szkołach publicznych" – wyjaśnia Łukasz Łuczak, adwokat i ekspert ds. edukacji. „Ustawodawca nie wskazuje, że w szkołach niepublicznych zastosowanie mają zasady oceniania uczniów w publicznych szkołach. Nie ma więc też do tych placówek zastosowania ograniczenie związane z zadawaniem prac domowych" – podkreśla mecenas. Jak dodaje, taka regulacja może pogłębić różnice w poziomie nauczania między placówkami publicznymi i niepublicznymi na korzyść tych ostatnich. I w ten sposób uczniowie z rodzin lepiej sytuowanych będą mieć lepszy start w dorosłość.

„Rozwiązanie dotyczące zniesienia obowiązkowych prac domowych i wprowadzenia zasady ich nieoceniania uważam za zdecydowanie złe" – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" Wojciech Starzyński, prezes zarządu Fundacji Rodzice Szkole, członek Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie RP. „Spowoduje ono wyraźne obniżenie poziomu wiedzy, z którą uczeń będzie opuszczał szkołę podstawową. Skutkiem tej sytuacji będzie obniżenie progu dostawania się do

szkół ponadpodstawowych, a w konsekwencji obniżenie poziomu nauki w liceach ogólnokształcących i technikach zawodowych. Ta sytuacja wymusi obniżenie wymagań maturalnych, a w konsekwencji przystępowanie do studiów »gorszego materiału«. Efekt końcowy to gorsze przygotowanie młodego pokolenia do życia w świecie, w którym o sukcesie zawodowym i finansowym coraz wyraźniej decyduje poziom wykształcenia. Warto pamiętać, że obecne propozycje minister edukacji to nie jest pomyłka wynikająca z braku wiedzy, ale świadome działanie obecnej ekipy mające na celu »wyhodowanie« pracowników do zbierania w Niemczech szparagów, a nie przyszłych absolwentów Oxfordu.

Ekspert twierdzi, że nowe rozwiązania zamiast wyrównywać szanse edukacyjne dzieci i młodzieży będą ich dzieliły na gorzej i lepiej wyedukowanych obywateli. „To jest rozwiązanie, które zaczyna obowiązywać w całej Europie. Stworzenie europejskiej przestrzeni edukacyjnej ma doprowadzić do wyhodowania wąskiej, bardzo dobrze wykształconej elity Europejczyków i szerokiej masy robotników" – dodaje Starzyński.

CO NA TO RODZICE?

W mediach społecznościowych rodzice chętnie komentują nowe rozporządzenie. „Hurrrraaaaa! Będzie więcej czasu, żeby siedzieć na insta, FB, X. Absolwentowi takiej szkoły będzie wystarczało zdjęcie, jak ułożyć towar na półce. Ewentualnie dwugodzinne szkolenie dla menedżerów powierzchni płaskich" – czytam na jednym z portali.

Sama także na swoim profilu na Facebooku zapytałam nauczycieli i rodziców o ocenę nowego prawa. To tylko niektóre z licznych odpowiedzi.

„Pomysł beznadziejny. Dzieci rodziców, którzy mają czas lub zapłacą za dodatkowe lekcje, będą miały przewagę nad innymi. Może właśnie o to w tym chodzi" – odpowiedział mi Andrzej Zalewski. Zaś Paweł Pąklak komentuje: „Chodzi o stworzenie głupiego elektoratu. Przyszły wyborca ma być głupi! W szkołach prywatnych będą prace domowe i tam będą chodzić dzieci pani ministry Barbary Nowackiej. Ciemny lud wszystko kupi, że to dla dobra Polski! Tylko Polski już nie będzie w sercach Polaków".

„Pani Doroto, pracowałam z dziećmi w różnym wieku ponad 40 lat i nie wyobrażam sobie, żeby świadomy swoich obowiązków nauczyciel czy rodzic się z tym godził. Nie wyobrażam sobie i mam świadomość, co stanie się z naszymi dziećmi i młodzieżą. Nie wolno do tego dopuścić za żądną cenę. Tylko »tumiwisizm« dużej grupy nauczycieli i niestety także rodziców jest bardzo niebezpieczny!" – komentuje Krystyna Chabrowska.

> Zapytałam nauczycieli i rodziców o ocenę nowego prawa: „Pomysł beznadziejny. Dzieci rodziców, którzy zapłacą za dodatkowe lekcje, będą miały przewagę nad innymi"; „Chodzi o stworzenie głupiego elektoratu. W szkołach prywatnych będą prace domowe i tam będą chodzić dzieci pani ministry Nowackiej. Ciemny lud wszystko kupi"

Agnieszka Sokół pisze natomiast tak: „Dziecko w domu pracuje inaczej. Jako rodzic kładę duży nacisk na samodzielność. Odrabiając lekcje, dziecko utrwala wiedzę, ćwiczy nabytą wiedzę w praktyce, rozwija wyobraźnię, uczy się uczyć w sposób dla siebie najbardziej efektywny, uczy się wyrażać myśli, uczy się korzystać z różnych źródeł wiedzy. Sprowadzanie zadań domowych jedynie do bezpodstawnego zamęczania dzieci świadczy o wyjątkowej ignorancji i kompletnym braku wiedzy na temat mechanizmu nauczania i rozwoju młodego człowieka. Rozporządzenie podpisane przez obecną minister doprowadzi do ogromnej niesprawiedliwości oraz podziałów, które odbiją się na psychice dzieci. Jestem pewna, że moje dzieci będą odrabiały »nieobowiązkowe« prace domowe. Natomiast nauczyciel nie będzie mógł w żaden sposób docenić lub wyróżnić takich dzieci na tle tych, którzy odrabiać lekcji nie będą. Jaką zatem moje dzieci będą miały motywację? W jaki sposób mam im wyjaśnić, że praca przynosi korzyści? Korzyści oczywiście w perspektywie czasu będą – w postaci wyników na egzaminach itd. Tyle że taki argument dla 7- czy 10-latka jest niezrozumiały i niezadowalający. Mam nadzieję, że zgodnie z naszą narodową cechą, iż Polak na wszystko znajdzie sposób, mądrzy nauczyciele na to też go znajdą".

Na szczęście już pojawiają się pomysły nauczycieli, co zrobić, by jednak egzekwować wiedzę. Jeden z nich to podany na początku tekstu pomysł, by oceniać pracę na lekcji z dnia poprzedniego. Ci, którzy nie dokończą zadania z lekcji w domu, powinni się liczyć z gorszą oceną. Słyszę także wśród nauczycieli pomysły na pracę w domu nad tzw. projektami.

„Aby choć trochę ograniczyć te negatywne skutki, dobrzy nauczyciele powinni jak najszerzej zakładać i prowadzić na terenie szkół kółka zainteresowań (oczywiście przy akceptacji i pomocy rodziców). Będzie to miejsce i okazja do pogłębiania dla chętnych wiedzy i wyrównywania szans edukacyjnych. Niestety to tylko pewnego rodzaju proteza. Z rozmów z nauczycielami słyszę i takie pomysły, że nauczyciel zada do domu nieobowiązkowe zadanie, ale już jego wykonanie wyegzekwuje szybką kartkówką, które przecież zabronione nie są. Jedyna nadzieja w znanej niepokorności i pomysłowości Polaków" – mówi Wojciech Starzyński.

No cóż, takie mamy czasy, że wiedzę trzeba będzie zdobywać pomysłem i podstępem.

Amerykanów zawsze, Rosjan nigdy, a z Niemcami to różnie

Polacy nadal są narodem bardzo proeuropejskim, a z narodów europejskich – najbardziej proamerykańskim i konsekwentnie antyrosyjskim. Z badań opinii publicznej wynika, że nasze społeczeństwo żywo reaguje na wydarzenia w Europie i na świecie oraz postrzega inne wspólnoty przez pryzmat własnego bezpieczeństwa

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

W marcu 2024 r. Centrum Badania Opinii Społecznej opublikowało komunikat z badań na temat stosunku Polaków do innych narodów. Dzięki temu, że CBOS prowadzi takie badania od 1993 r., możemy prześledzić nie tylko obecne sympatie i antypatie, lecz także zmiany nastawienia w historii najnowszej. Dzięki tym danym łatwo poznać, „czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie", czy ledwie przejściowe zauroczenie.

ROSJAN NIE DA SIĘ LUBIĆ

Według średniej ocen na skali sympatii–antypatii jesteśmy najbardziej życzliwie nastawieni do Amerykanów, Włochów, Czechów i Słowaków, choć Finowie i Anglicy też są w czołówce. Najgorzej wypadają Rosjanie, którzy we wzbudzaniu do siebie niechęci deklasują wszystkie inne narody. Najbardziej ambiwalentne uczucia żywimy wobec Turków i Żydów. Tyle średnia, ale zmiany w ciągu ostatnich dekad, a zwłaszcza kilku lat, pozwalają dostrzec stałe trendy.

I tak np. Rosjanie konsekwentnie są czarnymi bohaterami naszych wyobrażeń. Wyjątek stanowią lata 2010–2013, czyli szczyt resetu rządów Donalda Tuska i Władimira Putina z rusofilską histerią rozpętaną po tragedii smoleńskiej, kiedy mainstreamowe media zachęcały nawet do zapalania zniczy na cmentarzach Armii Czerwonej w rocznicę stalinowskiego święta zwycięstwa. Atak Rosji na Ukrainę w 2014 r., wtedy jeszcze o charakterze hybrydowym, załamał trend życzliwości dla Moskali, a po pełnoskalowej inwazji na Kijów poddani Putina są obiektem szczególnej niechęci Polaków.

Inaczej rzecz się ma z Ukraińcami, którzy w początkach lat 90. byli oceniani wyjątkowo nisko – gorzej niż Rosjanie czy Białorusini, ale konsekwentnie, rok po roku, przekonywali nas do siebie i budzili coraz więcej sympatii. Od 2008 r. więcej Polaków darzyła naszych wschodnich sąsiadów sympatią niż antypatią, zaś po 2022 r. Ukraińców polubiliśmy bardziej niż Niemców (którzy są stosunkowo wysoko w tabeli sympatii), a nawet Litwinów. Ostatni rok ostudził nasz entuzjazm dla Ukraińców, widać tu wyraźny spadek, ale wciąż jest to życzliwość większa niż w dawniejszych latach: 40 proc. badanych wyraża sympatię, 30 proc. – niechęć, a 26 proc. – obojętność.

ANTYAMERYKANIZM TUSKA DZIAŁAŁ SŁABO

Ciekawie prezentuje się nasz stosunek do najsilniejszego narodu świata. Amerykanów zawsze darzyliśmy wyraźną sympatią, choć podczas drugiej kadencji Baracka Obamy i Donalda Tuska spadła ona zaledwie do 41 proc. pozytywnych opinii (przy ponad 60 proc. w najlepszych latach badań). Ostatnie cztery lata to eksplozja życzliwości – w 2023 r. aż 68 proc. Polaków pozytywnie wyrażało się o narodzie zza Atlantyku, obecnie jest to 65 proc., czyli mniej więcej tyle, ile w czasie gdy Polska wstępowała do NATO.

eprasa.pl 9e18b405a8

Trudno uniknąć wrażenia, że w powszechnej świadomości nasze kontakty z USA wiążą się z naszym poczuciem bezpieczeństwa oraz wspólnoty z szeryfem świata i tylko w szczytowej epoce Donalda Tuska, gdy poparcie dla Waszyngtonu spadało, to Niemcy osiągali porównywalny poziom sympatii wśród naszych rodaków. Jednocześnie wygląda na to, że cały anglosaski świat budzi nasze zrozumienie i sympatię, skoro w ostatnich latach Anglicy także wywołują pozytywne skojarzenia wśród powyżej 50 proc. ankietowanych.

POLACY OCENIAJĄ IZRAEL

Dziwnie symetrycznie układa się stosunek Polaków do Żydów – równo 32 proc. ankietowanych wyraża sympatię do tego narodu, a drugie 32 proc. niechęć, 27 proc. ma stosunek obojętny, a 9 proc. nie ma zdania. Badanie zostało zrobione jeszcze przed śmiercią polskiego wolontariusza, który wiózł pomoc humanitarną do Palestyny. 36-latek zginął od izraelskiego ostrzału, więc pewnie liczba zadeklarowanej niechęci do Żydów, zwłaszcza po butnym zachowaniu ambasadora Izraela w Polsce, mogłaby wzrosnąć. Śledząc stosunek Polaków do współczesnych Żydów, w ciągu trzech dekad łatwo odnotować stopniowy wzrost – w 1993 r. 15 proc. Polaków wyrażało sympatię do tego narodu, w 2024 r. już ponad dwa razy więcej – 32 proc.

Warto podkreślić, że standardowe badania stosunku jednych narodów do drugich są sumą społecznych stereotypów, doświadczeń oraz subiektywnych przekonań. W Polsce nie ma odnotowanego statystycznego antysemityzmu, lecz zwykłe relacje pomiędzy narodami. Konkretną niechęć wobec narodów przejawiamy np. w stosunku do Palestyńczyków (35 proc. antypatii) czy Białorusinów (aż 47 proc.), a sami Żydzi, wbrew pedagogice wstydu, nie zajmują szczególnego miejsca w polskich rozważaniach i wyobrażeniach o świecie. Autorzy badania oceniają stosunek do Żydów i do Palestyńczyków także przez pryzmat polskich ocen konfliktu na Bliskim Wschodzie. „[W ostatnim okresie] wzrost sympatii do Palestyńczyków połączony ze wzrostem niechęci do Żydów może się wiązać z rozgorzałym na nowo konfliktem izraelsko-palestyńskim, choć warto zwrócić uwagę, że z sondażu, który poświęciliśmy sytuacji na Bliskim Wschodzie, wynikało, iż sympatie Polaków wciąż plasują się w większym stopniu po stronie izraelskiej (większość badanych nie opowiadała się zresztą po żadnej ze stron)" – czytamy w omówieniu badania.

Miejsce współczesnego Izraela w naszych wyobrażeniach o świecie nadal się kształtuje i wiele zależy od polityki i dyplomacji. Kiedy więc ambasador Jakow Liwne odmawia Polakom prawa do żałoby i poruszenia po śmierci polskiego wolontariusza w Strefie Gazy, a zamiast przeprosić, sugeruje nam nastroje antysemickie, to *de facto* psuje relacje polsko-żydowskie.

JUŻ NIE TAKIE BRATANKI

Stosunek Polaków do Cyganów nieco się zmienia, aczkolwiek jest to grupa powszechnie oceniana źle. Obecnie swoją niechęć deklaruje 43 proc. ankietowanych (sympatię 22 proc.), ale w latach 90. nawet trzy czwarte Polaków wyraźnie nie lubiło Romów. Prowadzone od lat kampanie społeczne na rzecz zrozumienia ludności romskiej mogą więc wywoływać zaplanowany efekt oswajania się z innością i specyfiką tej grupy kulturowo-etnicznej.

Wbrew pozorom „bratankowie" z Węgier nie budzą aż takiej miłości, jak to się opowiada w przysłowiach. Owszem, prawie połowa Polaków wyraża się o Węgrach z sympatią (przy niewielkiej, 17-proc. niechęci), ale bardziej niż Węgrów cenimy Finów, Litwinów, Anglików czy naszych południowych sąsiadów. Węgrzy sporo stracili po rosyjskiej inwazji na Ukrainę – z poziomu ok. 60 proc. sympatii spadli do obecnego poziomu 46 proc.

SZANUJ POLAKA SWEGO

Potwierdziłaby się tutaj teza, że jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to z Polakami nie ma żartów – ambiwalentna polityka Budapesztu wobec Moskwy i brak jednoznacznego potępienia wpłynęły na nastroje naszych rodaków. Stosunek do Niemców jest względnie przyjazny, ale bez przesady, więcej osób (40 proc. darzy ich sympatią niż antypatią – 31 proc.), ale pierwsza reakcja Berlina na rosyjską inwazję na Ukrainę wyraźnie zawiodła Polaków.

Oprócz badań CBOS warto zwrócić uwagę na sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej", z którego wynika, że Polacy mniej idealizują Unię Europejską, a wobec Brukseli narasta sceptycyzm. Prawie 17 proc. naszych rodaków uważa, że wady UE przeważają nad zaletami, a co czwarty ankietowany jest zdania, że te plusy i minusy się równoważą. Co trzeci ankietowany wskazał na narzucanie unijnego prawa za największą wadę Unii, niewiele mniej za znaczący problem uznało „nierówne traktowanie krajów".

Społeczeństwo nad Wisłą jest wrażliwe na geopolitykę i oczekuje docenia nia oraz godnego traktowania swojej wspólnoty. Jesteśmy więc konsekwentnie prozachodni, antywschodni i reagujemy wrażliwie, gdy ktoś próbuje nas poniżyć czy umniejszyć naszą rolę. Te wszystkie zdrowe odruchy działają w warunkach dramatycznej nierównowagi medialnej i oskarżania Polaków o wszystkie grzechy ksenofobii. Każdy polityk, który będzie próbował narzucić nam swoją wolę, musi się liczyć z tym wyraźnym profilem polskiego społeczeństwa. W nadchodzących latach Europa będzie próbowała wbić klin między nasz region i Amerykę (zwłaszcza po zwycięstwie Trumpa), ale z Polakami nie pójdzie im tak łatwo.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9e18b405a8

Kościół, który trwa

Wybór abp. Tadeusza Wojdy na nowego przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski jest pozytywną kontynuacją. Dlatego złości to tych, którym marzy się polityka postępu w polskim Kościele

GORAN ANDRIJANIĆ

Reakcję medialnych kręgów katolickich na wybór metropolity gdańskiego abp. Tadeusza Wojdy na nowego przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski można opisać na dwa sposoby.

Pierwszy to zwykła rejestracja tego faktu, bez szczególnie entuzjastycznych tonów i głębszych analiz, co to oznacza dla Kościoła katolickiego w Polsce.

Do drugiego należą ostre ataki na nowego przewodniczącego KEP, przy czym część z nich można uznać za intelektualnie nieuczciwe oraz te *ad personam*.

Jeśli chodzi o te pierwsze, zawsze można powiedzieć, że brak głębszej reakcji dotyczącej nowego przewodniczącego jest związany z niewielką wagą tego stanowiska. Jak można usłyszeć w kręgach kościelnych, funkcja ta nie ma takiego znaczenia, które kiedyś miał prymas Polski. Przewodniczący nie jest liderem Kościoła katolickiego w naszym kraju, lecz kimś, kto zarządza przebiegiem obrad Konferencji Episkopatu.

Drugi rodzaj reakcji – mocna krytyka metropolity gdańskiego – dowodzi jednak, że funkcja ta nie jest aż tak mało ważna, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka.

OTWARCI I LIBERALNI

Komentatorzy, których można określić jako zwolenników „liberalnej" koncepcji Kościoła, wypowiadali się o Wojdzie w sposób, delikatnie mówiąc, niesprawiedliwy. Np. Tomasz Terlikowski wybór Wojdy opisał w apokaliptycznym tonie: „Jeśli biskupi chcieli przyspieszyć utratę społecznego znaczenia Kościoła, uświadomić, że hierarchia w naszym kraju nie jest zdolna do jakiejkolwiek zmiany – to odnieśli sukces. Wybór abp. Tadeusza Wojdy jest zdecydowanym krokiem w kierunku przepaści". Według niego „metropolita gdański to klasyczny hierarcha bez właściwości".

„Biskupi nie chcą zmiany, nie chcą wyrazistej linii, chcą zachowania i konserwowania tego, co właśnie wygasa. Zamiast zatrzymania pewnych procesów będą mieli nijakiego przewodniczącego i wreszcie – co prawdopodobne – w krótkiej perspektywie wysyp informacji o tym, jak abp Wojda traktuje osoby skrzywdzone w swojej diecezji i jak nie radzi sobie ze sprawcami tego rodzaju przestępstw" – podkreślił Terlikowski.

Podobną opinię wyraził jeszcze jeden piewca „kościoła otwartego" – Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny pisma „Więź". W tekście pt. „Zwyciężyła frakcja nijakości" napisał: „Metropolita gdański znany jest przecież przede wszystkim z tego, że jest nieznany... Posiadanie szerszej i głębszej wizji Kościoła w naszych czasach jest ostatnią rzeczą, o którą można by go posądzać. A bez takiej wizji przyszłość Kościoła oznacza kolejne etapy procesu odkościelniania polskiej wiary, zanikania społecznego znaczenia katolicyzmu".

Warto zauważyć, że w pewnym fragmencie tekstu Nosowski w bardzo perfidny sposób oskarżył arcybiskupa o nawoływanie do przemocy wobec osób homoseksualnych. Autor przypominał, jak Wojda, wtedy arcybiskup białostocki, krytykował w 2019 r. ideologię LGBT. Według Nosowskiego w ten sposób przyczynił się do prze-

Fot. EpiskopatNews

eprasa.pl 9e18b405a8

mocy wobec gejowskiego marszu, który odbył się w tym mieście kilka dni później.

Co ciekawe, podobne opinie do tych wyrażonych przez Terlikowskiego i Nosowskiego znalazły się później w tekście francuskiej agencji informacyjnej AFP. W artykule pt. „Kościół w Polsce nad przepaścią" rzeczywistość i przyszłość Kościoła katolickiego w naszym kraju została przedstawiona, delikatnie mówiąc, w ciemnych barwach. Powodem tych diagnoz był właśnie wybór nowego przewodniczącego KEP.

Według autorów ta decyzja pokazuje, że biskupi nie są świadomi ciężkiego stanu, w jakim znajduje się Kościół w Polsce. Metropolita gdański został także opisany jako ksiądz, który uczestniczył w „kampanii nienawiści wobec osób LGBT".

Później tekst AFP został przetłumaczony przez inne agencje informacyjne, m.in. przez chorwacką. Kiedy więc zadzwonili do mnie przyjaciele z Chorwacji, musiałem im tłumaczyć, że Kościół w Polsce wcale nie stoi nad przepaścią.

Tak czy inaczej, reakcja kościelnych liberałów na nominację Wojdy jest bardziej niż interesująca. Jeśli metropolita gdański rzeczywiście jest tak „bezosobowy", jak twierdzą, to dlaczego tak mocno im przeszkadza?

SKĄD TA KRYTYKA?

Ks. Robert Skrzypczak, profesor Akademii Katolickiej w Warszawie, uważa, że powodem tych ataków mogło być rozczarowanie. „Wystarczyło wsłuchać się w głos tych publicystów, którzy zabierali głos i widać było wyraźne rozczarowanie, że to nie ich kandydat został wybrany. Gdzieś w tym głosie dziennikarzy pobrzmiewała nadzieja na rewolucję w Kościele. Przy czym ta rewolucja w moim przekonaniu nie łączyła się z jakością Kościoła. Nie jest związana np. z podniesieniem piękna liturgii czy jakiegoś lepszego sposobu funkcjonowania wspólnot kościelnych. Ta krytyka bardziej dotyczyła zagadnień politycznych" – powiedział nam ks. Skrzypczak.

Jednym z głównych argumentów przeciwko Wojdzie podnoszonym przez jego krytyków jest ten, że jego nominacja niczego nie zmieni w podejściu polskiego Kościoła do przestępstw na tle seksualnym. Ale metropolicie Gdańska nie można niczego poważnego zarzucić w tej kwestii. Nie był on w centrum żadnego skandalu z powodu nieodpowiedniego ukarania księdza pedofila. Lecz sam fakt, że wygrał z faworytami liberalnych salonów, jest wystarczający, aby go zaatakować.

„Są pewni dziennikarze, którym chodzi tylko o radykalne kroki związane z walką przeciwko wykorzystaniu seksualnemu w Kościele. Traktują to zawsze jako najważniejszy punkt misji Kościoła w Polsce" – mówi ks. Skrzypczak i kontynuuje: „Z całym szacunkiem dla cierpienia ofiar, to nie jest najważniejsza misja Kościoła. Co oczywiście nie znaczy, że nie musimy zrobić co w naszej mocy, żeby wszystkich ochronić, nikogo nie odepchnąć od Kościoła i nie być powodem rozczarowania".

> „Wielkim walorem abp. Wojdy jest to, że od lat zajmuje się misyjnością Kościoła. Mam więc nadzieję, że będzie miał tę wrażliwość i pomoże nam odzyskać priorytet misyjności ewangelizacji w Polsce" – mówi ks. Skrzypczak

Według ks. Skrzypczaka ostre reakcje na wybór Wojdy pokazują pewne tendencje w polskim Kościele. „Wielu marzy się podobna droga synodalna, przez jaką przechodzi teraz kościół w Niemczech. Niektórzy szczerze myślą, że w Polsce będzie lepiej, jeśli do święceń zostaną dopuszczone kobiety albo będzie więcej demokracji w parafiach. Założenie jest takie, że musimy się oderwać od dotychczasowego sposobu funkcjonowania i postawić na jakiś progres, na jakieś nowe. A skoro nie zostali wybrani ci kandydaci, którzy mieli w założeniu zapewnić szybki postęp, to w takim razie zostaje nam tylko narzekanie, że nic się nie będzie działo. Czyli kontynuacja tej samej linii Kościoła w Polsce równa się anihilacja Kościoła".

CZEGO POTRZEBUJE KOŚCIÓŁ?

W świetle tego, co mówi ks. Skrzypczak, staje się jasne, dlaczego Wojda nie pasuje wielu.

Jego wybór na przewodniczącego KEP jest kontynuacją postawy polskiego Kościoła wobec zagrożeń współczesnej cywilizacji. Znakiem sprzeciwu wobec liberalnej agresji. Dla Kościoła w Polsce wierność ewangelii i nauczaniu Jezusa pozostaje jedynym skutecznym i możliwym środkiem walki z tymi negatywnymi zjawiskami. Brak zgody na kompromisy. Złudzeniem jest twierdzenie, że kryzys duchowości, który od dawna trwa na Zachodzie, nie dotarł do Polski. Presja sekularyzacji jest ogromna. Nie da się jej jednak pokonać, schlebiając światu i otwierając się na nowe prądy.

„Dla Kościoła nie tyle jest ważna religijność, ile wiara. Potrzebujemy budzić w ludziach wiarę. A co budzi ją w ludziach? Głoszenie ewangelii, czyli głoszenie kerygmatu, dawanie świadectwa o miłości Boga oraz jakość i piękno liturgii oraz modlitwy. Dzisiaj powinniśmy się skupiać na tych priorytetach. Potrzebujemy się przestawić z myślenia, że jesteśmy społeczeństwem katolickim, które potrzebuje tylko duszpasterstw. Potrzebujemy ofensywy ewangelizacyjnej, dawania świadectwa o Chrystusie ludziom, którzy są pogubieni i będą się gubić coraz bardziej. Społeczeństwo będzie coraz bardziej pluralistyczne i coraz częściej będzie przedstawiało ludziom różne alternatywy, także duchowe" – mówi ks. Skrzypczak i konkluduje: „Wielkim walorem abp. Wojdy jest to, że od lat zajmuje się misyjnością Kościoła. Mam więc nadzieję, że będzie miał tę wrażliwość i pomoże nam odzyskać priorytet misyjności ewangelizacji w Polsce".

eprasa.pl 9e18b405a8

Stawmy opór tej rewolucji

Rewolucja kulturowa rozkłada jedność społeczną, zagrożone są nasze wolności osobiste i narodowe. Dlatego nie powinniśmy stać z boku. Niech nas zobaczą! Idziemy pod hasłem: „Niech żyje Polska!" – mówi ***Bogusław Kiernicki***, koordynator Narodowego Marszu Życia, który 14 kwietnia przejdzie ulicami Warszawy, w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem

Jako naród i Europejczycy wymieramy, choć żyjemy w dobrobycie i dostępie do medycyny niespotykanym w poprzednich stuleciach. Dlaczego tak się dzieje?

Bogusław Kiernicki: Jedna z odpowiedzi brzmi, że to wszystko dzieje się w naszych umysłach, że jest to przede wszystkim kwestia kultury i cywilizacyjnego pesymizmu. W narodach, które tracą wiarę w przyszłość i swoją misję, przestają się rodzić dzieci. A gdy słabnie rodzina, wymierają nie tylko narody, lecz także upadają całe cywilizacje. To w dużej mierze wynik zwycięstwa konsumpcji, przyjemności i wygody.

To może być przeszkodą?

Oczywiście nie chodzi o to, by ludziom żyło się gorzej, przeciwnie – chcemy żyć lepiej. Jednak jak pokazuje historia, w momencie osiągnięcia pewnego komfortu nie jest to już jakiś stymulator życia i rozwoju. Z tym że nie chcę, broń Boże, propagować jakiejś defetystycznej wizji w tym zakresie. W zasięgu ambitnego społeczeństwa jest możliwy jakiś zwrot kulturowy i idący za nim przełom demograficzny.

Ale w którym momencie te negatywne trendy ujawniły się w Polsce? Bo stało się to na pewno później niż na Zachodzie. Czy przyniósł to kapitalizm z przełomu lat 80. i 90.?

Na pewno pojawiły się wówczas zjawiska, które osłabiły stabilność rodziny. Choćby bezrobocie czy lęk przed utratą pracy. Trzeba też pewnie do tego dodać wielką falę emigracyjną, która rozdzieliła, często na stałe, wiele rodzin. Jak wiele było sytuacji, gdy młode małżeństwa rozchodziły się faktycznie zaraz po ślubie, bo jedno zostawało w kraju, a drugie wyjeżdżało do pracy, starając się zapewnić rodzinie lepsze życie? Ten czas był z pewnością momentem wielkiej zmiany. Na te problemy ekonomiczne niebawem nałożyły się zmiany kulturowe.

Jakie?

Chodzi mi o nowe formaty i wzory życia osobistego, które szybko i radykalnie zmieniły styl życia młodych ludzi. Proponowały jego organizowanie w nowy sposób, często poza rodziną, choćby w formule samorealizujących się singli. Później dochodzą do tego wzorce genderowe czy ideologia klimatyczna, według której jesteśmy strasznym „ciężarem" i „zagrożeniem" planety. Okazało się też, że dziecko nie tylko „kosztuje", lecz także może być nawet formą nieekologicznego „pasożyta". Zaczynaliśmy więc od lansowania modelu małej rodziny o niskiej dzietności, która nie odtwarza w prosty sposób pokoleń, a kończymy na uznaniu dzieci już nie za naturalny cel i spełnienie rodziny, lecz za niebezpieczny ciężar dla rodziców i otoczenia. Co ciekawe, takie stawianie sprawy nie budzi już żadnej poważniejszej reakcji.

Jest wiele młodych par żyjących bez ślubu, dzieci, a posiadających jakieś zwierzęta.

To prawda. Często jest tak, że zwierzęta domowe zastępują w domach dzieci. To może banalna prawda, ale dzieci są absorbujące i wymagające. A my chcielibyśmy swobodnie zarządzać swoim czasem. Wyjazdy, spotkania towarzyskie, fitness, a także praca i kariera. W tym kontekście dzieci i zobowiązania rodzinne stają się coraz bardziej krępujące. Dziecko, a na pewno dzieci, utrudniają korzystanie z życia w nieograniczony sposób.

Jako fundacja zachęcacie młodych do założenia rodziny, pomagacie w „rozwijaniu kompetencji rodzicielskich". W dorosłość wchodzą ludzie niedojrzali? Z domu nie wynosi się już takich wzorców?

Nie jest tak źle, choć pomoc w tym zakresie jest bardzo przydatna. Ale ważniejsze dla nas niż budowa nowych kompetencji jest obrona tego tradycyjnego wzorca rodziny, do którego należy sięgać i chodzi nam głównie o umiejętność korzystania z właśnie tego doświadczenia rodzinnego i przekazu pokoleniowego. Na pewno nie jesteśmy zwolennikami robienia wszystkiego od nowa. Ale czasem młodzi ludzie szukają podpowiedzi i takie umiejętności, o których pan wspomniał, również warto przekazać. Lecz poza tą najbliższą rodziną staramy się zwracać uwagę na to, co prymas Wyszyński nazywał „rodziną rodzin", a więc wspólnotą narodową.

Dochodzimy więc do aktywności społecznej, do Narodowego Marszu Życia, który już niedługo przejdzie ulicami stolicy.

Ten marsz jest zarówno afirmacją wartości rodzinnych, pokazaniem piękna takiej wspólnoty, jak i inicjatywą reaktywną, mającą dać odpowiedź na aktualne wyzwania. Są nimi choćby te zjawiska, które można już dziś uznać za antychrześcijańską lewicową rewolucję. Nasz marsz jest więc wezwaniem do oporu wobec tej rewolucji, która promuje aborcję, forsuje politykę LGBT+ czy ideologię gender. Kilka tygodni temu Francja świętowała wpisanie prawa do zabijania dzieci nienarodzonych do swojej konstytucji. To konkretny przykład, do czego zmierza ta rewolucja zarówno na planie politycznym, jak i ideologicznym. Nasz marsz ma być jednak zachętą do oporu. Nie możemy się poddawać i wywieszać białej flagi, bo jesteśmy zmęczeni czy przygnębieni. Jest wśród nas wystarczająco wielu ludzi, którzy myślą o życiu społecznym w normalny sposób, ale trzeba dać im wsparcie i okazję do wyrażenia swoich poglądów.

Sejm zacznie prace nad projektami zawężającymi prawną ochronę życia.

Dziś mamy nie tylko powrót do starych pomysłów lewicy, lecz także lawinę pokrewnych inicjatyw. Mamy aborcję na życzenie i prawo do zabijania dziecka do 12. tygodnia życia. Wcześniej Sejm przyjął regulacje dotyczące refundacji zabiegów in vitro, co budzi w nas sprzeciw – chodzi przede wszystkim o dzieci, które są przy tej okazji unicestwiane. Mamy też ustawę o pigułce „dzień po", dostępnej również dla dzieci bez zgody rodziców. Zapowiadany jest rządowy projekt ustawy o związkach partnerskich, a tak naprawdę o małżeństwach homoseksualnych, gdyż ich zawieraniu mają np. towarzyszyć ceremonie w urzędach stanu cywilnego i ma to też dotyczyć możliwości przysposabiania dzieci z poprzednich związków. Wszystko, co obserwujemy, jest więc wstępem do czegoś jeszcze poważniejszego. Do tego dochodzi atak na instytucjonalną pozycję Kościoła katolickiego w społeczeństwie. Widać to choćby w dyskusjach o wyrzuceniu religii ze szkół czy zmianach w treściach nauczania.

Prezydent zawetował ustawę umożliwiającą zakup tabletki „dzień po" nieletnim.

Jesteśmy wdzięczni za to prezydentowi i uważamy, że podjął słuszną decyzję. Wcale nie musiało się tak stać. W tym duchu będziemy się starali umacniać stanowisko prezydenta. Również dlatego, że po naszej stronie jest nie tylko przekonanie moralne, lecz także konstytucja i interpretujące ją w tym zakresie orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, zwłaszcza to z 1997 r., w których czytamy m.in., że warunkiem demokratycznego państwa prawa jest prawna ochrona życia człowieka od poczęcia.

Jak będzie wyglądał tegoroczny marsz?

Odbędzie się 14 kwietnia w Święto Chrztu Polski. Z tego powodu oprócz tematów związanych z prawem do życia i prawami rodziny w szczególny sposób podnosimy również kwestię wiary i wierności. W dzisiejszych czasach wiarę musimy nie tylko potwierdzać, lecz także jej bronić. No i w końcu kwestia wolności osobistej i narodowej. Mamy na horyzoncie projekt ustawy o zwalczaniu „mowy nienawiści", który, jak można sądzić, będzie kneblem i elementem cenzury. I w końcu chcemy podnieść to, co ostatnio tak mocno wybrzmiało w apelu ks. bp. Stanisława Gądeckiego na Wielki Post. Według metropolity poznańskiego zagrożona jest zarówno nasza wolność, jak i przede wszystkim nasza niepodległość. Mamy wojnę na naszej wschodniej granicy, której ostatecznych konsekwencji nie potrafimy przewidzieć, oraz zmiany w sferze kultury, których jesteśmy świadkami w Europie Zachodniej, rozkładają jedność społeczną i wspólnotę narodową. A przecież bez wspólnoty wartości nie mamy szans na przetrwanie jako suwerenne państwo. Poza tym w UE przyspieszyły plany budowy jednolitego superpaństwa zagrażającego istnieniu suwerennych państw narodowych, w tym Polsce. Podsumowując – nasz przekaz na marsz to prawo do życia i rodzina, wiara i wierność oraz wolność i niepodległość.

Potrzebna jest mobilizacja, policzenie się?

Dziś, gdy wielu Polaków uznało, że naród porzucił sprawę cywilizacji życia i praw rodziny, całe dziedzictwo św. Jana Pawła II, konieczna jest reakcja – nowy zryw odpowiedzialności. Waży się społeczna i duchowa przyszłość ojczyzny. Nikt z nas nie powinien więc stać z boku z opuszczonymi rękoma. Niech nas zobaczą! Idziemy pod hasłem: „Niech żyje Polska!". Niech żyje w swoich rodzinach i dzieciach, niech żyje w narodzie, który jest rodziną rodzin, niech żyje w niepodległym państwie wśród suwerennych ojczyzn, niech żyje w kulturze, która rodzi się z wiary, nadziei i miłości.

Fot. Materiały prasowe, Paweł Kula, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e18b405a8

Atak na konwój

Lewicowe media izraelskie, szukające każdej okazji, aby z jak największą mocą uderzyć w premiera Binjamina Netanjahu, twierdzą wręcz, że ubiegłotygodniowe wydarzenie to była akcja „samozniszczenia Izraela". Takiego określenia użył Aluf Benn, redaktor naczelny opozycyjnego dziennika „Haaretz", ściśle powiązanego z amerykańskim „The New York Times".

TEORIA SPISKOWA

Wersja tragicznych zdarzeń z dnia 1 kwietnia upowszechniona na cały świat przez „Haartez" ma sugerować, iż trzy kolejne uderzenia rakiet w trzy opancerzone samochody konwoju humanitarnego musiały być celowym zamachem na życie międzynarodowych wolontariuszy, którzy opuszczali Strefę Gazy po dostarczeniu żywności do regionu zagrożonego głodem.

Nie ma wątpliwości, że silne izraelskie lewicowo-liberalne lobby, które od lat nie może sobie poradzić z Netanjahu, tym razem liczy na to, że śmierć wolontariuszy stanie się w końcu gwoździem do politycznej trumny znienawidzonego szefa rządu. Na świecie rozpowszechniana jest nawet swoista „teoria spiskowa", w myśl której to Netanjahu kazał armii zaatakować konwój humanitarny, aby zmusić organizacje charytatywne do wycofania się ze Strefy Gazy i w ten sposób wziąć dwumilionowy region głodem.

Absurd tego rodzaju propagandy jest widoczny gołym okiem. Perspektywa masowego głodu w Strefie Gazy jest w istocie czarnym snem rządu w Jerozolimie, gdyż – prawdę mówiąc – jest to jedyna okoliczność, która mogłaby zmusić Izrael do powstrzymania trwającej pacyfikacji Gazy i uniemożliwić zaplanowane przez Netanjahu ostateczne zniszczenie Hamasu.

Co więcej, izraelski gabinet wojenny zaiste musiałby się składać z ostatnich politycznych durniów, jeśliby wybrał sobie jako zaplanowany obiekt ataku konwój amerykańskiej organizacji humanitarnej WCK (World Cen-

eprasa.pl 9e18b405a8

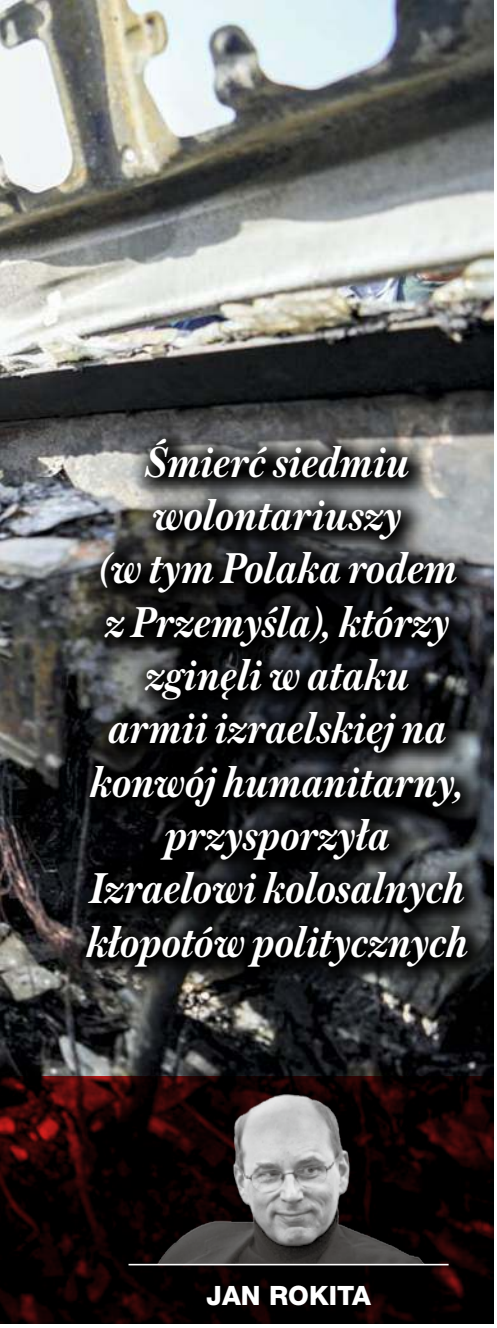

Śmierć siedmiu wolontariuszy (w tym Polaka rodem z Przemyśla), którzy zginęli w ataku armii izraelskiej na konwój humanitarny, przysporzyła Izraelowi kolosalnych kłopotów politycznych

JAN ROKITA

Fot. Abdel Kareem Hana/Associated Press/East News

tral Kitchen), zabijając jeszcze przy tym amerykańskiego wolontariusza. Twórcą i liderem WCK jest bowiem sławny w całej amerykańskiej elicie kucharz i właściciel kilku ekskluzywnych waszyngtońskich restauracji Jose Andrés. Ów hiszpańsko-amerykański biznesmen, którego restauracje wyróżnia Michelin swoimi gwiazdkami, jest waszyngtońskim celebrytą, dobrze znanym zarówno amerykańskim politykom, jak i regularnie ucztującym u niego dyplomatom z całego świata.

Po ataku na jego konwój Andrés oskarża izraelski rząd o „masowe zabijanie ludzi", zaś dyrektorka WCK Erin Gore przekonuje w mediach, iż „Izrael dokonał zamachu na cały świat organizacji humanitarnych". Andrés rozmawia o całej sprawie z samym Bidenem, do którego ma łatwy dostęp. Zaś jego emocjonalnie wyrażany sprzeciw wobec polityki izraelskiej robi w tych dniach więcej dla podważenia w Ameryce pozycji premiera Netanjahu niźli wszyscy liberalno-lewicowi amerykańscy Żydzi razem wzięci.

FATALNY BŁĄD

Gdy piszę te słowa, nie wiemy dokładnie, co się tak naprawdę wydarzyło w ubiegły poniedziałek. Tym, co wiemy z pewnością, jest fakt, że to izraelskie rakiety ostrzelały konwój i zabiły wolontariuszy, bowiem Netanjahu ogłosił to publicznie, niemal natychmiast po samym fakcie. Szef sztabu armii izraelskiej gen. Herci Halewi mówi o „fatalnym błędzie", zaś rzecznik Białego Domu John Kirby podaje, iż „nie ma dowodów na celowe uderzenie w konwój humanitarny".

Na czym polegał ów „fatalny błąd" i kto kazał strzelać do samochodów wyraźnie oznakowanych znanymi symbolami WCK – to ma wyjaśnić izraelskie śledztwo. Netanjahu zapewnia, iż jego wyniki zostaną podane do wiadomości publicznej. Ale zarówno sam premier, jak i izraelscy generałowie, unikają (jak dotąd) zarówno jakichś wyraźnych oskarżeń kierowanych pod adresem własnej armii, jak i wszelkich zapowiedzi osądzenia czy ukarania sprawców zabicia siedmiorga wolontariuszy.

I prawdę mówiąc, trudno się temu dziwić. Po terrorystycznym ataku na Izrael, który Palestyńczycy z Hamasu przeprowadzili 7 października 2023 r., Netanjahu po krótkiej chwili wahania zdecydował się na najbardziej brutalną wersję odwetu. Postanowił z całą militarną siłą wkroczyć do zamieszkanej przez 2 mln Palestyńczyków Strefy Gazy, by zniszczyć zakonspirowaną tam potężną strukturę Hamasu. Co ważne, ta drastyczna decyzja znalazła przygniatające poparcie zarówno izraelskich Żydów, jak i armii. Zaś swoiste patriotyczne rozbudzenie społeczeństwa oraz skala poparcia dla odwetu na Palestyńczykach skłoniły nawet śmiertelnego wroga politycznego Netanjahu – Beniego Ganca (byłego premiera i lidera liberalnego bloku Niebiesko-Białych) do przyłączenia się do utworzonego przez premiera wąskiego gabinetu wojennego.

Jeszcze niedawno rząd Netanjahu trząsł się w posadach za sprawą potężnych ludowych manifestacji i rozruchów przeciw jego władzy, przeciw konserwatywnym ideom przezeń głoszonym, a zwłaszcza przeciw reformom wymiaru sprawiedliwości, łudząco podobnym do polskich reform ministra Ziobry. Ale 7 października 2023 r. zmienił w Izraelu wszystko.

Tamtego dnia Netanjahu nie stał się chyba (tak pokazują sondaże) przywódcą na nowo ukochanym przez izraelskich Żydów. Przeciwnie, w Izraelu szeroko i nie bez racji obciąża się go winą za zlekceważenie agresywnych planów Hamasu, a nawet swoiste ciche sprzyjanie terrorystom z Gazy, których premier traktował jak „oswojonych", niegroźnych, a nawet możliwych do wykorzystania w grze przeciw idei powstania jednolitego państwa palestyńskiego. Bez wątpienia to premier ponosi winę za całkowite nieprzygotowanie armii na uderzenie ze strony Gazy na taką skalę. Zapewne też nowocześni i postępowi Żydzi z Tel Awiwu, którzy zaciekle manifestowali przeciw prawicowemu rządowi, nie nabrali teraz do niego szczególnej miłości. Rzecz jednak w tym, że mimo tych głębokich podziałów ideowych i politycznych oraz olbrzymiego społecznego krytycyzmu wobec samego Netanjahu jego plan siłowej i brutalnej rozprawy z Gazą jest dziś uznawany za jedyne rozwiązanie, które oddala śmiertelne zagrożenie wobec państwa żydowskiego. Bezwzględny plan zniszczenia Hamasu na nowo uczynił z Netanjahu trudnego do podważenia przywódcę narodu i państwa.

Ale to właśnie ten plan wiąże się z niewyobrażalnie tragicznymi skutkami dla Palestyńczyków w Gazie i wszystkich, którzy znajdą się teraz w oku wojennego cyklonu. Demokratyczny Zachód z Ameryką na czele jesienią ub.r. dał Izraelowi polityczny, a w pewnym sensie także moralny placet na pacyfikację Strefy Gazy. Uczynił to, sam przerażony rozmiarami zbrodni na Żydach, których 7 października dopuścili się palestyńscy bojownicy. Co jednak nie było trudne

eprasa.pl 9e18b405a8

do przewidzenia, owo przyzwolenie z tygodnia na tydzień słabło, im głębiej posuwała się pacyfikacja Strefy Gazy, im więcej było tam ofiar cywilnych (idących już w dziesiątki tysięcy), im liczniejsze szpitale, szkoły i meczety ulegały zniszczeniu i im więcej zdjęć martwych palestyńskich dzieci pojawiało się w mediach.

Ostatnie miesiące to czas narastających w świecie antyżydowskich manifestacji i rozruchów oraz coraz jawniejszego antysemityzmu w Niemczech, Francji, Anglii, jak również w Ameryce, zwłaszcza na tamtejszych, zdominowanych przez lewicę, kampusach uniwersyteckich. Nie ma wątpliwości, że śmierć polskiego wolontariusza wywoła także antysemicką falę w naszym kraju, który dotąd różnił się pod tym względem od większości państw zachodnich.

Politycy zatem, od Bidena począwszy, a na liderach Unii Europejskiej skończywszy, naciskają na Izrael, aby ochraniał ludność cywilną w Strefie Gazy. Poniedziałkowy atak na konwój WCK sprawił, że te naciski przekształcają się teraz w otwartą presję na Netanjahu, wspieraną mnożącymi się w różnych krajach oskarżeniami o popełnianie przez Izrael zbrodni wojennych. Nie ma wątpliwości, że prowadzone z premedytacją ataki na konwoje humanitarne należą do tej kategorii zbrodni, drastycznie łamiących prawa i zwyczaje wojenne. W Polsce z takim oskarżeniem przeciw Izraelowi wystąpił m.in. marszałek Hołownia, choć szef dyplomacji minister Sikorski, idąc tropem postępowania Amerykanów, jest w tej mierze dużo ostrożniejszy. Amerykański sekretarz stanu Blinken mówi, że „wpajamy Izraelczykom imperatyw, iż muszą czynić więcej dla ochrony ludności cywilnej". Nie ma wątpliwości, że świat, domagający się od Izraela większego respektu dla praw i zwyczajów wojny, ma swoją głęboką moralną i polityczną rację.

PRAWA WOJNY

Tyle tylko, że właśnie po ataku na konwój WCK z jeszcze większą mocą staje pytanie, czy operacja pacyfikacji Hamasu, na którą świat dał placet Izraelowi, daje w ogóle szanse na respektowanie praw wojny?

Aby pojąć cały dramatyzm tego pytania, trzeba sobie zdać sprawę z tego, czym w istocie jest Hamas i na czym polega jego głębokie osadzenie się wśród ludności Strefy Gazy. Swej znakomitej książce poświęconej Hamasowi (wydanej niegdyś także po polsku przez Uniwersytet Jagielloński) Matthew Levitt, wieloletni analityk FBI i rządu amerykańskiego, nadał tytuł: „Hamas: polityka, dobroczynność i terroryzm w służbie dżihadu". Autor opowiada, jak twórca Hamasu, zabity przez Izraelczyków szejk Ahmad Jasin, genialnie dostosował do potrzeb tego ruchu islamski religijny system dawah, za sprawą którego ludność Strefy Gazy została wprzęgnięta w machinę antyżydowskiej świętej wojny. Dawah doskonale połączył w Gazie rozległą sieć szkół, przedszkoli, pomocy społecznej i służby zdrowia, bezcenną dla żyjących w nędzy Palestyńczyków, z radykalizmem islamistycznym i profesjonalnym szkoleniem do akcji zabijania Żydów. Jak w takich warunkach można zatem zniszczyć Hamas, a ochronić ludność cywilną?

> Humanitarny świat zachodni chciałby, aby Żydzi faktycznie zniszczyli Hamas, ale zrobili to przynajmniej zgodnie z cywilizowanymi prawami i zwyczajami wojennymi. Ale czy ktoś na serio wierzy, że to jest w ogóle możliwe?

Z perspektywy izraelskiego żołnierza, który uzbrojony po zęby został wysłany do Gazy, aby zniszczyć Hamas, każdy tamtejszy meczet, szpital, szkoła czy przedszkole jest (albo przynajmniej może być) magazynem broni i zakonspirowaną siedzibą przeszkolonych bojowników. Co więcej, każdy dziesięcioletni malec biegnący ulicą może być przeszkolonym samobójcą, który ma zdetonować bombę zabijającą Żydów. Z perspektywy rozsądnego izraelskiego dowódcy niskiego szczebla, odpowiedzialnego za życie swoich żołnierzy, zawsze więc lepiej wydać rozkaz strzelania w razie jakiegokolwiek podejrzenia, niźli ponieść odpowiedzialność za śmierć własnych żołnierzy.

Stąd w Strefie Gazy tak liczne ofiary cywilne, tak straszliwe spustoszenia meczetów, szkół, szpitali, ośrodków pomocy społecznej, będących w istocie od lat wyszkolonymi i uzbrojonymi komórkami Hamasu. Stąd przypadki zabicia przez armię żydowskich zakładników, którzy uciekli z rąk oprawców w zamęcie wojny, a zginęli, gdy wymachiwali białą szmatą do własnych żołnierzy. Stąd w końcu podejrzliwość wobec organizacji humanitarnych, które przecież wielokrotnie dawały, świadomie bądź nie, faktyczną ochronę bojownikom Hamasu.

Humanitarny świat zachodni nie chce przyjąć do wiadomości skutków wojny, na którą – powtórzmy to – dał Izraelowi polityczne i moralne przyzwolenie. Zresztą trudno się temu dziwić. Wszyscy musielibyśmy być ludźmi bez sumienia, gdybyśmy w imię jakichś tam racji politycznych mieli akceptować pustoszenie miasta, które coraz bardziej przypomina ruiny Warszawy w 1944 r. albo zabijanie ludzi na masową skalę; nigdy nie wiadomo, czy ukrytych bojowników Hamasu, czy niewinnych ofiar. Czasem warto jednak spróbować, choć nie jest to łatwe, spojrzeć na rzecz z perspektywy izraelskich dowódców i żołnierzy w Strefie Gazy, którym wydano rozkaz zniszczenia zakonspirowanej siatki terrorystycznej, rządzącej dwumilionową metropolią. Siatki osadzonej w szkołach, szpitalach, ośrodkach pomocy społecznej, meczetach, a nawet na uniwersytecie. Humanitarny świat zachodni chciałby, aby Żydzi faktycznie zniszczyli Hamas, ale zrobili to przynajmniej zgodnie z cywilizowanymi prawami i zwyczajami wojennymi. Ale czy ktoś na serio wierzy, że to jest w ogóle możliwe?

eprasa.pl 9e18b405a8

Ukraina musi przetrwać cztery miesiące

Jeśli uda się zbudować stabilną perspektywę finansowania ukraińskiego oporu i zwycięży pogląd Macrona, że w razie załamywania się Ukrainy Zachód powinien być gotów do bezpośredniego zaangażowania wojskowego, wówczas przybliży się scenariusz zwycięstwa

MAREK BUDZISZ

Dziennikarze amerykańskiego Bloomberga, powołując się na źródła w otoczeniu Putina, piszą, że rosyjski prezydent „wzmocniony" wygranymi wyborami już podjął decyzję o eskalacji wojny na Ukrainie i przeciągnięciu jej w czasie aż do rosyjskiego zwycięstwa. O tym, że Moskale przygotowują się na nową ofensywę, pod koniec marca mówił gen. Ołeksandr Pawluk, który dowodzi ukraińskimi siłami lądowymi. Jego zdaniem Sztab Generalny jest przekonany, że najpóźniej latem br. Rosjanie zdecydują się na ofensywę, na której potrzeby budują właśnie nowe zgrupowanie armijne w sile co najmniej 100 tys. ludzi.

Podobne oceny – mówiąc o początku lata jako dacie prawdopodobnej rosyjskiej ofensywy – sformułował też Wołodymyr Zełenski w wywiadzie dla amerykańskiej stacji telewizyjnej CBS. Niedawne słowa Siergieja Szojgu, który pod koniec marca powiedział, iż władze Federacji Rosyjskiej do końca roku planują utworzenie dwóch nowych armii, 14 dywizji i 16 brygad, odebrano w kategoriach zapowiedzi tego rodzaju działań.

MOBILIZACJA PRZED OFENSYWĄ

Wydaje się, że w Kijowie są szczerze zaniepokojeni tego rodzaju perspektywą. Świadczą o tym również słowa Zełenskiego skierowane do liderów Zachodu w czasie wspólnej konferencji prasowej z Alexandrem Stubbem, prezydentem Finlandii. „Mogę powiedzieć – przyznał prezydent Ukrainy – że do 1 czerwca Rosja jest gotowa zmobilizować dodatkowe 300 tys. ludzi". Co prawda rzecznik Kremla Pieskow oficjalnie zaprzeczył, iż planuje się kolejną mobilizację, ale eksperci wojskowi na Zachodzie już od kilku miesięcy rozważają prawdopodobieństwo tego rodzaju posunięcia władz rosyjskich. Ich zdaniem jeśli Moskale chcą wygrać wojnę, to bez skokowego zwiększenia swego potencjału kadrowego nie będą w stanie osiągnąć korzystnych dla siebie rezultatów.

Te oceny potwierdzają oficjalne dane rosyjskiego resortu obrony, który na początku kwietnia poinformował, że od początku roku kontrakty z armią podpisało „ponad 100 tys." ochotników. Dziennikarze rosyjskiej Agencji, niezależnego portalu internetowego, obliczyli, że jeśliby wierzyć oficjalnym komunikatom, mamy do czynienia ze zmniejszeniem się liczby ochotników w porównaniu z ubiegłym rokiem co najmniej o jedną trzecią. W ciągu 92 dni, które upłynęły od początku roku, do komisji uzupełnień w Rosji zgłaszało się średnio dziennie 1087 mężczyzn chcących iść na front, podczas gdy w całym 2023 r. było to 1478 osób każdego dnia. Te doniesienia potwierdzają reporterzy Verstki, innego niezależnego rosyjskiego portalu, którzy, powołując się na rozmowy z przedstawicielami Kremla i administracji wojskowej, napisali, że strumień ochotników znacząco się zmniejszył, w niektórych regionach Rosji nawet dwudziestokrotnie.

Aby ożywić gasnący entuzjazm wojenny Rosjan, którzy coraz mniej chętnie zgłaszają się do armii, po zamachu na podmoskiewski Crocus City Center Kreml rozwinął w mediach elektronicznych antyukraińską propagandę. Wspierana jest też ona obławami na migrantów z Azji Środkowej, które objęły już 68 regionów Rosji – czyli 80 proc. Ta antymigracyjna histeria, która przejawia się aresztowaniem kilku tysięcy osób, wydaleniem niemal 2 tys., pobiciami na komisariatach i wielogodzinnymi przesłuchaniami ma wzmocnić poczucie zagrożenia oraz skłonić Rosjan, aby zaczęli wstępować do armii. Zresztą 300 zatrzymanych w czasie obław już otrzymało w trybie przyspieszonym „bilety do wojska". W opinii wielu obserwatorów jeśli tradycyjne metody zwiększenia strumienia ochotników nie przyniosą rezultatu, to Kreml, niezależnie od obecnych zaprzeczeń, zdecyduje się na mobilizację i to może być potwierdzeniem tego, że szykuje kolejną dużą ofensywę.

Z pewnością tak myślą w Kijowie i dlatego w ostatnich dniach Zełenski podpisał kilka nowelizacji ustaw mobilizacyjnych. Zmiany przewidują m.in. obniżenie o dwa lata (do 25 lat) wieku tych obywateli Ukrainy, którzy mogą zostać wcieleni do armii, a także przegląd i ponowne badania tych podlegających obowiązkowej służbie, którzy uzyskali zaświadczenie o czasowej niezdolności do niej z powodów zdrowotnych.

Co prawda ukraiński prezydent mówi, że „nie jest nam potrzebne 500 tys. nowych żołnierzy", o czym jeszcze jesienią wspominał gen. Załużny, poprzedni dowódca sił zbrojnych, ale Kijów przygotowuje świeże siły, które powinny być gotowe na wypadek rosyjskiej ofensywy. Gen. Ołeksandr Syrski, który zastąpił Załużnego, w wywiadzie udzielonym ukraińskim mediom potwierdził mobilizacyjne plany Zełenskiego, ale jednocześnie przyznał, że na froncie „sytuacja jest trudna".

Tygodnik „The Economist", którego dziennikarze anonimowo rozmawiali z ukraińskimi oficerami, napisał, że Rosjanie nie tylko zwiększyli swą przewagę ogniową, która w związku z brakami amunicji po stronie ukraińskiej wynosi dziś 6 do 1, lecz także dominują liczebnie właściwie na każdym kierunku. A to oznacza, że kiedy rozpoczną ofensywę, ukraińskie linie obrony mogą się zacząć załamywać i to na dodatek w wielu punktach. „Nic nie może teraz pomóc Ukrainie – powiedział anonimowo dziennikarzom Politico jeden z wyższych rangą ukraińskich dowódców – ponieważ nie ma technologii, które mogłyby zrekompensować Ukrainie masę wojsk, którą Rosja prawdopodobnie w nas rzuci. Nie mamy tych technologii i Zachód ich nie ma w wystarczającym stopniu, potwierdzają to liczby".

SCENARIUSZE WOJNY

Moskale w ostatnim czasie częściej atakują z powietrza, w tym używając bomb szybujących i ładunków o większej mocy, co ma związek ze słabnięciem ukraińskiej obrony przeciwlotniczej z powodu braków amunicji. Użyli też ładunku termobarycznego, co może potwierdzać opinie, iż Putin chce eskalacji konfliktu, i zapowiedzieli zwiększenie produkcji oraz używanie ciężkich, nawet 500-kg bomb.

W ostatnim czasie znacznie nasilili też ataki na Charków, w tym infrastrukturę energetyczną miasta, która została już zniszczona w znacznym stopniu. Uważa się, że celem tych działań jest zmuszenie do ewakuacji ludności cywilnej i dlatego mer Charkowa Ihor Terechow, demonstrując wolę oporu, powiedział, że nie wyda takiego polecenia. Jednak Rosjanie stałymi atakami z powietrza mogą chcieć doprowadzić do spontanicznej ucieczki zagrożonych mieszkańców, co w przyszłości znacznie ułatwiłoby im operacje zaczepne, a z pewnością byłoby korzystne z propagandowego punktu widzenia. Większość ukraińskich i zachodnich ekspertów jest bowiem przekonanych, że jeśli Rosjanie rozpoczną latem ofensywę, to jej celem może być Charków, którego zdobycie byłoby wymiernym dowodem na to, że Rosja wygrywa wojnę.

Mike Ryan, emerytowany australijski admirał i wykładowca akademicki, jest zdania, że wojna może się potoczyć według jednego z dwóch scenariuszy. Pierwszy zakłada rosyjską ofensywę, o ile Rosjanom uda się zgromadzić odpowiednie siły, a drugi kontynuowanie obecnego charakteru walk. Będziemy mieć wówczas do czynienia z lokalnymi operacjami zaczepnymi w rodzaju niedawnych bojów o Awdijiwkę. Moskale, mając przewagę w siłach, amunicji i sprzęcie, będą przełamywać ukraińskie linie oporu, ale te wyłomy będą mieć charakter lokalny, sytuacja nie zmieni się operacyjnie ani tym bardziej

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl 9e18b405a8

strategicznie. Będzie trwać wojna na wyniszczenie, lecz perspektywa dojścia Rosjan do Kijowa czy choćby zdobycia miasta wielkości Charkowa jest mało realna.

Podobne opinie przeważają też w środowisku ukraińskich ekspertów. Ałeksandr Kowalenko z grupy Opór Informacyjny jest zdania, że Rosjanie będą atakować lokalnie. Według niego najbardziej prawdopodobne kierunki uderzenia to Czasiw Jar na zachód od Bachmutu i być może Kupiańsk. W tym pierwszym przypadku, jak donosi kanał Deep State, uderzenie już trwa i Rosjanie chcą w pierwszym rzędzie doprowadzić do „wyzwolenia" terytoriów obwodu donieckiego i ługańskiego. Biorąc pod uwagę intensywność walk i ciężkie straty po obydwu stronach, co obserwowaliśmy choćby pod Bachmutem i Awdijiwką, realizacja tak nakreślonych celów może im zająć nawet kilkanaście najbliższych tygodni.

Ołeksandr Musijenko, ukraiński analityk wojskowy, jest zdania, że Rosjanie nie mają dziś wystarczających sił, które pozwoliłyby im zdobyć Kupiańsk nad rzeką Oskoł, który Ukraińcy odzyskali jesienią 2022 r. Bez sforsowania tej przeszkody nie ma mowy o zaatakowaniu od północy Łymanu, a bez tego nie uda się zdobyć obszarów obwodu donieckiego kontrolowanych przez stronę ukraińską.

Za zupełną fantastykę na Ukrainie uważa się ryzyko utraty Charkowa, rosyjski atak na Odessę czy otworzenia kolejnego frontu na północnym wschodzie. Co prawda po atakach na Biełgorod w powyborczy wieczór Putin mówił o konieczności utworzenia „stref sanitarnych", które miałyby zabezpieczać tereny Federacji Rosyjskiej przed atakami z Ukrainy, ale zdaniem ekspertów dziś Kreml nie ma wystarczających zasobów, aby myśleć o tak ambitnych celach.

Strona ukraińska też nie jest pozbawiona możliwości, o czym świadczą ostatnie uderzenia na cele w Tatarstanie, który znajduje się 1,2 tys. km od granicy. Mimo wezwań z Waszyngtonu Kijów nie zamierza też rezygnować z rażenia rosyjskich rafinerii i instalacji do przesyłu i eksportu ropy naftowej przy użyciu systemów bezzałogowych.

Brytyjski „The Guardian", powołując się na informacje z ukraińskiego wywiadu, napisał, że „w pierwszej połowie roku" ma zostać przypuszczony trzeci atak na most Kerczeński, którego celem będzie ostateczne zniszczenie tej przeprawy.

WARUNKI ZWYCIĘSTWA

Żadna ze stron nie jest bez szans, choć Rosjanie metodycznie budują swoją przewagę w ludziach i sprzęcie oraz, jak piszą analitycy Institute for a Study Of War, już obecnie zwiększają liczbę i częstotliwość uderzeń właściwie na wszystkich kierunkach. Ich celem ma być dokonanie wyłomu w liniach obrony, zanim na froncie pojawią się świeże siły, które Ukraina właśnie mobilizuje i szkoli. Podobnie zdaje się uważać Konrad Muzyka z Rohan Consulting, który jest zdania, że „najbliższe cztery miesiące" mogą okazać się przełomowe dla losów wojny.

Żadna ze stron nie jest bez szans, choć Rosjanie metodycznie budują swoją przewagę w ludziach i sprzęcie

O tym, co się stanie, mogą decydować „czarne łabędzie" lub niekonwencjonalne posunięcia każdej ze stron. W wypowiedziach Aleksandra Łukaszenki i innych przedstawicieli białoruskiego reżimu pojawiła się teza, iż ostatnie propozycje prezydenta Macrona, który mówił o wysłaniu kontyngentu wojskowego na Ukrainę, w istocie mają na celu zwiększenie możliwości wojskowych Kijowa. Nie chodzi w nich o zaangażowanie sił z państw NATO w walce, ale o „zluzowanie" 120 tys. żołnierzy ukraińskich, którzy dziś pilnują granicy z Białorusią. W świetle tej interpretacji Mińsk nie odważyłby się uderzyć na siły państw Paktu Północnoatlantyckiego, co dałoby wystarczającą ochronę od północy, a Kijów mógłby niemal z marszu rzucić ten potencjał na front. Jeśli Zachód wykluczy tego rodzaju ruch, to Ukraińcy mogą mieć kłopoty z szybkim zmobilizowaniem sił niezbędnych do powstrzymania atakujących Moskali. Ci będą się spieszyć, choćby dlatego, że w okolicach lata Kijów ma dysponować pierwszą eskadrą przekazanych Ukrainie F-16, co może prowadzić do zmniejszenia rosyjskiej przewagi w powietrzu.

Na to nakładają się rachuby polityczne. Jeśli przed waszyngtońskim szczytem NATO, który jest zaplanowany na lipiec, Jens Stoltenberg doprowadzi do stworzenia, co ostatnio zaproponował, wartego 100 mld dol. funduszu pomocy dla Ukrainy, to może się okazać, że rosyjski plan zwycięstwa, zakładający „zmęczenie" Zachodu i wyczerpywanie woli wspierania Kijowa, okaże się zbudowany na wątłych podstawach. Dlatego Rosjanie będą się spieszyć, forsując również rozwiązania dyplomatyczne.

Podczas niedawnej rozmowy telefonicznej Sébastiena Lecornu, francuskiego ministra obrony, z Siergiejem Szojgu, ten ostatni miał zaproponować rozmowy pokojowe „w formule stambulskiej". Zakłada ona uznanie przez Kijów terytorialnego *status quo*, czyli usankcjonowanie rosyjskich zdobyczy terytorialnych i definitywną rezygnację Kijowa z członkostwa w NATO.

Wydaje się, że to, czy wojna rozstrzygnie się po myśli Moskali, czy Ukrainy i Zachodu, zależy dziś od trzech czynników. Najważniejszym jest zdolność sił ukraińskich do utrzymania linii obrony, ale nie mniej istotne są decyzje, które powinien podjąć Zachód. Jeśli uda się zbudować stabilną perspektywę finansowania ukraińskiego oporu i zwycięży pogląd Macrona, że w razie załamywania się Ukrainy Zachód powinien być gotów do bezpośredniego zaangażowania wojskowego, wówczas przybliży się scenariusz zwycięstwa. Ale może się to stać nie wcześniej niż jesienią br., a do tego czasu Ukraina musi przetrwać.

eprasa.pl 9e18b405a8

Orwellowski koszmar

Kolejna ustawa cenzorska, tym razem w Szkocji, weszła w życie. Sprawców „mowy nienawiści" będzie można denuncjować anonimowo w sex shopie albo na kempingu. Pisarka J.K. Rowling zachęca policję, by ją aresztowała

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Od 1 kwietna w Szkocji można wpaść do sex shopu, złożyć anonimowe zawiadomienie o przestępstwie motywowanym nienawiścią i mieć nadzieję, że sprawca trafi do więzienia. Primaaprilisowy żart? Bynajmniej. Tego dnia weszła w życie ustawa o przestępstwach motywowanych nienawiścią i porządku publicznym (Hate Crime and Public Order Act). Kampania informacyjna na temat ustawy ruszyła już wiele miesięcy temu i – jak pisze brytyjski nadawca publiczny BBC – opierała się m.in. na spocie telewizyjnym ukazującym kreskówkową postać o nazwie „potwór nienawiści", która rośnie i rośnie aż... „waży tonę". A ponury policyjny głos w tle mówi: „Chcesz się na kimś wyżyć z frustracji. Zanim się obejrzysz, popełnisz przestępstwo z nienawiści".

Ze spotu wybrzmiewał zresztą pewien akcent klasowy. Komentarz został nagrany w szkockim dialekcie, co sugeruje, że nienawiścią do „innych" pałają głównie niższe klasy społeczne. Te mniej oświecone. Wywołało to ostrą debatę i nawet niektórzy politycy lewicy, jak lider laburzystów John Lamont, uznali kampanię za „protekcjonalną". Mimo to głosowali za ustawą. Jak zdecydowana większość posłów szkockiego parlamentu.

DOPAŚĆ J.K. ROWLING

Sex shop, o którym mowa, to placówka przyjazna osobom LGBT+ o nazwie Luke & Jack w Merchant City w Glasgow. Jest to jedno z centrów „zgłaszania" mowy nienawiści, utworzonych przez szkocką policję. W całym kraju docelowo będzie ich 411. Na liście jest już farma łososi, kampusy uniwersyteckie, kemping oraz sklep z karmą dla psów. Pozwolą one na anonimową denuncjację osób stosujących „groźby lub obraźliwe zachowanie, którego celem jest wzniecenie nienawiści wobec osoby, która posiada lub wydaje się posiadać określone cechy". Należą do nich wiek, niepełnosprawność, religia, orientacja seksualna, tożsamość transpłciowa i różnice w cechach płciowych, „czasami określane jako interseksualne". Będzie to dotyczyć także wpisów na forach internetowych. Kary za takie przestępstwa będą sięgać nawet siedmiu lat więzienia.

Znana aktywistka transpłciowa India Willoughby już zapowiedziała, że uda się do wyżej wymienionego sex shopu, by zgłosić tam pisarkę J.K. Rowling, która zwróciła się do niej na platformie X (d. Twitter) per „pan". Brytyjska policja nie chciała się zająć tą sprawą.

Rowling od lat mieszka w Edynburgu. Autorka „Harry'ego Pottera" wezwała zresztą szkocką policję do aresztowania jej zgodnie z nową ustawą. „Wolność słowa i przekonań w Szkocji skończy się, jeśli prawidłowy opis płci biologicznej zostanie uznany za przestępstwo. Obecnie przebywam poza granicami kraju, ale jeśli to, co tutaj napisałam, kwalifikuje się jako przestępstwo w rozumieniu nowej ustawy, nie mogę się doczekać, aż mnie aresztują, kiedy wrócę do miejsca narodzin szkockiego oświecenia" – napisała Rowling na platformie X. Kilka godzin po wejściu w życie ustawy pisarka opub-

Fot. lev radin/Shutterstock.com

eprasa.pl 9e18b405a8

likowała zresztą zdjęcia 10 znanych osób transpłciowych i kpiła z ich twierdzeń, że są kobietami. Była wśród nich Isla Bryson, która początkowo trafiła do więzienia dla kobiet po skazaniu w 2023 r. za dwa brutalne gwałty.

TYSIĄCE ZGŁOSZEŃ

Ustawa jest oczywiście sformułowana w tak niejasny sposób, że ministrowie przestali próbować ją wyjaśniać. Szkocka policja natomiast definiuje przestępstwo z nienawiści jako „każde przestępstwo, które ofiara lub inna osoba rozumie jako motywowane całkowicie lub częściowo złośliwością lub złą wolą wobec grupy społecznej". To pozostawia oczywiście szerokie pole do interpretacji, bo jest całkowicie subiektywne.

Na dodatek anonimowe zgłoszenie gwarantuje, że jeśli zgłaszający oskarży kogoś niesłusznie, pozostanie bezkarny, podczas gdy życie oskarżonego zostanie wywrócone do góry nogami.

Lider Szkockiej Partii Narodowej (SPN) oraz pierwszy minister Szkocji Humza Yousaf uważa, że dzięki temu kraj stanie się bezpieczniejszy dla obywateli, szczególnie tych należących do mniejszości seksualnych i etnicznych. Ale krytycy widzą w niej zachętę do denuncjacji, zwykłej zemsty na nielubianych osobach i narzędzie do dzielenia społeczeństwa. Feministki natomiast zarzucają, że w nowej ustawie nie ma ani słowa o kobietach. „Nie będzie można obrażać osób trans, ale kobiety już tak" – pisał oburzony Jim Spence, komentator dziennika „The Courier".

Zresztą ustawa już w pierwszych 24 godzinach obowiązywania odniosła ogromny sukces. Jak pisze dziennik „The Daily Telegraph", do szkockiej policji wpłynęło ponad 3,8 tys. zgłoszeń mowy nienawiści. Wystarczająco dużo, by sparaliżować jej prace. Mimo intensywnych szkoleń funkcjonariuszy (ustawa została uchwalona w 2021 r., a weszła w życie dopiero teraz, by policja miała czas się przygotować), ich przetworzenie potrwa tygodniami. A to dopiero początek. „Policja jest zasypywana zgłoszeniami, w większości bezwartościowymi. Ostrzegaliśmy, że tak się stanie" – powiedział w rozmowie z gazetą przewodniczący Rady Adwokackiej Roddy Dunlop.

KONIEC ŻARTÓW

Z materiałów szkoleniowych szkockiej policji, które wyciekły do mediów, wynika zresztą, że cenzura obejmie również komików opowiadających „obraźliwe żarty". A także aktorów wygłaszających w teatrze teksty napisane przez dawno nieżyjących dramaturgów. Szerokie pole do popisu dla policji, która niebawem zapewne nie będzie miała czasu na nic innego. Jak choćby ścigania prawdziwych przestępstw.

Humza Yousaf, z pochodzenia Pakistańczyk, uważa, że reakcja mediów jest „przesadzona". „Nie ma tu żadnego Big Brothera" – zaznaczył polityk SPN, która była pomysłodawcą ustawy w czasach, gdy był ministrem sprawiedliwości w gabinecie ówczesnej premier Nicoli Sturgeon. Wielkiego Brata może i nie ma, ale są za to obywatele zachęcani przez rząd do denuncjacji wszystkich, którzy się z nimi nie zgadzają.

Susan Smith, dyrektor feministycznej organizacji Campaign For Women Scotland, maluje ponury obraz kraju, jakim wkrótce stanie się Szkocja. „Powstanie armia lokalnych szpiegów, która będzie zbierała anonimowe raporty od innych lokalnych szpiegów i przekazywała je policji. Niektórzy ludzie bardzo się z tego cieszą i będą zgłaszać każdego, kogo nie lubią. To przypomina enerdowskie Stasi i jest absolutnym szaleństwem" – zaznaczyła Smith w rozmowie z „The Spectator".

Szkocka policja przygotowała zresztą także specjalną kategorię „incydentów nienawiści", które nie podlegają ściganiu (Non-crime hate incydent – NCHI). Jako taki incydent został zarejestrowany wpis posła Szkockiej Partii Konserwatywnej Murdo Frasera. W listopadzie ub.r. poseł porównał na platformie X osoby niebinarne do takich, które identyfikują się jako koty i krytykował politykę genderową rządu. Incydent został zgłoszony i zarejestrowany bez wiedzy Frasera. Zadenuncjował go aktywista trans. Poseł nie zamierza tego tak pozostawić i domaga się, aby incydent został wykreślony z rejestru, inaczej pozwie policję do sądu. Ta zresztą przekonuje, że nie zamierza ścigać Frasera ani zresztą J.K. Rowling.

JĘZYK MIŁOŚCI

Ale dla zwykłych obywateli to małe pocieszenie. Nie są bowiem ani celebrytami, ani politykami.

A policja obiecała zbadać każdą otrzymaną skargę. Dr Michael Foran, wykładowca prawa publicznego na Uniwersytecie w Glasgow, twierdzi, że nowe przepisy „wprowadzają prawo karne do każdego domu", bo denuncjowane będą prywatne rozmowy. „Klasycznym przykładem może być nastolatek, który jest zdenerwowany faktem, że rodzice nie zgadzają się z nim w kwestii np. praw osób transpłciowych i anonimowo zgłasza ich za przestępstwo z nienawiści" – podkreślił.

Nowy wspaniały świat. Lub, jak kto woli, Orwell 2024. Istota wolności słowa polega na tym, że jest ona przeznaczona nie tylko dla miłych, rozsądnych, postępowych liberałów, lecz także dla wszystkich, a może szczególnie dla tych, którzy mają najbardziej niepopularne poglądy, ponieważ je najłatwiej stłumić. A to oznacza tłumienie publicznej debaty. Ponadto nowa ustawa przewiduje, że policja może zabezpieczyć telefon czy komputer oskarżonej osoby i zbadać je, co może trwać miesiącami. Co za tym idzie, zakłada przeszukania mieszkań i domów oraz przesłuchiwanie oskarżonych na posterunkach. To jest karą samo w sobie i wymusza autocenzurę. Ponadto nawet jeśli ostatecznie się okaże, że oskarżona osoba nie popełniła przestępstwa, sprawa pozostanie w rejestrze policyjnym i będzie można ją wyciągnąć choćby w chwili, gdy ta osoba będzie starała się o pracę w sektorze publicznym, np. jako nauczyciel.

Podobne ustawy jak w Szkocji planują zresztą także inne kraje, choćby Irlandia czy Kanada, gdzie za przestępstwa z nienawiści ma grozić nawet dożywocie. Także Parlament Europejski i Komisja chcą, żeby mowa i przestępstwa z nienawiści były traktowane w UE jako czyny karalne. W Niemczech natomiast w marcu 16-letnia uczennica została wyciągnięta z klasy przez trzy zastępy policji i przesłuchana, bo napisała na jednym z portali społecznościowych, że lubi smerfy, a Niemcy to jej ojczyzna. Niebieski to kolor Alternatywy dla Niemiec – tak w każdym razie tłumaczą się ci, którzy zadenuncjowali dziewczynę. Jeśli taki ma być język miłości, aplikowany ludziom przez zachodnie rządy, zwracam uwagę, że to raczej ozór, i do tego obłożony nalotem głupoty.

eprasa.pl 9e18b405a8

Nienawidzący samych siebie

Wyznaniem wiary lewicowo-liberalnego establishmentu jest pochwała moralności i humanizmu, ale w rzeczywistości jest on zakłamany, arogancki i bezlitosny. Przekonuje o tym Iddo Netanjahu – pisarz i brat premiera Izraela. Ostrzega, że nienawiść do samych siebie otwiera drogę muzułmańskiej ekspansji na Zachodzie

MACIEJ WALASZCZYK

Wydarzenia w Izraelu od wielu lat, a szczególnie w ostatnich dniach i miesiącach, przykuwają naszą uwagę. Trwająca tam wojna szokuje nas swoją brutalnością i zaciętością. Giną cywile, front walki przebiega przez osiedla i ulice, w ubiegłym tygodniu zabito tam Polaka, który był wolontariuszem. W bezpiecznej Europie trudno ważyć racje ludzi bez państwa, będących zakładnikami Hamasu i jego polityki, i Żydów uważających, że walcząc o przetrwanie, mogą sięgać po wszelkie środki. Tym ciekawszą jawi się nam postać Iddo Netanjahu, pisarza, a prywatnie brata premiera Izraela Binjamina Netanjahu. Rzuca ciekawe światło na to, co się dzieje w tym kraju i poza nim.

Fot. YouTube

eprasa.pl 9e18b405a8

Jesienią w Niemczech ukazała się jedna z jego książek pt. „Itamar K.". Już jej tytuł przywołuje skojarzenia z surrealistyczną atmosferą kafkowskiego „Procesu" i jego bohaterem Józefem K., a także „Rokiem 1984" Orwella. Choć została napisana 25 lat temu, jej fabuła odmalowuje zwrot lewicy w stronę praktyk z ducha totalitarnych – coraz powszechniejszej cenzury, nietolerancji i systemowego niszczenia ludzi ze względu na odmienne poglądy, dominacji w instytucjach i przestrzeni medialnej. To szaleństwo ma swoje konsekwencje.

FIKCJA INSPIROWANA ŻYCIEM

Powieść izraelskiego pisarza to fikcja inspirowana życiem. Opowiada o Itamarze Kollerze, młodym skrzypku, który postanawia zostać scenarzystą filmowym i po prestiżowych studiach w Nowym Jorku wraca do Izraela, aby nakręcić film o podziwianym przez siebie zmarłym żydowskim śpiewaku operowym Saulu Melamedzie. Jednak próbując nakręcić tam film, natychmiast wkracza do teatru politycznego absurdu. Szybko się okazuje, że jego bohater jako patriota niewierzący w pokojową egzystencję z Arabami reprezentuje niewłaściwe poglądy, wywołując tylko alergiczną reakcję tamtejszych „animatorów kultury". W świecie żydowskiej inteligencji odkrywa liczne sprzeczności, powszechny konformizm i dwójmyślenie. Wplątuje się w sieci nierealnego świata, głoszącego pochwałę moralności, człowieczeństwa i humanizmu, ale w rzeczywistości zakłamanego, bezlitosnego i pełnego arogancji. Jego starania są więc daremne. Najpierw zostaje poproszony o usunięcie niepoprawnych politycznie fragmentów ze scenariusza, a później cała postać zostaje poddana ideologicznej obróbce. Specjaliści „przemysłu kulturalnego" budują mu nowy motyw przewodni, przypisując Melamedowi najróżniejsze psychozy. W końcu ktoś o takich poglądach nie powinien być uważany za prawdziwego artystę, raczej za psychopatę.

Ponieważ śpiewak dał kiedyś koncert dla osadników na Zachodnim Brzegu, a jego śpiewowi towarzyszył fortepian, ma być do znudzenia ukazywany podczas bezsensownego transportu tego instrumentu przez pustynię. Co kilka metrów zatrzymuje się i sprawdza, czy nie jest on uszkodzony, neurotycznie polerując go chusteczką. Fortepian to instrument ogromny i ciężki, jest symbolem zachodniej kultury i jej bezsensownej ekspansji, tak samo obcej jak domy żydowskich osadników wśród Arabów. „Głosem rozsądku" zdaje się być żona Melameda Sylwia, która w końcu porzuca żydowskiego męża dla swego arabskiego kochanka.

> Netanjahu pisarz broni polityki Netanjahu premiera. Uważa, że celem Bractwa Muzułmańskiego i Hamasu jest nie tylko zniszczenie Izraela, lecz także zdominowanie świata islamskiego i pokonanie Zachodu

Itamar w końcu zrywa współpracę z doradcami. Jednak ku jego zdziwieniu przetacza się po nim ostra kampania prasowa, pełna oszczerstw i insynuacji. Próbuje się więc bronić i choć przyjaciele mu to odradzają, udziela wywiadu jednej z wiodących gazet. Dziennikarka jest dla niego miła, zaprasza go do domu, częstuje kawą i kanapkami, a on szczerze odpowiada na jej pytania. Jednak już po publikacji z wywiadu wyłania się jako postać ponura, żałosna i pretensjonalna, o której nie można powiedzieć nic dobrego. Dzisiaj wiemy, że ten schemat działa w całym zachodnim kompleksie medialnym, w którym wykorzystuje się kłamstwa i półprawdy w celu zniszczenia przeciwników politycznych.

ŻYDZI Z AfD NA CENZUROWANYM

Rzeczywistość prześciga jednak świat książkowej satyry. Książka jest bowiem bardzo polityczna i takie reakcje wzbudziła zarówno w Izraelu, jak i za Odrą, gdzie zaplanowane na początek marca spotkania autorskie zostały w kilku miejscach odwołane. Uczyniło tak np. berlińskie Towarzystwo Niemiecko-Izraelskie, które w specjalnie wydanym oświadczeniu nie ukrywało, że organizator i jego poglądy są po prostu niewłaściwe, a pisarz, przyjmując na nie zaproszenie, powinien mieć tego świadomość. Chodziło o ludzi związanych z AfD. Również recenzje książki miały odcienie polityczne. „Będziesz utożsamiał się z jej bohaterem, niezależnie od tego, co myślisz o konflikcie na Bliskim Wschodzie" – przekonują krytycy przychylni pisarzowi, głównie z prawicy, bo w pozostałych recenzjach autora raczej wyśmiewano, stwierdzając złośliwie, że tylko „udaje" pisarza.

Poza tym wszystko dzieje się w gorącym okresie, po wybuchu kolejnej wojny izraelsko-palestyńskiej, trwających wiele miesięcy protestach przeciw reformie Sądu Najwyższego w Izraelu oraz narastającym w Niemczech konflikcie politycznym, w którym głównym celem jest izolacja, a nawet delegalizacja AfD. Niemiecka prawica, choć stara się udowadniać, że nie jest taka straszna i skrajna, to wszem wobec demaskuje się ją jako neonazistowską. Dlatego tym zabawniejsze, że książka pojawiła się na niemieckim

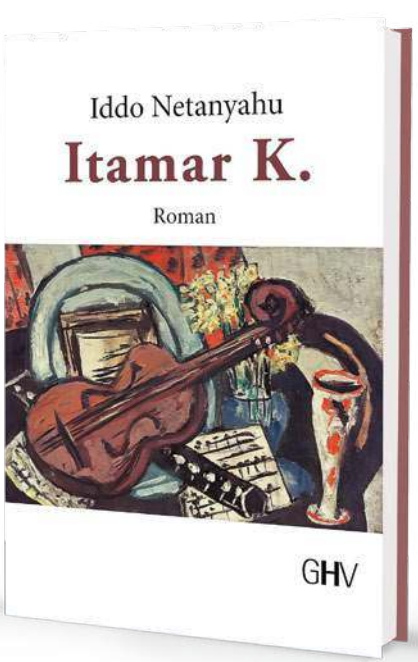

eprasa.pl 9e18b405a8

rynku za sprawą Artura Abramovycha, reprezentującego istniejące wewnątrz partii stowarzyszenie... „Juden in der AfD". Oczywiście zdaniem krytyków powstało ono wyłącznie w celu uniknięcia publicznego postrzegania partii jako „antysemickiej". W kontekście filosemickich manifestów jej przedstawicieli wspierających Izrael i jego politykę już przypomina to beznadzieją sytuację procesową kafkowskiego Józefa K.

Choćby kilka lat temu jeden z polityków partii opublikował w mediach społecznościowych grafiki z podobizną Yaira Netanjahu, syna obecnego premiera, wraz z cytatem z jego wypowiedzi: „Strefa Schengen jest martwa. Tak jak martwa stanie się wasza zła, globalistyczna Unia Europejska, jeśli nie będzie znów wolna, demokratyczna i chrześcijańska". Młody Netanjahu nie tylko wspiera ojca i rządzącą Izraelem prawicę, ale także Trumpa, Orbána, Salviniego i Wildersa.

Iddo Netanjahu przyznaje, że napisane przezeń sztuki nie są wystawiane w izraelskich teatrach ze względu na jego poglądy, a powieściowy Itmar Koller stał się poniekąd jego alter ego. Już po stworzeniu tej postaci jemu samemu przytrafiła się bowiem podobna i groteskowa historia. W pewnym momencie postanowił anonimowo zaproponować jednemu z teatrów w Tel Awiwie sztukę „Happy End", którą początkowo przyjęto – jak relacjonuje – z wielkim entuzjazmem. Kiedy jednak okazało się, że to on jest jej autorem, entuzjazm się ulotnił, a po dwóch weekendach została zdjęta z afisza. „To był koniec mojej kariery dramaturga w Izraelu" – ironizuje.

„WOLNE SĄDY" W IZRAELU

W ostatnim czasie Iddo Netanjahu udzielił kilku wywiadów w prawicowych mediach, w których opowiada o dominujących w izraelskim świecie kultury i mediów wyznawcach powszechnie obowiązującej nienawiści do samych siebie oraz dekonstrukcjonizmu wspieranego przez inżynierów lewicowo-liberalnego establishmentu. Pisarz wielokrotnie mówił, że wolność słowa w Izraelu jest poważnie ograniczona i choć nikt nie trafia do więzienia za przekonania, to skutecznie uniemożliwia się ich głoszenie i rozwijanie kariery bez względu na zdolności. Dlaczego tak się dzieje?

Osadnictwo żydowskie w Palestynie kontrolowała Agencja Żydowska, która – podobnie jak ruch kibucowy – była zdominowana przez ludzi o poglądach lewicowych, a nawet komunistycznych. To oni zdobyli kluczowe pozycje w społeczeństwie i instytucjach państwa żydowskiego po wojnie. „Nie byli stalinowcami w tym sensie, że chcieli kogokolwiek wsadzić do obozu, ale było dla nich jasne, że »racja« jest tylko jedna, a inne poglądy są nie do przyjęcia" – podkreśla Iddo Netanjahu. Dlatego w instytucjach takich jak teatry, uniwersytety czy media powszechna jest tendencja do promowania osób o tych samych poglądach. Jak twierdzi, współczesny Zachód niestety poszedł w ślady Izraela, a w niektórych krajach ostatnimi czasy nawet go prześcignął. „Istnieją państwa, które wprowadziły ustawodawstwo lub rozważają wprowadzenie przepisów zabraniających wyrażania niektórych poglądów. Jest to niebezpieczne, ponieważ stoi w sprzeczności z najbardziej podstawowym elementem prawdziwie wolnego społeczeństwa, czyli wolnością słowa" – mówił w wywiadzie udzielonym „European Conservative".

Dlatego w Izraelu, podobnie jak w Polsce, elementem pluralizacji życia politycznego była próba przeforsowania reformy sądownictwa. Jednak szczególnie w liberalnym Tel Awiwie Żydzi z całego świata protestowali przeciwko zmianie pozycji Sądu Najwyższego, który – jak tłumaczy Netanjahu – w ciągu ostatnich 30 lat każdą kwestię polityczną rozstrzygał nie w myśl prawa, ale politycznych i ideologicznych interesów izraelskiej lewicy. Dzieje się tak, ponieważ wciąż spore wpływy ma tam tzw. głębokie państwo, a więc silnie umocowana biurokracja, która jeśli oceni, że prowadzona polityka koliduje z jej interesami, natychmiast uruchamiała Sąd Najwyższy. „Lewica, mimo porażek w wyborach, chciała utrzymać nieformalną kontrolę nad państwem za pośrednictwem sądów" – wyjaśnia.

> Rzeczywistość prześciga jednak świat książkowej satyry. Książka jest bowiem bardzo polityczna i takie reakcje wzbudziła zarówno w Izraelu, jak i za Odrą, gdzie zaplanowane na początek marca spotkania autorskie zostały w kilku miejscach odwołane

RODZINA PRAWICOWYCH SYJONISTÓW

Iddo Netanjahu jest nie tylko bratem premiera „Bibi" Netanjahu, ale podobnie jak on i jego drugi brat Yonatan, który zginął podczas ratowania zakładników w Ugandzie w 1976 r., służył w jednostce specjalnej Sayeret Matkal i walczył w wojnie Jom Kipur. Ich ojcem był natomiast Benzion Netanjahu, urodzony w przedwojennej Warszawie pod nazwiskiem Milejkowski historyk i prawicowy działacz syjonistyczny. Tacy jak on byli przeciwnikami lewicowych syjonistów skupionych wokół Dawida Ben-Guriona, którzy wierzyli, że można spokojnie koegzystować obok Palestyńczyków. Syjoniści rewizjoniści przeciwnie. Twierdzili, że Żydzi muszą zbrojnie podbić Palestynę, stworzyć państwo na obu brzegach Jordanu, a kompromis z Arabami uznawali za niemożliwy. Bieg wypadków rzeczywiście przyznał im rację, a stanowisko kiedyś uważane za skrajne stało się powszechnie akceptowane. Netanjahu pisarz broni więc polityki Netanjahu premiera. Uważa, że celem Bractwa Muzułmańskiego i Hamasu jest nie tylko zniszczenie Izraela, lecz także zdominowanie świata islamskiego i pokonanie Zachodu. Drugim frontem jest masowa muzułmańska imigracja do Europy, wspierana przez lewicowo-liberalne elity i biznes.

eprasa.pl 9e18b405a8

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Nadwiślańska republika bananowa

Od kiedy koalicja 13 grudnia przejęła stery państwa, określenie „republika bananowa" zaczęło mimowolnie pojawiać się na ustach wielu obserwatorów. Termin ten od dawna jest używany do opisania niestabilnego, skorumpowanego kraju, zależnego od interesów obcego mocarstwa lub międzynarodowego gracza. Czy słusznie zatem Polska zaczyna niebezpiecznie przypominać najbardziej pogardzane kraje na mapie świata?

Gdyby nie osłona medialna, na którą może liczyć Tusk, a także profil jego wyznawców, bardziej przypominających wyizolowanych ze świata hikikomori niż przytomnych obywateli, rozmowa na temat osuwania się Rzeczypospolitej w nadwiślańską republikę bananową zajmowałaby poważne miejsce w debacie publicznej. Jeśli prawdą jest informacja, która wyciekła do prasy za sprawą jednego z członków Platformy Obywatelskiej, iż sam Tusk miał dyscyplinować swoją ekipę pogróżką, „że jak wróci Prawo i Sprawiedliwość, to wszyscy pójdą siedzieć", to znak, że ma on świadomość przekroczenia wielu czerwonych linii.

GENEZA BANANOWYCH REPUBLIK

Zanim przyjdzie nam rozstrzygnąć te wątpliwości, spójrzmy na historię krajów, które stały się symbolem upadłej

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9e18b405a8

państwowości. Pozwoli nam to jednocześnie zrozumieć, dlaczego Rosji tak łatwo „kolonizować" teraz niektóre państwa iberosfery i szukać tam swoich sojuszników. Pablo Neruda, chilijski poeta i laureat Nagrody Nobla, miał napisać pamiętne zdanie: „Kiedy Bóg stworzył świat i rozdzielił go pomiędzy duże amerykańskie korporacje międzynarodowe, firma Fruit Company zarezerwowała dla siebie najbardziej soczyste, środkowe wybrzeże mojej ziemi, słodką talię Ameryki". Wyjaśnienia wymagają dwie przywołane w tym bon mocie nazwy. Neruda miał oczywiście na myśli potentata w branży uprawy, dystrybucji i sprzedaży bananów, czyli koncern United Fruit, który do dziś „ukrywa się" pod niebieską etykietką na bananach z napisem Chiquita. „Talią Ameryki" jest zaś przewężenie albo w zasadzie pomost łączący oba kontynenty, czyli małe kraje Ameryki Środkowej, takie jak Gwatemala, Honduras, Kostaryka, Nikaragua, Panama, Kolumbia, a także Karaiby: Kubę, Dominikanę, Haiti (żeby wymienić tylko te bardziej znane).

Firma United Fruit, założona w 1899 r., stała się fundamentem dla popularyzacji koncepcji „republiki bananowej" w rejonie, w którym dawne imperium Hiszpanii już wcześniej utraciło wpływy. W następstwie wojny z USA Hiszpanie stracili też Kubę, Portoryko i Filipiny. Zbuntowane prowincje Madrytu nie miały pojęcia, że powstając przeciwko swojemu centrum u boku Amerykanów, wkrótce właśnie przez nich zostaną zdegradowane i zniewolone jak nigdy przedtem. Powodem było „żółte złoto", które z Karaibów i Ameryki Środkowej dotarło do USA.

W ciągu kilku lat firmie udało się sprawić, że banan przestał być owocem egzotycznym, na który może sobie pozwolić jedynie niewielu. USA rozpoczęły wtedy budowę Kanału Panamskiego, co pomogło spopularyzować zarówno owoc, jak i sam termin „republika bananowa", ukuty przez pisarza i satyryka O. Henry'ego.

Firma United Fruit, znana w Ameryce Łacińskiej jako El Pulpo (czyli ośmiornica) ze względu na swoje zręczne i długie macki, rozpoczęła działalność od przejęcia tysięcy hektarów plantacji w Kostaryce, Jamajce i Panamie, a wkrótce jej „ziemie podbite" objęły też Honduras, Gwatemalę, Kolumbię, Ekwador, Kubę i Republikę Dominikany. „Ośmiornica" szybko stała się monopolistą na rynku bananów, a w dodatku miała do dyspozycji tzw. wielką białą flotę, czyli ponad 50 statków do transportu szybko psujących się owoców.

Od tej pory amerykańska firma pod protektoratem rządu USA traktowała kraje Ameryki Łacińskiej tak, jak mocarstwo traktuje tereny okupowane i podbite. Dla uprawy banana zbudowano sieć kolei żelaznych i system obozów pracy niewolniczej. Od początku podstawową częścią jej działalności było przekupywanie lokalnych władz lub powstrzymywanie ich przed oporem. Kiedy bananowy koncern nie mógł skorumpować lokalnych rządów ani wymusić zamachu stanu w celu odsunięcia od władzy suwerenistów (mówiąc dzisiejszym językiem), zawsze mógł się odwołać do rządu USA, aby udzielił odpowiedniego wsparcia.

MASAKRA BANANOWA

Zdarzenie, które przeszło do historii jako „masakra bananowa", było następstwem strajku tysięcy kolumbijskich pracowników United Fruit, którzy po tygodniach bez postępu w negocjacjach postanowili masowo zebrać się w Ciénaga. 6 grudnia 1928 r. kolumbijska armia pod dowództwem gen. Cortésa Vargasa nakazała im się rozejść, a gdy nikt się nie poruszył, żołnierze otworzyli ogień do bezbronnych robotników. Do tej pory nie wiemy dokładnie, ile było ofiar śmiertelnych, ale według raportu ówczesnego ambasadora USA w Kolumbii zamordowano ponad 1 tys. osób. Amerykanie lubią przedstawiać tę tragedię jako nieudolne działanie rządu Bogoty, lecz wiadomo, że to Waszyngton zagroził interwencją militarną w kraju, jeśli strajki robotników nie zostaną siłą i skutecznie spacyfikowane.

Gabriel García Márquez w powieści „Sto lat samotności" zwielokrotnił liczbę ofiar: „Postanowiłem, że będzie to 3 tys. zabitych, ponieważ tyle mniej więcej mieściło się w proporcjach książki, którą pisałem" – tak się tłumaczył w wywiadzie dla brytyjskiej telewizji w 1990 r. Trudno ustalić prawdziwy wymiar masakry, bo pisarz był przyjacielem Fidela Castro i zaangażowanym komunistą, który chciał oskarżyć kapitalistów o wszelkie zło, toteż miał pokusę mnożenia ofiar. Z kolei kolejnym rządom USA i Kolumbii bardzo zależało, aby zminimalizować wymiar masakry. Co ciekawe, Ángel Castro – imigrant zarobkowy z Hiszpanii i ojciec Fidela Castro – zdobył fortunę, pracując właśnie na Kubie dla United Fruit. W wyniku rewolucji jego syn obalił proamerykańskiego prezydenta Batistę, a później ze swoim komunistycznym rządem znacjonalizował posiadłości „ośmiornicy" na Kubie. Sama firma popadła w kłopoty finansowe za sprawą kolejnych strajków, procesów sądowych i trudności handlowych w czasie zimnej wojny.

W latach 80. XX w. koncern zmienił nazwę na Chiquita Brands, nawiązując do słynnej propagandowej dla bananowego biznesu kreskówki „Miss Chiquita Banana". Od lat próbuje zmienić wizerunek i uwolnić się od kolonialnego ciężaru swej historii. Niebieska naklejka z napisem Chiquita wciąż jest jednak synonimem „jankeskiej dominacji" w krajach, które były republikami bananowymi. Złowroga sława miała zresztą wpływ na całą Amerykę Południową, co czyni jej mieszkańców bardzo podatnymi na propagandę rosyjską i nowych wcieleń marksizmu także w teologii. W Polsce też zresztą mieliśmy do czynienia z bardzo drapieżnym kapitalizmem, a jednak doświadczenie to uodporniło nas na pokusy myślenia, że możliwa jest utopia równości.

CECHY WSPÓLNE POLSKI TUSKA I BANANOWYCH REPUBLIK

Skoro historię wstydliwej nazwy mamy już za sobą, czas się przyjrzeć, co łączy Polskę pod rządami Tuska z republikami bananowymi. Najważniejszym

eprasa.pl 9e18b405a8

argumentem za tą tezą jest faktyczna utrata suwerenności na rzecz podmiotów z zewnątrz, które interweniują zgodnie ze swoimi interesami, ale na tyle niejawnie, aby obywatele republiki bananowej pozostawali z wrażeniem, że wciąż rządzą się sami. Mamy więc demokratycznie wybrany rząd, który o dziwo coraz częściej wydaje się realizować interesy pozostające w sprzeczności z interesem narodowym. Jak inaczej nazwać wcześniejsze usilne starania Koalicji Obywatelskiej, aby Polska nie dostała należnego jej KPO pod wydumanymi zarzutami braku praworządności, i to nawet w czasie wojny u granic oraz ogromnego wysiłku finansowego na rzecz uchodźców z Ukrainy?

Od 13 grudnia 2023 r. dynamika zdarzeń pokazuje wręcz niezbicie, że polskie strategiczne projekty muszą zostać zwinięte i zaniechane, bo zdają się naruszać interesy innej unijnej „ośmiornicy", która nie dystrybuuje bananów, lecz inny rodzaj „żółtego złota", oparty na niejawnym handlu wpływami, zyskami i stanowiskami w ramach UE. Nawet w socjalistycznej Hiszpanii, gdzie rząd dławi wolną prasę, możliwe jest jednak, aby dziennikarze otwarcie pisali o kupowaniu stanowisk w Unii za różnorodne haracze. Wszyscy przywykli tam już do zatrudniania urzędników rządzącej Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE) w zamian za płacenie wielomilionowych rachunków na rzecz głównych rozgrywających państw (właściwie Berlina). I jak wiadomo, premier Sánchez otrzymał poparcie dla Nadii Calviño na stanowisku przewodniczącej Europejskiego Banku Inwestycyjnego (EBI) za pomoc finansową dla niemieckiego Siemensa.

W Polsce zaś każda sugestia, że cały kraj płaci haracz na rzecz Berlina, aby ten lub inny polityk miał perspektywę objęcia intratnej posady, byłaby odebrana jako przejaw spiskowego myślenia. Nie wiedzieć czemu polska lewica i progresiści mieliby się nagle okazać bardziej niewinni i odporni na korupcję niż Hiszpanie. Co prawda Tusk załatwił tak mizerny udział w europejskim programie zbrojeniowym (na poziomie 0,4 proc.), że mogłoby to sugerować zupełny brak możliwości wpływu, ale inne „dokonania" na polu zwijania Polski przynoszą ostateczne dowody: paraliż budowy CPK, wstrzymanie rozwoju polskich portów – kontenerowego w Świnoujściu i gazowego w Gdańsku. Trzeba tez pamiętać o niemal całkowitym zniszczeniu w ciągu kilku tygodni współpracy w ramach V4 i Trójmorza.

Tym, co wyjątkowo nas zbliża do mentalności ludów republik bananowych, jest ogromny kompleks niższości, który zdołały wyhodować w Polakach już wcześniejsze rządy PO i oczywiście media znajdujące się na ich usługach, nazywające polską „gigantomanią" każdy przejaw myślenia wolny od służalczości

Tak jakby nie było alternatywy i bylibyśmy skazani jedynie na kolaborację albo podporządkowanie Berlinowi. Nawet rezygnacja z reparacji wojennych to też wspaniałomyślny dar rządu dla Niemiec.

POLSKI KOMPLEKS NIŻSZOŚCI

Tym, co wyjątkowo nas zbliża do mentalności ludów republik bananowych, jest ogromny kompleks niższości, który zdołały wyhodować w Polakach już wcześniejsze rządy PO i oczywiście media znajdujące się na ich usługach, nazywające polską „gigantomanią" każdy przejaw myślenia wolny od służalczości. Nie byłoby szansy na zmanipulowanie mas „lemingów" bez udziału mistrzów kłamstwa i propagandy. Tak samo jak w przypadku korporacji United Fruit, która zatrudniła nawet bratanka Zygmunta Freuda, czyli Edwarda Bernaysa, znanego jako „ojca public relations". Ten zaś wykorzystał nauki swojego wuja na temat ludzkiego umysłu do udoskonalenia technik reklamowych, czyli mówiąc wprost – manipulacyjnych. To Bernays opracował kampanię demonizowania Jacobo Árbenza, demokratycznie wybranego prezydenta Gwatemali, gdy ten próbował zagrozić interesom firmy i wywłaszczyć część jej plantacji. Trudno nie pamiętać podobnych kampanii, zohydzających śp. Lecha Kaczyńskiego czy później Andrzeja Dudę. Firma United Fruit opłacała wyjazdy do Gwatemali dziennikarzom głównych mediów i dyktowała, co mają pisać o „komunistycznym niebezpieczeństwie w Gwatemali". Te same sztuczki utrzymywania na pasku dziennikarzy mainstreamowych oglądamy w Polsce od lat, choć trzeba przyznać, że godzą się zaledwie na pełną michę i złudzenie stania po dobrej stronie historii przeciw wyimaginowanym „faszystom" czy „populistom".

Jeśli dobrze poszukać w niedalekiej przeszłości, to bananowa masakra – tyle że mózgów – miała miejsce już parę lat temu. Wystarczyło zdjąć z wystawy bzdurne i zdaniem wielu gorszące prace dwóch artystek w Muzeum Narodowym, a już pojawił się tłum kobiet gotowych na zawołanie ssać i zajadać banany (ponoć w obronie sztuki przed cenzurą). Dziś te same dziewczyny i baby nie wychylają się jednak, aby bronić prawdziwych dzieł sztuki przed atakami aktywistów klimatycznych. Mentalność niewolnika kolonii i republiki bananowej można wyssać z mlekiem matki lub papką medialną, wchłanianą samoczynnie i bezkrytycznie. Nic zatem dziwnego, że powstaje wrażenie, jakby nadwiślańska lumpeninteligencja też zajadała banana na polecenie Brukseli czy Berlina. Cała nadzieja w zdrowej części narodu, która nigdy nie pozwoli zamienić się w nadwiślańską republikę bananową.

eprasa.pl 9e18b405a8

Najeźdźców życie po życiu

Coraz więcej Rosjan zabitych na Ukrainie dosłużyło się specjalnej szkolnej Ławki Bohatera. Taka ławka to właściwie płyta nagrobna, tyle że drewniana i w szkolnej klasie. Na blacie widnieje portret zabitego i epitafium

DARIUSZ MATUSZAK

Tekst o państwowej nekrofilii w Rosji napisałem niegdyś dla nieistniejącego już tygodnika TVP. Po siłowym przejęciu telewizji nowa ekipa zaprowadziła w niej cenzurę, więc został usunięty z sieci, podobnie jak tysiące innych artykułów, reportaży itd. Dziś nie trzeba niczego palić, wystarczy kliknąć, a praca ludzi, ich dorobek znika, jakby go nigdy nie było. Piszę o nekrofilii jeszcze raz, bo w Rosji i na wojnie nic się nie zmieniło. Tyle że łady już nie są tak hojnie rozdawane w nagrodę za śmierć. Co najwyżej rodzina dostaje od lokalnych władz worek cebuli, ziemniaków albo jakieś ryby czy tort.

Fot. Jo Best/Shutterstock.com

eprasa.pl 9e18b405a8

KRONIKI ŚMIERCI

Kult zabitych dla Putina kwitnie. Po tym, jak po raz piąty wygrał wybory, ogłosił nowy pobór do wojska – zamówił kolejne 150 tys. porcji mięsa armatniego. Długo więc będą jeszcze spisywane kroniki śmierci. O tym, że spotkała ona kpr. Aleksieja Anufriewa, mieszkańców Uriupinska w obwodzie wołgogradzkim powiadomiła Natalia Karamyszewa, sekretarz oddziału partii Jedna Rosja i dawna nauczycielka zabitego. To kolejny uczeń, którego pożegnała.

Wspomnienie o Anufriewie spisała Angelina Korobko, która na lokalnym portalu Kriwoje Zierkało redaguje epigramy o zabitych na Ukrainie. Przy okazji wspomniała, że dzień wcześniej we wsi Wierchnyj Bałykłej pochowano sierż. Michaiła Puriasjewa, a we Frołowie 19-letniego Michaiła Jefremowa. Korobko pisze pożegnania, a polskie i natowskie służby, miejmy nadzieję, je czytają. Dziesiątki tysięcy publikowanych nekrologów i notek to kopalnia wiedzy o Rosji oraz jej patologiach.

Towarzyszka Angelina nie ma jednak tyle pracy jak nekrożurnaliści z innych miejsc. Obwód wołgogradzki jest bogaty jak na standardy Rosji, co oznacza, że nie panuje w nim dojmująca nędza, więc nie ma wielu chętnych, by służyć jako mięso armatnie. Co innego Dagestan, Buriacja, Chakasja, Tuwa. Stamtąd płyną poborowi, kontraktowi i ich krew. Służba w wojsku często jawi się jako jedyna możliwość wyrwania się z wszechogarniającej nędzy. Reżim kusi, podpisują kontrakty, a potem giną. Tak skomentował to jeden z internautów: „Bracia Rosjanie. Wiele osób pyta, dlaczego jest tak dużo ładunków 200 (cynkowe trumny ze zwłokami żołnierzy) z Buriacji i Dagestanu. Otóż nasze władze chronią elity z Moskwy i Petersburga. To serce Rosji, trzeba je chronić dla podtrzymania gospodarki, kultury i morale. To bardzo mądra decyzja Władimira Władimirowicza Putina, która poprawia poziom życia ludności. Nasz prezydent znów wszystkich ograł".

> Dagestan, Buriacja, Chakasja, Tuwa – stamtąd płyną poborowi i ich krew. Służba w wojsku jawi się często jako jedyna możliwość wyrwania się z wszechogarniającej nędzy. Reżim kusi, podpisują kontrakty, a potem giną

Wzmianki z dużych miast pojawiają się najczęściej przy okazji wielkich pogrzebów, ot, wtedy, gdy jakaś jednostka, np. powietrzno-desantowa z Riazania, została wycięta w pień. Wymiar strat, jakie ponosi Rosja, oddaje przechwycona i opublikowana rozmowa telefoniczna, w której zapłakana Rosjanka opowiada, że z pewnej jednostki wysłano na Ukrainę 1,5 tys. żołnierzy, a wróciło 30. Wśród nich mąż jej kumy, ojciec trójki dzieci. Wrócił, ale bez nóg. Jest jak w piosence „W Ołomuńcu na Fiszplacu": „A jak żeśmy nacierali, wiał przed nami każdy wróg, teraz mnóstwo mam medali, ale nie mam k...a nóg".

BYŁBY DUMNY, ŻE ZGINĄŁ

Dlaczego to nauczycielka poinformowała o śmierci kpr. Anufriewa? Szkoły łączy z armią mroczna więź. To w nich odbywa się wiele uroczystości pogrzebowych. W salach gimnastycznych, na korytarzach wystawiane są trumny ze zwłokami, a warty przy nich pełnią chłopcy w białych koszulach, dziewczynki w fartuszkach i z wielkimi kokardami, czasami członkowie organizacji Junarmia – putinowskiego Hitlerjugend. Nauczyciele wspominają, jakim to wspaniałym uczniem i kolegą był zabity. „Jesteśmy dumni, że chodził do naszej szkoły i dziękujemy rodzinie za tak wspaniałego syna – mówi portalowi Czita Aleksiej Kozyriew z miejscowości Kokuj, wspominając Aleksandra Fiodorowa. „Staś uczył się bardzo dobrze i nie naruszał dyscypliny. Marzył o byciu wojskowym" – napisała o Stanisławie Kazancewie szkoła w Juledurze. Nauczycielka Tatiana Sladkowa wspominała 19-letniego Danilę Piestrikowa: „Traktował nauczycieli z szacunkiem. Nie zawsze mu szło z nauką, ale się starał".

Rozmowne bywają też wdowy. „Sam z siebie byłby dumny, że zginął" – tak przynajmniej uważa Olga Szumakowa, która portalowi 74.RU mówi o zabitym mężu Władisławie. Kto wie, może zmartwychwstały szer. Szumakow chętnie dałby się zabić drugi raz. „Był takim patriotą, że ciągle myślał o prezydencie" – wspomina żona. Na pogrzebie szeregowego w przysiółku Trimazowskoje zjawili się nawet przedstawiciele fermy drobiu, w której całe życie pracowali dziadkowie Władisława.

eprasa.pl 9e18b405a8

Wspomnienia rodziców pojawiają się rzadko. Nie mają sił mówić. Alena Jakowlewa dowiedziała się o śmierci syna, gdy zadzwoniono do niej z jednostki, by przyjechała na badanie DNA. Chodziło o identyfikację szczątków Nikity. Portalowi 74.RU opowiedziała, że był miłośnikiem motoryzacji, zbierał modele samochodów, więc przyniosła je na pogrzeb. Przed wyjazdem kupił 14-letnią ładę, ale zdążył się nią przejechać tylko cztery razy. Do Jeleny Minkiny z Żeleznogorska o materiał genetyczny zwrócił się komisarz miasta. Co kobieta zaniosła do garnizonu – szczoteczkę do zębów czy część garderoby – nie wiadomo. Wiemy, że modliła się trzy dni, ale okazało się, że w spalonym wozie były jednak szczątki syna.

Życiorysy tysięcy takich jak Fiodorow czy Anufriew są podobne. Zabity szeregowiec czy kapral chodził do podstawówki w małej miejscowości, następnie poszedł do szkoły zawodowej. Kształcił się na elektryka, spawacza, montera, cukiernika. Dostał powołanie, podpisał kontrakt, a teraz nie żyje. Został po nim grób i wzmianka na portalach, że poległ: osłaniając towarzyszy, wyprowadzając kolegę, ratując oddział. A na Ukrainie bronił Rosji, wyzwalał od faszystów, demilitaryzował.

Bywają też jednak bogate, ornamentowane życiorysy najeźdźców. Znamy je dzięki ukraińskim służbom. Rosjanie puszą się w mediach społecznościowych, nagrywają siebie, rodziny i pokazują światu. Dzięki takim nagraniom por. Jurija Szalajewa powstał film „Okupant. Wojna i pokój w telefonie rosyjskiego oficera". Świat podziwia więc absolwenta najbardziej elitarnej uczelni wojskowej – Wyższej Szkoły Dowodzenia podczas ciągłych libacji, w trakcie których półnadzy oficerowie bełkoczą i śpiewają. Ukraińskie służby wybrały z telefonu to, co upokarzające, ale to sam porucznik zdecydował, że pijackie sesje, widok urżniętego i zasikanego wuja są warte uwiecznienia.

ŁAWKA BOHATERA

Wróćmy do szkoły i jej dozgonnego związku z armią. Coraz więcej zabitych na Ukrainie dosłużyło się specjalnej szkolnej Ławki Bohatera. Z początku upamiętniały one poległych z II wojny światowej, teraz przyszła kolej na tych, którzy dali się zabić na Ukrainie. Taka ławka to właściwie płyta nagrobna, tyle że drewniana i w szkolnej klasie. Na blacie widnieje portret zabitego i epitafium. W gimnazjum w Tichoriecku w Kraju Krasnodarskim jest już kilka takich grobowych desek. Jedna dla 21-letniego Dmitrija Gotowca, który aż dwa razy defilował przed Putinem. Siedzenie w ławce z nieboszczykiem to zaszczyt, którego dostępują najlepsi uczniowie. Sens jest taki: Wowa i ty, Pietucha, uczcie się pilnie, a jak skończycie 17 lat, podpiszcie kontrakt z armią. Po trzech miesiącach wyślą was, byście grabili i zabijali, a wy dajcie się rozerwać albo spalić żywcem, to w sali gimnastycznej wystawimy trumnę z resztkami po was, a w klasie ławkę piękną jak płyta nagrobna. Jak braknie trumien, to szczątki włożymy do skrzynki z nieoheblowanych desek. Takiej od transportowania broni. Na cmentarz powieziemy dostawczakiem. Staraj się Wowa i ty, Pietucha, a niedługo nie tylko prymusi, lecz wszyscy w gimnazjum w Trichoriecku będą siedzieli w grobowych Ławkach Bohatera.

> „Sam z siebie byłby dumny, że zginął" – tak przynajmniej uważa Olga Szumakowa, która portalowi 74.RU mówi o zabitym mężu Władisławie. Kto wie, może zmartwychwstały szer. Szumakow chętnie dałby się zabić drugi raz. „Był takim patriotą, że ciągle myślał o prezydencie" – wspomina żona

Jeszcze większego zaszczytu dostąpił Andriej Kriukow. Poświęcone mu epitafium i trumienny konterfekt podziwiają nie tylko uczniowie, lecz także wszyscy mieszkańcy jednej z osad w Republice Komi. Tablica ku jego pamięci zawisła na fasadzie szkoły. Ale co tam Kriukow. Artiom Nowikow to dopiero zostanie doceniony. Władze rejonu obiecały jego zwłokom pomnik w rodzinnej wsi Ujskoje. Łuki triumfalne już stoją. To rury nad szczerbatymi jezdniami i błotnymi drogami, jak bramy powitalne dla zwłok i nowej dawki nędzy. O lokalizacji jeszcze nie zdecydowano. Może figura kaprala stanie w tak godnym miejscu jak skrzyżowanie ulic Lenina i Marksa. Równie dobrze mógłby to być zbieg Błotnej i Fekaliów. Być może jest jakiś głęboki sens w tym, by wszystko, co nędzne, przegniłe, rozpadające się, ufajdane nazywać imieniem Lenina, Marksa, Dzierżyńskiego lub Rewolucji Październikowej.

Ujskoje wygląda jak te wszystkie wioski, miasteczka, które wymieniamy w tekście. Można je zwiedzać w Google. Czy młodzi ludzie uciekają z nich, bo są tak dojmująco nędzne, niedające żadnej nadziei, czy też są tak beznadziejne, bo młodzi wolą najeżdżać i rabować inne kraje, niż zrobić coś u siebie?

Po szkołach drugim najpopularniejszym miejscem dla apeli pogrzebowych są domy kultury. W takim przybytku w Szachunji w obwodzie niżnonowogrodzkim wystawiono trumnę z sierż. Mikołajem Grosbergiem. Rosja dowiedziała się o miasteczku za sprawą Iriny Sławiny z lokalnego pisma „Koza Press". Dzielna kobieta została skazana na 70 tys. rubli grzywny za brak szacunku dla władzy. Powołany przez sąd biegły Timur Radbil, doktor nauk filologicznych, członek Rosyjskiej Akademii Nauk Przyrodniczych, profesor Wydziału Prawa Uniwersytetu w Niżnym Nowogrodzie, stwierdził, że użyty przez Sławinę „nowotwór językowy niesie skojarzenia obsceniczne, więc wyraża brak szacunku dla władz i społeczeństwa". Chodziło o to, że gdy władze Szachunji na jednym z budynków zawiesiły tablicę na cześć Stalina, Sławina zaproponowała zmianę nazwy miasta na Szachujnia.

W 1985 r. Sting w piosence „Rosjanie" z albumu „The Dream of Blue Turtles" śpiewał naiwnie: „Mam nadzieję, że Rosjanie też kochają swoje dzieci". Może i kochają, ale nie na tyle, by nie pozwalać, aby ich kochane dzieci innych dzieci nie zabijały albo nie dawały się same zabić w służbie sowieckiego czy putinowskiego reżimu, który ich trzyma pod butem.

eprasa.pl 9e18b405a8

Historia ten jeden ma błąd

Prawdziwego patriotyzmu nie głosi się au face, pełną gębą, lecz profilem, półgębkiem, mówiąc jedynie gdzieś pod nosem: „tak trzeba". Tak też robi Władysław Anders, kreowany przez Michała Żurawskiego – podkreśla Krzysztof Łukaszewicz, reżyser filmu „Czerwone maki", który tuż przed 80. rocznicą przypomina bitwę o Monte Cassino

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 9e18b405a8

Z Krzysztofem Łukaszewiczem, reżyserem i autorem scenariusza filmu „Czerwone maki", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy na Monte Cassino wciąż rosną czerwone maki?

Krzysztof Łukaszewicz: Jak najbardziej. To chyba jedyne, co się nie zmieniło przez te 80 lat.

Jak poza tym wygląda wzgórze?

Jest całkowicie porośnięte gęstą, zieloną roślinnością. W 1944 r. były to gołe skały z wyrastającymi gdzieniegdzie kikutami spalonych drzew – rezultat amerykańskich bombardowań. Pojechałem tam rok temu na zaproszenie Polskiej Fundacji Narodowej, wziąłem m.in. udział w rajdzie z rynku Cassino na wzgórze 593. Ledwo można było tam wejść, a co dopiero zdobywać ten teren pod niemieckim ostrzałem.

Co chciał pan osiągnąć, przypominając walki trwające od 17 stycznia 1944 r. po zwycięski polski szturm w nocy z 17 na 18 maja 1944 r.?

Nie było dotąd filmu fabularnego o Monte Cassino, a ponoć historii najlepiej uczy kino. „Czerwone maki" to hołd złożony weteranom 2. Korpusu Polskiego, choć pozostało ich niewielu. A osobiście – wyzwania, aby robić coraz większe kino. Trudność realizacji. Nie ma większego zadania niż robienie scen batalistycznych, jeszcze w naszych warunkach budżetowych. I potem jest satysfakcja, gdy widzisz na ekranie efekt swojej pracy i wiesz, że się obroniłeś. Wielu reżyserów chciałoby robić filmy batalistyczne, ale myślę, że szczególnie w Polsce powstrzymuje ich strach – wiadomo, jak jest z budżetem takiego filmu, on nigdy nie daje komfortu pracy. I potem trzeba w 30 dni nakręcić takie Monte Cassino, podczas gdy każda przyzwoita zachodnioeuropejska kinematografia ma co najmniej dwa razy tyle czasu.

Dlaczego więc podejmuje pan takie wyzwanie?

Odwagę realizacji kina wojennego dała mi „Karbala" [film z 2015 r. – przyp. red.]. Bałem się wtedy o każdą scenę, średnio wierzyłem w zrobienie Iraku w dużej mierze w Polsce, a jakoś się udało, z pomocą operatora Arka Tomiaka i scenografa Marka Warszewskiego. Potem były „Orlęta" (2022) o obronie Grodna przed bolszewikami w 1939 r. – ten film udało się zrobić z zegarkiem w ręku, nakręciliśmy dosłownie wszystko, co można było sobie wymarzyć w polskich realiach. Batalistyka wyszła lepiej niż na papierze – w scenariuszu, a to się rzadko w filmie zdarza. W międzyczasie zrealizowałem dla „Korony królów. Jagiellonów" całkiem pokaźną bitwę pod Grunwaldem, rok później już Monte Cassino w „Czerwonych makach". Miałem świadomość ograniczeń budżetowych, ale gdy do projektu dołączył duet z Karbali – Arek Tomiak i Marek Warszewski – przestałem wątpić, czy warto.

Czy przywołując na ekranie bitwę o Monte Cassino, odczuwał pan presję?

Jedynie presję czasu – aby przyzwoicie zrealizować tak ważny temat. W fil-

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 9e18b405a8

mie czas to pieniądz, a przy skromnym budżecie trzeba było pracować z zegarkiem w ręku, trochę jak saper – nie było czasu na pomyłkę. Do tego dochodziła presja pogody – wydawało się nam, że od maja w Chorwacji [gdzie były realizowane zdjęcia batalistyczne – przyp. red.] jest lato, nie pada. Tymczasem lało przez pierwsze dwa tygodnie, codziennie. A przecież w maju na Monte Cassino nie padało. Więc trzeba było przeczekiwać te burze, a gdy w górach zerwał się huragan, fruwały namioty i statywy od lamp – przerywaliśmy zdjęcia, tracąc drogocenny czas.

Niełatwo dziś kręcić filmy pokazujące polską historię. Jak w dowcipie o dwóch Polakach i trzech opiniach, tu także nie ma jednego stanowiska. Jest za to pewność surowej oceny. Jaki miał pan klucz do opowiedzenia o żołnierzach spod Monte Cassino i ich dowódcach?

Nie interesuje mnie robienie hurrapatriotycznych historii „na kolanach". Dlatego w „Karbali" moi bohaterowie „stają się" nieco z przypadku. Trafili w niewłaściwym czasie w niewłaściwe miejsce i nie mają wyboru – aby przetrwać, muszą walczyć. Z kolei w „Orlętach" głównym bohaterem staje się żydowski chłopiec, który chce udowodnić swoim „aryjskim" rówieśnikom, że nie jest gorszym patriotą niż oni. Ważne są motywacje bohaterów – im bardziej nieoczywiste, tym, w moim odczuciu, lepiej dla historii. W „Czerwonych makach" na pewno nie zobaczymy gen. Andersa prącego hurrapatriotycznie do zajęcia swojego „miejsca w historii". Także główny bohater historii, niespełna 18-letni Jędrek, to raczej z przekonań antybohater.

Gdy asystowałem Ryszardowi Bugajskiemu na planie „Generała Nila", nauczyłem się jednej rzeczy. Prawdziwego patriotyzmu nie głosi się au face, pełną gębą, lecz profilem, półgębkiem, mówiąc jedynie gdzieś pod nosem: „tak trzeba". Tak robił August Emil Fieldorf w wykonaniu Olgierda Łukaszewicza, tak też mówi Władysław Anders kreowany przez Michała Żurawskiego.

Przypomnijmy historyczne postacie pojawiające się w filmie oraz wcielających się w nich aktorów. Dlaczego właśnie im powierzył pan te role?

Michał Żurawski jest fizycznie podobny do gen. Andersa i równie charyzmatyczny. Bartek Topa przyjął epizodyczną rolę gen. Sulika, dowódcy 5. Kresowej Dywizji Piechoty, ze względu na naszą współpracę przy „Karbali", gdzie zagrał główną rolę, także opartą na autentycznej postaci – dowodzącego ratuszem w czasie szyickiego powstania, później był jeszcze kpr. Greniem w „Orlętach. Grodno '39" (pojawia się tam po godzinie filmu, ale wszyscy na niego czekają). W gen. Ducha wcielił się w „Czerwonych makach" Radek Pazura, z którym zżyliśmy się na planie „Korony królów. Jagiellonów", gdzie grał rolę bp. Trąby, powiernika Jagiełły. Filmowy gen. Szyszko-Bohusz to Zbyszek Stryj, kolejny z „zaprzyjaźnionych". Darek Toczek – bohaterski sanitariusz Brzeziński. Te wszystkie postacie zostały zapożyczone z reportaży Wańkowicza, zawartych w „Szkicach spod Monte Cassino".

Do widza najlepiej dociera się poprzez bohaterów, za którymi mogą podążyć. Jaki miał pan pomysł na wątek Jędrka i Poli?

Główny bohater musi się jakoś wyróżniać, być „pod prąd". Stąd pomysł na Jędrka, co to się „między gierojów nie pcha", dogadującego się bardziej z niedźwiedziem Wojtkiem niż z kolegami w mundurach, ogarniętymi hurrapatriotyzmem. Jędrek jest przy tym głosem jego współczesnego rówieśnika –afirmuje życie i głośno wyraża swoje wątpliwości co do zasadności pchania się pod lufy niemieckich erkaemów na Monte Cassino. Mam nadzieję, że przez swoją współczesność lepiej dotrze do obecnego młodego widza.

Fot. Kino Świat

Podobnie jak Leszek Lichota, odtwórca roli Redaktora, odwołującej się do Melchiora Wańkowicza?

Obaj towarzyszą mi w filmach od debiutu – „Linczu", a nawet jeszcze wcześniej, od „Generała Nila", gdzie robiłem Ryszardowi Bugajskiemu obsadę... Dodatkowo wśród aktorów „Czerwonych maków" są jeszcze Mateusz Banasiuk jako por. Wilkosz, Cezary Łukaszewicz – sierż. Próchniewicz, Michał Gadomski – strz. Szapira, Karol Dziuba – „Ref-Ren", autor słów do piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino" [utwór powstał w noc ostatecznej bitwy, tekst napisał wspomniany Feliks Konarski, muzykę skomponował Alfred Schutz – przyp. red.] i wreszcie, last but not least,

I tu bitewna historia staje się tłem?

Do przedstawienia fabularnej, fikcyjnej opowieści o niespełna 18-letnim Jędrku, który kocha się bez wzajemności w rówieśniczce z Pomocniczej Służby Kobiet Poli i który, pomny utraty młodszej siostry Helci w Sowietach, za wszelką cenę chce ocalić starszego brata Stanisława, oficera wojsk pancernych, od udziału w bitwie. Po stronie faktów mamy z kolei gen. Andersa, czującego ciężar odpowiedzialności za wykrwawienie 2. Korpusu Polskiego w bitwie, generałów Sulika, Ducha i Szyszko-Bohusza, wspierających Andersa w czasie bitwy. Wreszcie bardzo ważna w fabule jest postać Redaktora, alter ego Melchiora

eprasa.pl 9e18b405a8

Wańkowicza, łącząca wątek fikcyjny z wątkiem historycznym.

Powiedzmy więcej o młodych aktorach grających główną parę: Nicolasie Przygodzie i Magdalenie Żak. Czego pan w nich szukał, co znalazł?

Jędrka, Nicolasa Przygodę, wypatrzyłem w „Kruku", zaś Polę, Magdę Żak, w „Znakach". Opłaca się oglądać polskie seriale kryminalne. Mimo młodego wieku oboje są już doświadczeni aktorsko. Magda studiuje aktorstwo, Nicolas, jeszcze jako nastoletni chłopiec, wyróżnił się w „Placu zabaw" [poruszającym pełnometrażowym debiucie Bartosza M. Kowalskiego z 2016 r. – przyp. red.], więc nie są to, broń Boże, moje odkrycia, zachowałem się raczej asekurancko, nie ryzykując szerszym castingiem ani pokusą postawienia na absolutnych debiutantów.

Czy w „Czerwonych makach" były sceny, sekwencje, które stały się dla pana realizacyjnym Monte Cassino (zwycięskim, ale niezwykle trudnym, może nawet karkołomnym)?

Najbardziej karkołomne wydawało się zmieszczenie w wyznaczonym produkcyjnie czasie z realizacją scen batalistycznych. Pirotechnik Bartek Stępniak miał do przygotowania do pięciu eksplozji na dubel. Z różnych względów materiału do eksplozji wystarczyło mu na dwa duble. To było bardzo dyscyplinujące. Najważniejsze, że Bartek ma taką wprawę, iż odpala wszystkie eksplozje w kadrze co do sekundy – wtajemniczeni wiedzą, jaka to sztuka. Ponadto do każdego ujęcia wzdłuż trasy kamery byli porozstawiani pomocnicy Bartka z paintballami. Wystrzał takiego paintballa z pociskiem, nazwijmy to, „kurzowym", trafiający w skałę przy aktorze, robi na ekranie wrażenie strzału prawdziwego pocisku. Strzela się jak najbliżej aktora, ale tak, by go nie trafić – wszak oberwać z paintballa to jednak boli. Przy poruszającym się szybko aktorze stanowi to nie lada wyzwanie.

A wspomniana chorwacka aura?

Najtrudniejsze były te sceny, które musieliśmy kręcić jako słoneczne w deszczu. Tak na serio – walczyliśmy tylko z pogodą. Pozostałe elementy, zależne od nas, były pod kontrolą. Pracowaliśmy z zegarkiem w ręku i praktycznie wszystko, nawet sceny batalistyczne, udały nam się zgodnie z naszą wizją i założeniami produkcyjnymi. Po zdjęciach podszedł do mnie chorwacki producent i powiedział, że tak spokojnej i opanowanej, a przy tym skutecznej ekipy jeszcze nie widział. Cóż, nie mieliśmy wyboru, chcąc w 30 dni zrealizować batalistyczne kino – tylko spokój mógł nas uratować.

Opowieść o walkach o Monte Cassino nie byłaby pełna bez wątku niedźwiedzia Wojtka. Jak poradził pan sobie, zwłaszcza technicznie, z tym „bohaterem"?

Niedźwiedź Wojtek przyjechał z Londynu. Składał się z pana schowanego w kostiumie, animującego ruchy do szyi w górę, oraz z pana ukrytego obok kamery, animującego ruchy głowy. Na to wszystko nasi spece od efektów komputerowych z firmy Postnovation nałożyli komputerowo sierść i głowę niedźwiedzia. Efekt ocenią widzowie...

„Monte Cassino jest twierdzą, którą zdobyć usiłowało wiele narodów; jest twierdzą słynną na cały świat [...]. Jeśli zdobędziemy Monte Cassino, a zdobyć je musimy, wyniesiemy sprawę polską – tak obecnie sponiewieraną – w samo centrum uwagi świata". Jak brzmi dziś i co może znaczyć ta wypowiedź gen. Andersa?

Anders w wykonaniu Michała Żurawskiego mówi do Redaktora, swojego kolegi ze studiów aktorskich Leszka Lichoty: „My wiemy, że aliantom się nie spieszy we Włoszech, bo się boją wejść do Niemiec przed Sowietami. Stąd te wszystkie nieudane natarcia... To jest polska racja stanu, wyrąbać jak najszybciej drogę na Rzym i dalej" – to jest to, czego nie mógł powiedzieć oficjalnie żołnierzom, ale o czym był przekonany.

Staraliśmy się zrobić film uniwersalny, dla widza w każdym wieku, bez względu na płeć. Z ponadczasowym głównym bohaterem kierującym się uniwersalnymi motywacjami. Z historycznymi bohaterami na drugim planie, oddającymi historii, co do niej należy. Z ponadczasowym dylematem, czy na włoskiej ziemi, po raz kolejny, jak legioniści Dąbrowskiego, było warto? „Historia ten jeden ma błąd" – niech te słowa z pieśni o „Czerwonych makach" będą najlepszym podsumowaniem przesłania, jakie będzie nieść film o tym samym tytule.

Autopromocja
Fot. Kino Świat

eprasa.pl 9e18b405a8

Interesujesz się historią?

Poznaj pasjonujące lekcje historii w formie e-booków

Nieznane strony historii Polski
10 pasjonujących opowieści o wybitnych Polakach i odkłamanych faktach | 106 stron

Powstanie Styczniowe 1863 r.
13 historii o najważniejszych ludziach powstania | 130 stron

Gdzie diabeł nie mógł
25 opowieści o niesamowitych kobietach | 178 stron

Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach
12 lekcji historii, które pomagają zrozumieć przeszłość | 121 stron

Pupile historii
30 nietypowych lekcji historii | nie tylko dla wielbicieli psów | 128 stron

JAK ZDOBYĆ HISTORYCZNE E-BOOKI?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już od 5,90 zł

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta

Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra

eprasa.pl 9e18b405a8

3 MIŁOŚCI

Co z nami będzie

ROBERT TEKIELI

„Dziecko, które nie przyjdzie na świat, to o 58,6 t dwutlenku węgla rocznie mniej", stwierdzili naukowcy z Uniwersytetu w Lund. „Rolnicy zabijają co roku 8 mln ludzi, ponieważ są odpowiedzialni za ocieplenie planety", oświadczył Tedros Adhanom, dyrektor generalny WHO. Holenderska policja dokonała najazdu na dom komika Hansa Teeuwena, który dzień wcześniej ośmielił się żartować z lewackiej burmistrz Amsterdamu. Brytyjskie Muzeum Fitzwilliama ostrzega zwiedzających, że obrazy przedstawiające brytyjską wieś mogą wywoływać „mroczne nacjonalistyczne uczucia". Tak wygląda świat niezacofany, do którego aspirują rządzący naszym krajem.

Kilkanaście lat temu przeprowadzono pouczający eksperyment. W jednym pomieszczeniu umieszczono żywą kaczkę i kaczątka, w drugim oprócz piskląt była kaczka-robot, która regularnie dziobała małe. W swoim czasie pisklaki, którymi opiekowała się żywa kacza mama, powoli zaczęły się usamodzielniać, by w końcu rozpocząć własne życie. Kaczątka z drugiego pomieszczenia, mimo iż dotkliwie dziobane, nie próbowały opuścić swej prześladowczyni. Nawet gdy dorosły, zachowywały się jak pisklaki i dalej znosiły kary cielesne. Okazało się, że silniejszą więź z matką zachowały dziobane kaczki! Im mocniej były krzywdzone, tym bardziej uzależniały się od atrapy matki. Wyuczona bezradność bywa efektem zniewolenia. Pomyślałem o tym, czytając wpis na platformie X (d. Twitter) byłego ministra III RP Waldemara Kuczyńskiego: „To jest Unia i szereg spraw rozstrzyga Unia, a nie sami my. Tyle że poza Unią sprawy będzie u nas rozstrzygał Putin". Mentalność niewolnika.

Wobec jasno zarysowanej wizji radykalnej przebudowy Europy głoszonej przez unijny establishment, kompradorski sposób myślenia środowisk, które doszły w Polsce do władzy, jest szczególnie groźny w czterech dziedzinach. W ciągu najbliższych lat możemy pozbyć się suwerenności w nieodwracalny sposób, kraj może zostać zalany masami ekonomicznych migrantów, niechcianych w Starej Europie, Zielony Ład ma zaowocować skrajnym zubożeniem społeczeństwa, a poddana toksycznej ideologizacji polska szkoła będzie kaleczyć całe pokolenie dzieci.

Lewica przystawiła Europie pistolet islamu do skroni. W detalu wygląda to tak, że Bruksela poucza nas, iż powinniśmy zdjąć z Niemiec dużą część ich problemu.

Europejskie superpaństwo wyleczy małe narody opętane przez demony patriotyzmu, niemieccy eksperci napisali już uniwersalny unijny podręcznik historii.

Wzorem sowieckich unijni komisarze walczą z kułakami, celem rewolucji są również właściciele domów. Ludzie niezależni ekonomicznie nie są ulubieńcami marksistów, także kulturowych.

Najsilniej atakowana jest jednak rodzina i obyczaj. Niemiecka fundacja Amadeu Antonio w broszurce dla przedszkolanek stwierdza, że „skrajnie prawicowym dress codem" jest ubieranie dziewczynek w sukienki i spódniczki oraz zaplatanie im warkoczyków. W Polsce o edukacji seksualnej chcą decydować środowiska reprezentowane m.in. przez prof. Monikę Płatek, która uczy czteroletnie wnuczki, by się masturbowały w warunkach zapewniających im intymność.

Współczesny wolny świat: oprócz przemocy ideologicznej i ekonomicznej przemoc prawna oraz cenzura. Szkocja wprowadziła nowe prawo dotyczące przestępstw z nienawiści. Komentarz J.K. Rowling: „Czekam na aresztowanie. Wolność słowa i przekonań w Szkocji dobiega końca, jeśli dokładny opis płci biologicznej zostanie uznany za przestępstwo".

Na szczęście trwa walka o normalność. W Wielkiej Brytanii służba zdrowia wycofuje blokery dojrzewania i hormonoterapię dla dzieci cierpiących na zaburzenia tożsamości płciowej. Władze Bawarii zakazały urzędom, szkołom oraz innym placówkom publicznym używania języka poprawnego genderowo. Muzeum Smithsonian z siedzibą w Waszyngtonie zostało zmuszone do zapłaty 50 tys. dol. odszkodowania odwiedzającej je grupie uczniów, która została wyrzucona za noszenie odzieży z hasłami pro-life.

Oprócz zdroworozsądkowej samoobrony społecznej możemy liczyć na wojny w łonie rewolucji. Ich ofiarą padła nie tylko J.K. Rowling. Genevieve Gluck, radykalna feministka, twórczyni portalu Reduxx: „Liberalny ruch feministyczny został przejęty przez interesy korporacji. Tak aby nie służył już prawom kobiet i dziewcząt, ale wykorzystującemu je przemysłowi". Choć najpewniej szukam w tych wojenkach złudnej nadziei.

Wiele rozstrzygnie się w czerwcu. Być może los Polski, jaką znamy. Lecz nawet w wypadku wygranej partii sprzeciwu wobec rewolucyjnego Projektu, nasza ojczyzna pozostanie w cieniu geografii.

Schröder pochwalił właśnie Scholza za niewysyłanie broni Ukrainie. Imperialne modele Niemiec i Rosji są dziś w fazie symbiotycznej. Berlin zainwestował potężne pieniądze, by w Polsce rządzili kompradorzy. Na szczęście czasem historia toczy się wbrew prawdopodobieństwu i logice.

eprasa.pl 9e18b405a8

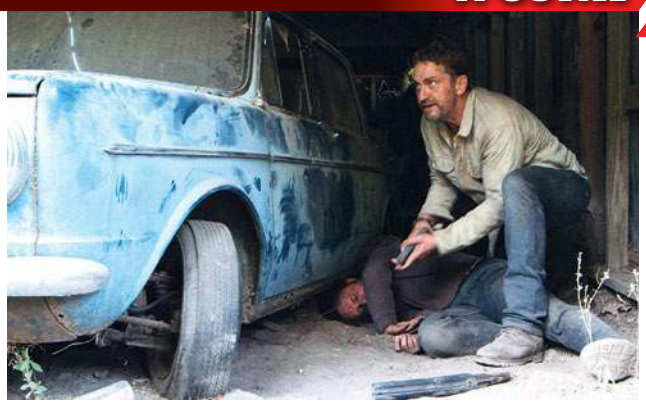

POPKULTURA

Warte Bardzo dobry film. *„Ostatni ślad”* to thriller z Gerardem Butlerem w roli głównej. Historia jest prosta: małżeństwo zatrzymuje się na stacji benzynowej, żona znika, mąż zaczyna poszukiwania. Przy okazji w introspekcjach odsłania się skomplikowanie relacji w ich wieloletnim już związku. Film trzyma w napięciu, jest nieoczywisty. Szybka akcja bez zbędnej paplaniny. Niby wiemy, do jakiego finału zmierzamy, ale działania złoczyńców są wypadkową przypadku, błędnych ocen i głupoty. W związku z tym trudno je przewidzieć. Dzięki temu oglądałem z niesłabnącą uwagą.

Nie lubię aktorstwa Butlera, jednak tutaj jest zwyczajnie doskonały. Od reżysera, Briana Goodmana („Blow”, „Szybcy i wściekli: Tokio Drift”), dostaje pełne pole do popisu. Są emocje, wiarygodnie zagrana panika i absolutna determinacja. Widzimy mężczyznę, który zrobi wszystko, by uratować swą kobietę. I chyba to odwołanie do prostych motywacji sprawia, że ta historia tak wciąga.

POPKULTURA

Ewentualnie *„Obława”* to serial o zabójstwie Lincolna i pościgu za jego mordercą. Swego rodzaju lekcja historii, jednak mocno stronnicza. Ten trochę kryminał, trochę film kostiumowy bez wątpienia jest jankeskim wyznaniem wiary. Zwolennicy Północy mają szerokie wolnościowe plany, zwolennicy Południa są infantylnymi megalomanami, pazernymi na pieniądze i lubiącymi gwałcić młode Murzynki.

Do tego szwankuje strona produkcyjna. Szersze plany wyglądają tu jak w filmach z lat 50. Górskie szczyty w „Bonanzie” były lepiej namalowane. Momentami CGI generuje w „Obławie” poczucie żenady miast iluzji. Na plus: dobra muzyka, niezła rola Tobiasa Menziesa („Gra o tron”, „The Crown”), no i czarnoskórzy aktorzy nie grają ról białych ludzi, by wypełnić oszalałe ideologiczne parytety. W chwili, w której piszę te słowa, ukazały się cztery odcinki. Kolejne co piątek. Czy warto obejrzeć? Ewentualnie.

POPKULTURA

Może być Książka Michaela Moorcocka *„Elryk z Melniboné”* to pierwszy z trzynastu tomów sagi dark fantasy. Mamy tu wampiryczne miecze wysysające życie i dusze zabijanych istot, magiczne i kinetyczne pojedynki, a nade wszystko ciekawego bohatera, tytułowego Elryka. Słaby fizycznie, uzależniony od narkotyków podtrzymujących jego siły życiowe, czerwonooki i białowłosy władca długowiecznej rasy, władający magią demonów i żywiołów, w dodatku posiadający sumienie.

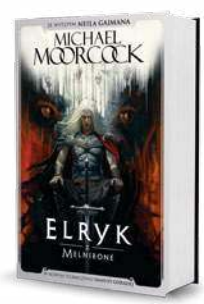

Dark fantasy najczęściej kojarzy się z mrocznymi intencjami bohaterów, obsesjami i dewiacjami, Elryk jest natomiast jak połączenie młodego Hamleta z wrażliwym harcerzem, lecz jego konflikt z pełnym pychy kuzynem Yrkoonem był dla mnie trudny do zrozumienia, może dlatego, że ich rodzina włada tym światem 10 tys. lat, a Elryk VIII to 428. cesarz Melniboné.

POPKULTURA

Ewentualnie *„Przerwany lot”*, kolejny film z Gerardem Butlerem, ale niestety dużo słabszy. Bohaterem znów jest mężczyzna po przejściach, w czym nie ma nic niezwykłego, biorąc pod uwagę PESEL aktora. Po prostu jest on już w wieku, gdy wszystko się w życiu komplikuje, umierają żony, dochodzi do zdrady, dzieci popełniają samobójstwa, odchodzą od wiary, kiedy już jasno widać, że losu nie da się kontrolować oraz to, jak oczywiste konsekwencje mają nasze uzależnienia, słabości i grzechy. Tym razem Butler gra kapitana samolotu pasażerskiego, który awaryjnie ląduje tam, gdzie nie sięga władza rządów choć trochę cywilizowanych. W tym wcieleniu jego niemal superbohaterskie wyczyny oraz motywacje nie wyglądają już na do końca wiarygodne. Ale akcja toczy się wartko, niewinni ludzie są zagrożeni, więc mamy emocje. A i jedna z padających z ekranu kwestii wydała mi się ciekawa: „Śmierć małego nikogo nie obchodzi, ale gdy zabić dużego, wtedy się przejmą i zapłacą”.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 9e18b405a8

Piosenki osłaniające miłością

Leszek Długosz, „Muzyka tamtych dni", DUX 2021

Płyta jubileuszowa, znakomicie wyprodukowana, z jeszcze lepszymi piosenkami i tekstami. Ale inna niż wszystkie pozostałe, bo z orkiestrą, chopinowska duchem i… pożegnalna. Zmarły Leszek Długosz był przede wszystkim poetą, ale poetą śpiewającym, a do tego kompozytorem i pianistą, który wydał w swoim życiu kilka płyt z piosenkami własnymi oraz tekstami poetów, takich jak Tuwim, Libert, Baliński. Większość z nich w nowych aranżach Andrzeja Zaryckiego wybrzmiewa po prostu nową pełnią życia. To nie byle kto, bo komponował piosenki m.in. dla Ewy Demarczyk. Ale płyta niestety pożegnalna. Na tych wydanych w latach 80. i 90. Długoszowi zazwyczaj towarzyszył akompaniament kilkuosobowego zespołu znanych krakowskich muzyków, np. dyrygenta Wojciecha Trzcińskiego, gitarzysty Jana Hnatowicza (Wola Grupa Bukowina, Pod Budą), basisty Andrzeja Żurka, Andrzeja Sikorowskiego czy wiolonczelisty Andrzeja Murzańskiego (Anawa Marka Grechuty). Tym razem do akompaniamentu zostali zaproszeni muzycy orkiestry Sinfonietta Cracovia, dzięki której melodie i harmonie kultowych pieśni poetyckich łączą się z aranżami o zabarwieniu chopinowskim. Choć sytuują się poza nurtem muzyki popularnej, to wyśpiewane niepodrabialnym głosem szybko zapadają w pamięć.

Część z nich jest już od dawna znana – brzmią podobnie, choć przearanżowane, nagrane w innych warunkach i śpiewane przez 40 lat starszego pana Leszka, są po prostu inne. „Dziękuję ci, Muzyko" płynie nieco spokojniej niż w oryginale, „Jaka szkoda" do wiersza Balińskiego, odkurzonego przez Długosza w czasach Piwnicy pod Baranami, to również na nowo nagrany klasyczny szlagier z pierwszej płyty. Walc zamienia się w odmianę muzycznej sielanki. „Wiosenne wody" tracą swój pierwotny, kameralny styl, słynny „Berlin 1913" do wiersza Tuwima i jedna z najważniejszych piosenek w dorobku artysty nie przypomina tej, którą publiczność słyszała na płycie z 1980 r. Dodano jej orkiestrowego rozmachu, wydobyto piękną melodię, ozdobioną wokalizami Joanny Freszel, którą słyszymy w jeszcze kilku innych miejscach, również w nowej wersji „Spieszmy się". Jeśli w 1988 r. Długosz opowiadał o przemijaniu z boku, teraz zdaje już z niego spokojną relację na tle smyczków, fortepianu i trąbki: „Jeśli z nas ma coś ocaleć, to niech innych pamięć o nas nam będzie jak schron".

Maciej Walaszczyk

Maurizio Pollini – geniusz pianistyki

(1942–2024)

23 marca br. zmarł Maurizio Pollini, włoski wirtuoz fortepianu, a właściwie lokator Olimpu pianistyki, jeśli takie miejsce gdzieś się w ogóle znajduje.

W 1960 r. w wieku 18 lat wygrał VI Międzynarodowy Konkurs Chopinowski jako jego najmłodszy uczestnik. Jurorzy Nadia Boulanger i Artur Rubinstein oświadczyli wówczas, że już wtedy grał lepiej niż którekolwiek z nich. Chcący posłuchać Chopina, Liszta czy Beethovena mogą znaleźć płyty z zapisem jego gry, które są dostępne chyba na całym świecie głównie w wydaniach prestiżowej wytwórni Deutsche Grammophon. Są też dowodem jego szerokich horyzontów repertuarowych, od Gesualdo przez Bacha, Chopina do Monteverdiego i kompozytorów współczesnych.

Śmierć Polliniego odnotowało wiele mediów na świecie, tak jakby odszedł znany celebryta. Był bowiem słynnym pianistą, ale jednocześnie wśród podstarzałej lewicowo-postępowej międzynarodówki rozpoznawany jako „swój". Nie ukrywał swojej przynależności do Włoskiej Partii Komunistycznej, w czasie rewolucji 1968 r. dawał w mediolańskiej La Scali koncerty dla „klasy robotniczej", protestował przeciw amerykańskim bombardowaniom w Wietnamie, zwalczał „faszyzm", a jeszcze kilkanaście lat temu rzucał oskarżenia pod adresem premiera Berlusconiego. Zdarzało mu się również nagrywać fortepianowe dzieła XX-wiecznych eksperymentatorów, m.in. Schönberga, Berga, Nona (marksizm w muzyce) czy Stockhausena, próbujących przeprowadzać wymierzoną w klasyczną tonalność rewolucję dodekafonii, serializmu i innych wynalazków. Lata mijały, a Pollini koncertował, lecz głównie z repertuarem klasycznym i romantycznym. Bo tylko tego chciała i chce słuchać publiczność. W wywiadach sam przyznawał, że wybierał te utwory, przy których nigdy nie czuł zmęczenia. Przede wszystkim Chopina, którego był wybitnym, ale klasycznym interpretatorem. Przez całe życie bowiem kontynuował pielęgnowanie spuścizny otrzymanej od pianistów poprzednich pokoleń, rezygnując z wrażliwości, którą nasiąkał w domu tzw. postępowych inteligentów. I to dzięki nagraniom z nokturnami Chopina zdobył nagrodę Grammy w 2006 r. Piękno wyparło więc kuriozum, a rewolucyjny zapał ostudziły gusta tradycyjnej, „burżuazyjnej" publiczności.

eprasa.pl 9e18b405a8

Szekspir, Polska i polityka

Autor przekładów dzieł wszystkich Szekspira zmarł w celi „profesorskiej" mokotowskiego więzienia w 1951 r. A 20 lat wcześniej był ofiarą tzw. rugów jędrzejowiczowskich – motywowanej politycznie zemsty piłsudczyków

Katedry anglistyki w niepodległej Polsce powołano m.in. dlatego, że w Wielkiej Brytanii Polski nie lubiano, a jej obraz budowano przez pryzmat niemiecki. Profesorowie angliści mieli więc stać się ambasadorami zbliżenia polsko-angielskiego. Jednym z nich był prof. Władysław Tarnawski z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, którego barwną biografię przybliża dr. hab. Tomasz Pudłocki. Jak podkreśla, pamięcią na jego temat przez lata manipulowano z powodów politycznych, także po 1989 r.

Tarnawski był jednym z pierwszych polskich anglistów, specjalistą od Szekspira, autorem przekładów wszystkich dzieł angielskiego dramaturga na polski. Specjalizował się w epoce elżbietańskiej, jej literaturę analizował w całym ówczesnym kontekście społecznym, politycznym, religijnym i obyczajowym. Nie pomijał też licznych zależności literackich i językowych czy elementów biografii, co drobiazgowo opisywał w swoich publikacjach. Tuż przed wybuchem wojny w książce pt. „Szekspir katolikiem" opowiedział się po stronie zwolenników tezy, że Szekspir wywodził się z tradycji i kultury katolickiej. Podobnym tropem poszedł także w swoich publikacjach na temat Thomasa More'a – królewskiego kanclerza i ofiary prześladowań religijnych z czasów Henryka VIII. Odczytując jego „Utopię", piętnującą m.in. wady ówczesnych elit, jako manifest angielskiego humanizmu o odcieniu chrześcijańskim, za skrajne nadużycie uznawał lewicowe interpretacje tego pamfletu jako zapowiedź nadejścia komunistycznych porządków. Badał też twórczość Marlowe'a, Waltera Scotta i angielskich romantyków. Był autorem pierwszego, wydanego w dwóch z trzech planowanych tomów, podręcznika literatury angielskiej, przyjaźnił się z Kornelem Makuszyńskim, towarzyszył G.K. Chestertonowi podczas jego wizyty w Polsce w 1927 r.; brytyjski pisarz w swoich powieściowych formach próbował przekazać, że pozornie walczące z sobą wielki kapitał i socjalizm spotykają się u wspólnego celu, tak samo pozbawiając jednostkę własności i „obracając ją w niewolnika".

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Tomasz Pudłocki, „Szekspir i Polska. Życie Władysława Tarnawskiego (1885–1951)", IPN 2023

Tutaj dotykamy polityki, która angażowała profesora tak samo mocno jak literatura angielska, szczególnie w roli płodnego i zapalonego politycznego publicysty. Z Narodową Demokracją związany był już jego ojciec – były powstaniec styczniowy, społecznik, współpracownik Dmowskiego. Matka, z pochodzenia arystokrata, także zaangażowana społecznie, opowiedziała się zaś za piłsudczykami, dlatego w domu nie mówiono o polityce – „sprzeczki były gorące, do niczego nie prowadziły, tylko szkodziły na zdrowiu". Tarnawski już w 1918 r., mimo słabego zdrowia, brał udział w walkach z Ukraińcami o rodzinny Przemyśl. Działał politycznie, był w opozycji wobec rządów sanacji, protestował przeciw fałszerstwom wyborczym w 1930 r., uwięzieniu polityków opozycji w twierdzy brzeskiej. „Zwierzyna nie podaje ręki myśliwemu" – wyjaśniał odmowę przywitania się z ministrem Leonem Kozłowskim, za co zapłacił wysoką cenę. Chociaż był dożywotnio mianowanym profesorem, „reforma" Jędrzejewicza z 1932 r. doprowadziła m.in. do likwidacji kierowanej przez niego katedry anglistyki. Nie zezwolono mu nawet na prowadzenie egzaminów w kolejnych latach.

W czasie wojny Tarnawski był przedstawicielem Stronnictwa Naukowego w Delegaturze Rządu, a po jej zakończeniu brał udział w pracach konspiracyjnego Komitetu Ziem Wschodnich, zaangażowanego w pomoc ofiarom ukraińskich zbrodni. W 1947 r. jego członkowie zostali aresztowani i postawieni przed stalinowskim sądem. Trafił do „celi profesorskiej" więzienia mokotowskiego, gdzie m.in. prowadził wykłady dla osadzonych. I w której zmarł. Po wojnie ukazało się zaledwie kilka jego przekładów Szekspira, a rękopisy tych niewydanych znajdują się w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Po 1989 r. był oczywiście traktowany jako postać niewygodna, tym większa waga pracy wydanej przez IPN. Literaturę uważał za wskazówkę na przyszłość. Twierdził, że bez wytycznych moralnych zdobycze materialne staną się jedynie „narzędziami złych czynów i rozsadnikami zepsucia". Dlatego wzywał, by gorączce życia nadawać prawdziwej treści. „Szukajcie jej w Szekspirze – a znajdziecie" – zachęcał.

eprasa.pl 9e18b405a8

Słodka historia

Jesienią 2024 r. na warszawskiej Pradze ruszy muzeum czekolady. Obiekt przypominający gigantyczne kostki czekolady powstał w zrewitalizowanym budynku silosów, które kiedyś służyły fabryce do magazynowania ziaren kakao. Teraz będzie pełnić zadania produkcyjne i jednocześnie przyciągać turystów z całego świata do krainy Wedlów

MAŁGORZATA DYGAS

Gdy w 1845 r. cukiernik Karol Wedel (1813–1902) wyruszał pociągiem z Berlina do Warszawy, miał w sercu wielkie marzenie: chciał zbudować fabrykę słodyczy, fundament imperium czekolady. W 1851 r. pierwszy z dynastii Wedlów podjął decyzję o założeniu fabryki czekolady oraz sklepu przy ul. Miodowej, wtedy głównej arterii handlowo-usługowej Warszawy.

NASTĘPCA CZEKOLADOWEGO BIZNESU

Jedynego syna Karola i Karoliny z Wiśniowskich – Emila Alberta Fryderyka Wedla (1841–1919) – wychowano na kontynuatora rodzinnych marzeń. Był cukiernikiem z papierami czeladniczymi i patentem majstra. Praktykował w Paryżu, potem w Niemczech, Szwajcarii i Anglii. Wrócił do Warszawy w 1865 r., by objąć rodzinny biznes. Został właścicielem fabryki w 1872 r., a otrzymał ją jako prezent ślubny od rodziców. Jego wybranką została Eugenia z Bohmów, z którą miał troje dzieci: Jana, Eleonorę i Zofię.

Od powstania fabryki Wedla wyroby tego przedsiębiorstwa były oryginalne i niezwykle popularne. Już wtedy konkurencja próbowała wykraść receptury – nie udało się, ale na rynku pojawiły się podróbki uchodzące za słodycze C.E. Wedel. Dlatego Emil Wedel nakazał, aby na każdym opakowaniu wyrobów z jego manufaktury naklejano faksymile jego podpisu. „Wszelkie zatem czekolady nieopatrzone w stemple mojej fabryki i niemające na etykiecie mojego podpisu uważane być powinny za niepochodzące z fabryki podpisanego" – pisał w liście do kontrahentów.

TRZECI Z RODU

Jan (1874–1960), syn Emila Wedla, pobierał nauki w warszawskim Gimnazjum Wojciecha Górskiego, a potem został wysłany na studia za granicę – zaczął od Berlina, ale skończył w Szwajcarii na Wydziale Chemii uniwersytetu we Fryburgu w 1899 r. z tytułem doktora. Jednak po powrocie do Warszawy dr Jan Wedel nie zajął automatycznie po ojcu dyrektorskiego fotela. Rozpoczął od terminowania, uczył się i piął w hierarchii zarządzania fabryką. W 1912 r. nadszedł jednak dzień, kiedy ojciec zdecydował, że powierza mu stanowisko prokurenta, upoważnionego do reprezentowania firmy. Wtedy firma zmieniła nazwę na Emil Wedel i syn. Jan objął pełnię władzy nad słodkim biznesem dopiero w 1923 r.

Nazwa firmy i forma własności zmieniła się w 1932 r., gdy część udziałów w zyskach fabryki przejęły dwie siostry Jana: Eleonora z Wedlów Whitehead i Zofia z Wedlów Skibińska-Żochowska oraz Felicjan Pintowski, dyrektor handlowy. Narodziła się Fabryka Czekolady E. Wedel Spółka Akcyjna. W tym samym roku całą produkcję przeniesiono do nowoczesnej fabryki na Kamionku, praskim brzegu Wisły.

Dla biznesu Wedlów przyszły czasy szczytu koniunktury. „Cukier krzepi" – słynny reklamowy slogan II RP autorstwa Melchiora Wańkowicza był powszechnie znany, ale równie popularna była jego modyfikacja: „Cukier krzepi, ale Wedel jeszcze lepiej", którą wymyślił Jan Wedel. W końcu lat 30. jego firma zatrudniała prawie 1,4 tys. osób.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 9e18b405a8

W fabryce na Kamionku produkowano czekolady, czekoladki, karmelki, biszkopty, pierniki, marmoladki. To Janowi zawdzięczamy unikatową recepturę ptasiego mleczka. Spółka dysponowała 30 firmowymi sklepami, w tym w Paryżu. Wedlowskie rarytasy dotarły także za ocean, gdzie w 1939 r. Wedel miał swoje stoisko podczas międzynarodowych targów w Nowym Jorku.

JAN SERCE

Przez całe życie mottem Jana Wedla było powiedzenie: „Jeśli ofiarowujesz pieniądze, daj z nimi coś z samego siebie". Jego fabryka była prowadzona według zasad, które mogłyby zawstydzić niejeden współczesny „społecznie odpowiedzialny" biznes. Dyrektor Jan Wedel codziennie odwiedzał każdy zakątek fabryki, a część czasu rezerwował na rozmowy z pracownikami. Nie skąpił środków na pomoc finansową. Na terenie fabryki znajdowały się żłobek, przedszkole i gabinet lekarski oraz dentystyczny z takim wówczas rarytasem, jak aparat rentgenowski. Wedel utrzymywał w Świdrze ośrodek wypoczynkowy dla pracowników. W firmie wdrożono długofalową politykę dożywiania załogi – w stołówce za minimalną opłatą każdy pracownik mógł zjeść obiad z trzech dań. Pensje były tu wyższe niż w innych przedsiębiorstwach, a na Święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc wypłacano specjalne dodatki.

Fabryka Wedla bez zniszczeń przetrwała oblężenie Warszawy we wrześniu 1939 r. i działała w czasie okupacji. Kiedy na rynku brakowało żywności, Jan Wedel otworzył w fabryce punkt dożywiania pracowników i ich rodzin. Polakom uwięzionym w obozach koncentracyjnych dostarczano paczki z żywnością, a ich rodziny zostały otoczone opieką przemysłowca z Pragi. Przy fabryce działał również punkt aprowizacyjny dla ludzi wolnych zawodów: pisarzy, naukowców. Jan Wedel wykupował też z getta dzieci za czekoladę, którą sprzedawał Niemcom.

KOMUNA KASUJE MARKĘ

W pierwszych powojennych latach fabryka Wedla była nazywana „twierdzą kapitalizmu". Zgodnie z ustawą z 3 stycznia 1946 r. większość prywatnych przedsiębiorstw została w Polsce znacjonalizowana. Tak też się stało z firmą Jana Wedla. Pozostał mu gabinet w fabryce, ale pewnego dnia weszli tam niezapowiedziani panowie w ciemnych okularach i dotkliwie pobili przemysłowca. Jan Wedel już nigdy nie wrócił do fabryki. Szykany władzy komunistycznej objęły także innych członków rodziny. Ich wille na Żoliborzu i Saskiej Kępie zostały zasiedlone przez urzędników nowej władzy PRL, natomiast w willi w Konstancinie zamieszkał gen. Aleksander Zawadzki, później przewodniczący Rady Państwa (1952–1964).

W 1951 r. władza ludowa skasowała markę E. Wedel i zastąpiła ją nazwą Zakłady Przemysłu Cukierniczego im. 22 lipca. Stały się częścią gospodarczego zjednoczenia, do którego należały m.in. zakłady Syrena, czyli dawne fabryki Franciszka Fuchsa oraz krówek Pomorskiego w Milanówku. Jednak mimo zmiany nazwy na wyrobach przedsiębiorstwa, które założył Karol Wedel, widniał napis „E. Wedel" – z zaznaczeniem, że jest to dawna nazwa obecnej firmy 22 lipca d. E. Wedel Warszawa.

WOLNY RYNEK PARCELUJE

Po 1990 r., gdy ruszyła transformacja gospodarcza, fabryka Wedla znalazła się na pierwszej liście firm do prywatyzacji. Starania o przejęcie słynnej marki podjęły największe globalne koncerny, m.in. Nestlé. Jednak ostatecznie słodka scheda w 1991 r. w znalazła się w rękach potentata napojów gazowanych i słonych przekąsek PepsiCo. Amerykański gigant przejął Wedla, ale w praktyce chodziło przede wszystkim o wykorzystanie rozbudowanej sieci sprzedaży. I tak ekskluzywnym czekoladom z tradycją przypadły miejsca między ciastkami na półkach w supermarketach. PepsiCo. szybko wycofało Wedla z warszawskiego parkietu. Firma została podzielona w holding czterech spółek: Syrena – cukierki, Jedyna – czekolady, Delicja – ciastka i Frito Lay Poland (słone przekąski). Amerykanie szybko pozbyli się trzech z nich. Dzieła parcelacji schedy po trzech pokoleniach Wedla dokończyła transakcja sprzedaży francuskiemu koncernowi Danone unikatowych receptur wraz z fabryką ciastek w Płońsku.

W 1999 r. brytyjska firma Cadbury nabyła prawo do marki E. Wedel. Po 10 latach działalności brytyjski właściciel został jednak przejęty przez amerykańskiego giganta – Kraft Foods. W 2010 r. fabrykę czekolady, sieć sklepów i pijalnie czekolady wykupił japońsko-koreański koncern wielobranżowy Lotte Ltd. z siedzibą w Seulu.

ROMANTYCZNY FINAŁ

Nowemu nabywcy zależało przede wszystkim na marce E. Wedel i wejściu na rynki Europy Środkowo-Wschodniej, ale okazało się, że rodzinne geny firmy Wedel stały się idealnym dopełnieniem japońsko-koreańskiej kultury biznesu. Bo Lotte to także, jak Wedel, firma rodzinna, z podobną, choć nie tak długą historią. Założył ją Koreańczyk, który w 1948 r. wyemigrował do Japonii i zmienił nazwisko. Takeo Shigemitsu (obecnie stery w firmie przekazał synowi) był romantykiem i wielbicielem „Cierpień młodego Wertera" Goethego. Zafascynowała go postać Lotty, która chciała, żeby wszystkim było w życiu dobrze i przyjemnie. Ta idea przyświecała też Takeo. Chciał stworzyć firmę kochaną przez wszystkich, której produkty będą czynić ich życie lepszym.

Lotte Wedel Sp. z o.o. odzyskała blask, który nadały jej trzy pokolenia rodziny Wedlów. Japoński właściciel zachował wiele produktów od dawna znanych na naszym rynku, m.in.: torcik wedlowski z podpisem Emila Wedla, eleganckie czekoladki, bombonierki, czekoladę Jedyna i ptasie mleczko. Otworzy też muzeum czekolady, które – w co warto wierzyć – będzie symbolicznym finałem burzliwych losów fabryki Wedla.

eprasa.pl 9e18b405a8

WIM WENDERS REŻYSER FILMU „PERFECT DAYS”

Tokijskie komorebi

Przybliżał widzom „Paryż, Teksas” (1984) i „Niebo nad Berlinem” (1987). Opowiadał „Lisbon Story” (1994), odkrywał muzykę „Buena Vista Social Club” (1999) i prowadził na „Spotkanie w Palermo” (2008). W filmie „Perfect Days”, który właśnie wchodzi do polskich kin, pokazuje Tokio z niecodziennej perspektywy – miejskich toalet. Oraz ich sprzątacza, granego przez jednego z najpopularniejszych współczesnych japońskich aktorów, Kōji Yakusho.

Ekranowy Hirayama – małomówny mężczyzna w średnim wieku – dzień w dzień budzi się o brzasku i w rytm muzyki puszczanej ze staromodnych kaset rusza na tokijskie szlaki. Przemierza je, począwszy od podmiejskich uliczek (z perspektywą słynnej wieży Tokyo Skytree w tle) przez industrialne trasy szybkiego ruchu, klaustrofobiczne podziemne przejścia po oazy zieleni, w które zostały wkomponowane wyjątkowe obiekty.

„Czułem, że toalety mogą być punktem wyjścia, częścią większego obrazu. Zdałem sobie sprawę, że mogę stworzyć film, który uchwyci istotę miasta Tokio” – wyjaśniał reżyser podczas festiwalu w Cannes 2023, gdzie „Perfect Days” miał światową premierę i zdobył Nagrodę Jury Ekumenicznego, a odtwórca głównej roli odebrał statuetkę dla najlepszego aktora.

W filmie „występuje” kilkanaście toalet, m.in. obłożony drewnianymi elementami kompleks autorstwa Kengo Kumy [patrz zdjęcie – kadr z filmu]; betonowa aranżacja z parku Ebisu projektu Masamichi Katayamy czy uwielbiane przez turystów przeszklone, kolorowe bryły Shigeru Bana w parku Yoyogi z samościemniającym się szkłem. Skąd jednak miejskie toalety wzięły się w scenariuszu Wendersa?

Niemiecki reżyser po raz pierwszy odwiedził Japonię w latach 70., namówiony przez amerykańskiego dystrybutora do poznania twórczości Yasujirō Ozu. Filmy japońskiego twórcy rzeczywiście zrobiły na nim ogromne wrażenie, wywierając wpływ na jego późniejszą twórczość.

W 1985 r., tj. 22 lata po śmierci Ozu, Wenders wrócił do Japonii, by zrealizować dokument „Tokyo-Ga”, będący hołdem dla japońskiego reżysera. Przemierzał wtedy Tokio w poszukiwaniu miasta, które tak dobrze znał z jego filmów. Od tamtego czasu regularnie odwiedza Japonię, z tym że pobyt, w którego efekcie powstał „Perfect Days”, miał dość zaskakującą przyczynę.

Niemieckiego reżysera zaprosiła fundacja, której celem było... zmienienie wizerunku publicznych toalet w stolicy Japonii. Powstały w 2018 r. koncept zakładał stworzenie przez 16 uznanych japońskich architektów wyjątkowych projektów użytkowych. Wenders został wytypowany do zrealizowania poświęconej im serii krótkich filmów-reklam. Ten projekt nie doszedł do skutku, ale wyjazd zaowocował pełnometrażową fabułą, w której, poza miastem i niecodziennymi toaletami, znalazła się też przestrzeń na kontemplacyjny motyw filmu.

W przerwach od pracy ekranowy Hirayama spogląda w górę, dokumentując (analogowym aparatem Olympus) światło przebijające się przez korony drzew. To zjawisko (jak również emocje, które się z nim wiążą) ma w języku japońskim swoją nazwę: komorebi. „Ko” oznacza drzewo, „more” – coś, co świeci lub przenika, „bi” – słońce, światło słoneczne. Hirayama w powtarzalnej codzienności celebruje ulotne chwile, zachwyca się radosnym refleksem i wzrusza migawką umykającej sceny. A widzowie wraz z nim. Chłonąć atmosferę filmu, poszukują materialnych inspiracji obrazu.

Kilka tygodni temu „The Gurdian” ogłosił powstanie turystycznych tras umożliwiających odwiedzenie miejskich toalet pokazanych w „Perfect Days”. Ponoć wycieczki cieszą się niemałym powodzeniem.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Gutek Film

eprasa.pl 9e18b405a8

SŁODKO-SŁONY

Kalafior jak aksamit

ANNA MONICKA

„Jest najprzyjemniejszy w smaku ze wszystkich kapust" – pisał o kalafiorze słynny rzymski historyk Pliniusz Starszy. Zajadano się więc tym warzywem już 2 tys. lat temu. Podobno najlepsze rosły na Cyprze. Zanim trafiły na europejskie talerze, traktowano je jako rośliny ozdobne i sadzono w parkach. Robiły więc taką samą karierę jak ziemniaki, uprawiane w ogródkach dla niezwykle pięknych kwiatów. Do Indii, w których jest dziś niezwykle popularnym warzywem, przywieźli go Anglicy. Oni z kolei rozsmakowali się w kalafiorach dzięki Francuzom, którzy sprzedawali główki wyspiarzom za kosmiczne pieniądze.

Jak go jadano? Ugotowany i polany sosami. U nas też zazwyczaj podaje się go z bułką tartą podsmażoną na maśle. Często, niestety, rozgotowany i za miękki. Albo w zupie warzywnej, gdzie kompletnie traci osobowość. Tymczasem możliwości jest znacznie więcej. Przekonałam się o tym ostatnio na bankiecie, gdy podano krem kalafiorowy. Biały, aksamitny, posypany uprażonymi płatkami migdałowymi, miał wyraźnie wyczuwalną kokosową nutkę. Jego smak do tego stopnia podbił moje serce, że wracając do domu, skręciłam do warzywniaka. Niestety musiałam obejść się smakiem, bo w skrzynkach leżały jakieś zwiędnięte kapcie z podpleśniałymi listkami. Owszem, przecenione, ale też zdecydowanie niejadalne. Kalafior musi być twardy, zwięzły, soczysty.

Wreszcie następnego dnia znalazłam wymarzony okaz, dokupiłam do niego włoszczyznę, porządne mleczko kokosowe (znalezienie takiego też wcale nie jest proste, bo zamiast kokosa coraz częściej w puszcze znajdują się zagęszczacze) i ruszyłam do kuchni. Najpierw nagotowałam bulion z warzyw, potem podzieliłam główkę na różyczki. Głąby zazwyczaj wyrzucam, bo to one kumulują w sobie zanieczyszczenia, więc i ten trafił na kompost. Lekko obgotowane w wywarze warzywnym kwiatki (włoszczyznę wyjęłam) zblendowałam na gładko. Osobno ugotowałam trzy mączyste ziemniaki i dodałam je po jednym do kremu, wciąż miksując. Wrzuciłam ząbek czosnku, sól, pieprz, wlałam mleczko – świetnie się sprawdza zamiast śmietany i można je zagotować bez szkody dla dania. Smak zrobił się idealny, ale konsystencja wciąż nie była jeszcze dostatecznie aksamitna, więc przetarłam zupę na sicie. Gdy następnego dnia podałam ją przyjaciołom z prażonymi pestkami dyni, płatkami migdałów i grzankami czosnkowymi, zachwytom nie było końca.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Widziałem pelikana

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czasem, niezmiernie rzadko, do Polski dociera pelikan, niesiony wichrem znad Afryki. Wielki ptak o szerokich, dwuipółmetrowych, a nawet większych, skrzydłach, jest znakomitym szybownikiem. Wykorzystując ciepłe, wznoszące kominy powietrzne, wzbijające się nad rozgrzanym lądem, unosi się coraz wyżej, żeby osiągnąć wysokość, na której będzie mógł szybować. Bywa, że napotyka na silny prąd, który porywa go i niesie w egzotyczne dla niego, północne strony. Najbliżej nas lęgowiska pelikanów różowych znajdują się w delcie Dunaju – jest to jednak wyspowe, izolowane stanowisko, na którym przebywa tylko w czasie lęgów. Zasadniczo pelikan różowy to ptak Afryki i południowej Azji.

Pelikan to majestatyczne zwierzę, obdarzone charakterystycznym, wielkim dziobem wyposażonym w skórzany, rozciągliwy wór o pojemności kilkunastu litrów. Osiąga masę ciała do kilkunastu kilogramów i jest jednym z większych pośród latających ptaków świata.

Właśnie ta wielkość i sylwetka lecącego ptaka zwróciły moją uwagę kilka dni temu, kiedy odjeżdżałem znad stawów w Spytkowicach, leżących nad Wisłą w Kotlinie Oświęcimskiej. Powstały już w średniowieczu i oprócz tego, że słyną z karpi, nazywanych zatorskimi (od miejscowości Zator), stały się niezwykłym miejscem przyrodniczym. Od pewnego czasu wchodzą w skład obszaru Natura 2000.

Jadąc tam, miałem zamiar po prostu poobserwować ptaki, nie wiedziałem o obecności pelikana. Idąc z wolna drogą pośród stawów, podziwiałem perkozy, czajki i błotniaki stawowe, gdzieniegdzie skaczące do wody żaby albo skorupy wielkich małży, wybrane z mułem podczas prac (stawy są czynnym gospodarstwem rybackim, od wieków wspaniale koegzystującym z przyrodą). Odjeżdżając, rzuciłem okiem na niebo. „Bocian" – taka była pierwsza myśl. Nie miał jednak długich, wysuniętych nóg i był bardziej pękaty. „Pelikan?" – wydało mi się to surrealistyczne. A jednak. Po powrocie znalazłem informacje o tym pelikanie na stronie clanga.com, na której są prezentowane obserwacje rzadkich gatunków, natknąłem się też na artykuł na portalu oswiecim.naszemiasto.pl, upewniając się, że nie miałem przywidzeń i rzeczywiście widziałem pelikana, którego być może przywiał wraz z saharyjskim pyłem wiejący niedawno afrykański wiatr.

eprasa.pl 9e18b405a8

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Kłamstwa i obłuda

Co takiego stało się w Polsce po 13 grudnia ub.r.? Prezes PiS Jarosław Kaczyński oskarża rząd Donalda Tuska o zamach stanu i to trafna ocena, czego potwierdzeniem jest wściekła reakcja władzy oraz jej mediów. Prawdą jest to, czego jesteśmy świadkami, że dochodzi do wielokrotnego naruszenia konstytucji RP. Donald Tusk przyjął typowe dla Białorusi standardy sprawowania władzy: eliminację opozycji, zastraszenie społeczeństwa, siłowe ekscesy policji, doprowadzenie do zubożenia Polaków i deprecjonowanie roli Kościoła katolickiego w Polsce.

Działania koalicji 13 grudnia przypominają znane z historii najnowszej czasy stalinowskie. Warto przywołać ten ciemny okres w historii Polski. Tuż po wojnie zainstalowana przez Moskwę komunistyczna władza walczyła z „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym". Bolesław Bierut (sowiecki agent) oraz Jakub Berman, czyli czołowi działacze PPR, wprowadzili ten termin do komunistycznej propagandy w celu uzasadnienia czystek w partii po utworzeniu PZPR. „Prawicowi nacjonaliści" z Władysławem Gomułką na czele mieli sabotować budowę komunizmu w Polsce, zaprzeczać idei internacjonalizmu i wiodącej roli ZSRR, no i oczywiście „zdradzać" interesy klasy robotniczej. Okres ten trwał do 1956 r. do słynnego VII Plenum KC PZPR, kiedy zrehabilitowano Władysława Gomułkę i Mariana Spychalskiego. Wiec, na którym przemawiał towarzysz „Wiesław", zgromadził w Warszawie ponad 1 mln ludzi. Nowe kierownictwo partii uzyskało wsparcie społeczeństwa i komunizm mógł trwać, tylko w nieco łagodniejszej formie.

W tamtych czasach represje obejmowały wszystkich przeciwników komunistycznego ustroju, a największym wrogiem byli polscy patrioci, żołnierze wyklęci i Kościół katolicki z prymasem Stefanem Wyszyńskim na czele.

Dziś rząd Donalda Tuska w interesie unijnej Brukseli walczy z polskimi rolnikami jak kiedyś stalinowcy z kułakami. Represjami politycznymi, przy pomocy sądów, eliminuje wpływy „pisowskiej" opozycji, odbierając posłom immunitety i przywracając dogmat o szkodniczej, reakcyjnej roli Kościoła katolickiego. Realizuje zapowiedź lewackiego posła Platformy Obywatelskiej Sławomira Nitrasa z ostatniej kampanii do parlamentu o tzw. opiłowywaniu katolików. Nitras to współczesna mutacja dawnych komunistycznych hunwejbinów. To samo myślenie, słownictwo i nienawiść do instytucji, u której podstaw jest służba Bogu i ludziom. Jego zdaniem Kościół, zakony, księża nie mają prawa do żadnej aktywności obywatelskiej. Zamknięci w kościelnej kruchcie winni się skupić wyłącznie na modlitwie, ewentualnie pomocy ubogim, ale bez hojności wiernych i bez żadnego udziału świeckiego państwa.

Najlepiej by było, gdyby ubodzy duchowni chodzili pieszo w zniszczonych butach i sutannach. Ten prymitywny obraz Kościoła i jego kapłanów jest wprost przejęty z tępej, komunistycznej propagandy. Osoby konsekrowane nie mogą być pełnoprawnymi obywatelami, a już sprawą kryminalną jest zaangażowanie Kościoła w wielkie dzieła. To dlatego ks. Michał Olszewski, prezes Fundacji Profeto, został aresztowany – śmiał budować dom dla pokrzywdzonych przy wsparciu rządowego Funduszu Solidarności. Chciał być drugim Rydzykiem, jak pisały lewackie media, co już samo w sobie jest poważnym oskarżeniem. Znany jest też obszerny indeks prześwietlanych przez władzę wielu niezależnych instytucji, faktycznie lista proskrypcyjna ministra Bartłomieja Sienkiewicza. Znajdują się na niej m.in. tygodnik „Sieci" i Caritas Polska.

Przejmując władzę, ekipa Donalda Tuska realizuje, jak w czasach stalinowskich, totalitarną, ateistyczną ideologię. W rządzie znaleźli się najbardziej zajadli wrogowie Kościoła katolickiego, śmietanka ateistycznej lewicy i neomarksistowskiej ideologii gender. Ich najbliższy cel to przyjęcie ustawy (uchwały) o tzw. mowie nienawiści, wprost zagrażającej wolności słowa, bo wprowadzającej cenzurę i represyjne przepisy karne. I niech nas nie zwiodą pojawiające się czasami mylne maskujące gesty, mające łagodzić ideologiczne represje. Wspomniany Bolesław Bierut w procesji Bożego Ciała w 1947 r. w Warszawie kroczył obok prymasa Augusta Hlonda, a nawet podtrzymywał mu baldachim, zaś Władysław Gomułka potrafił zaintonować pieśń „Boże, coś Polskę". Podobnie mentor ideowy Nitrasa, czyli Tusk, przed zawarciem ślubu kościelnego przed wyborami prezydenckimi w 2005 r. dał się filmować w otoczeniu religijnych obrazów i krzyża. Nadal twierdzi, że jest wierzącym katolikiem, ale akceptuje in vitro, pigułkę „dzień po", legalną opłacaną przez służbę zdrowia aborcję do 12. tygodnia czy zniesienie klauzuli sumienia.

Stenogram exposé premiera Donalda Tuska nie zawiera żadnego z tych „katolickich" rozwiązań. Zresztą nie ma w nim ani słowa o Kościele katolickim, jedynie cytaty ze św. Jana Pawła II o tym, że nie ma solidarności bez miłości i że solidarność to nigdy jeden przeciwko drugiemu. Chociaż tyle zapamiętał.

„Szczęśliwej Polski już czas" – tak kończył swoje wystąpienie. Nie znam przykładu większej obłudy.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Prigożyn niczym Presley

Andrzej Rafał Potocki

Amerykański Instytut Studiów nad Wojną pisze, że po ostatnich uderzeniach na fabryki w Tatarstanie wśród rosyjskich elit pojawił się „niepokój, a nawet panika". W Moskwie zrozumiano, że rosyjska armia nie jest w stanie ochronić miast i obiektów infrastruktury krytycznej przed ukraińskimi dronami. Ostatni atak rakietowy na Sewastopol pozbawił Moskwę nie tylko desantowców Jamał i Azow. Bliższa analiza zdjęć satelitarnych sewastopolskiego portu pokazała, że problemy (ponownie) ma okręt rozpoznania Iwan Churs oraz okręt Konstanty Olszański, zajęty przez Moskali podczas aneksji Krymu w 2014 r. Ruski nie potrzebuje zresztą Ukraińców do zatopienia swojej floty. Robi to sam, jak niedawno na Bałtyku. Podczas manewrów rakieta wystrzelona z kacapskiego okrętu zniszczyła trawler rybacki. Problem polega na tym, że statek wypłynął na połów pod moskiewską banderą. *Volltreffer*! (pełne trafienie) – jak mawiali niemieccy artylerzyści podczas wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

W wielu swoich bazach lotniczych (szczególnie na Krymie) Rosja maluje na ziemi fałszywe myśliwce, co stanowi stosunkowo prostą taktykę, mającą skłonić Ukraińców do atakowania atrap zamiast prawdziwych samolotów. Analitycy twierdzą, że malowanie fałszywych samolotów wojennych jest postrzegane jako odpowiedź na rosnącą zdolność Ukrainy do przeprowadzania ataków dalekiego zasięgu na rosyjskie bazy. Co prawda mistyfikacja jest stosunkowo łatwa do wykrycia, ponieważ na satelitarnych fotkach nie widać cienia, który rzucają prawdziwe samoloty, ale sposób, w jaki Moskwa próbuje ocalić arsenał przed atakami, nie jest przynajmniej drogi. I wszystko byłoby nawet w porządku, gdyby nie wrodzona głupota Moskali. Piloci śmigłowców lądują na malunkach odrzutowców (co widać na filmie), niwecząc cały efekt. Własną pracę, własnymi targają rękoma – jak mawiał ks. Janusz Radziwiłł.

Moskiewska propaganda coraz częściej w bezczelny sposób atakuje Polskę. Już nie straszą zaborem przez Polaków Ukrainy, tylko pokazują nas jako kraj słaby. I nie pomaga tu wygaszanie telewizji Biełsat, entuzjastycznie przyjęte na Białorusi – np. radosny wpis Grigorija Azarionka, głównego propagandysty Łukaszenki, o wyrzuceniu z telewizji twórczyni i szefowej Biełsatu Agnieszki Romaszewskiej. Z powodu likwidacji dotacji od polskiego MSZ przestaje nadawać także białoruska redakcja Radia Wnet. Nic, tylko pogratulować nowej władzy za sprawianie radości władzom w Mińsku i na Kremlu. Żenada i kolejny strzał we własne kolano, bowiem nie wiadomo, co gorsze. Moim zdaniem lepiej jak straszą zaborem (przynajmniej występuje tu element obawy przed Polską), niż jak mają nas mieć za słabeuszy.

Sobowtóry cieszą się w Moskwie zasłużoną historią. Co prawda po raz pierwszy (ale za to aż dwukrotnie) podstawialiśmy Moskalom cara Dymitra Samozwańca już na początku XVII w. Ten drugi raczej robił za sobowtóra władcy, bo jak zobaczył go hetman Stanisław Żółkiewski, to rzekł tylko: „Do pierwszego w niczym (oprócz tego, że też człowiek) niepodobny". Ale jakie to miało znaczenie w czasach bez telewizji i internetu? Teraz wręcz nastąpił wysyp sobowtórów Władimira P. Ale nie tylko jego. Jak wieść gminna niesie (nawet pisze o tym poważny portal Defence24!), a konkretnie były profesor Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych Walerij Sołowiej twierdzi na łamach „Daily Mail", że Jewgienij Prigożyn nie zginął w katastrofie lotniczej. W tzw. runecie pojawia się coraz więcej teorii dotyczących tego, że dawny przywódca Grupy Wagnera żyje. W samolocie miał być sobowtór Prigożyna, a nie on sam. Szef wagnerowców miał się spodziewać tego, że Putin będzie próbował go zabić, więc zaczął mylić tropy. Sołowiej twierdzi, że Prigożyn dysponuje wielkim majątkiem zgromadzonym w bitcoinach i wykorzysta go do zemsty. W jego śmierć nie uwierzyli rosyjscy milblogerzy powiązani z popularnym na Telegramie (ponad 700 tys. subskrybentów) kanałem VChK-OGPU. „Prigożyn żyje – mówią także sami wagnerowcy. – Obecnie przebywa w Mali, konkretnie na granicy z Nigrem, ponieważ francuska inwazja na Niger mogła rozpocząć się rankiem 25 sierpnia. Eksplozja samolotu w Rosji to produkcja dla mediów". Gienek Prigożyn niczym Elvis Presley. W końcu na świecie ciągle mnóstwo ludzi twierdzi, że żyje.

Współpraca: „Skipper"

eprasa.pl 9e18b405a8

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Szkoła bez przyszłości

Aleksander Nalaskowski

To byłoby komiczne, gdyby nie było prawdziwe i tragiczne. Oto lewacka minister edukacji Barbara Nowacka zakazała zadawania uczniom zadań domowych. I nawet ustaliła w tym celu sankcje dla niesubordynowanych nauczycieli. Tężyzna nierozumności ma się dobrze, a my się taplamy w bagienku niedorzecznego absurdu. W końcu nas to bagienko wciągnęło dzięki takim durniom, jak większość wyborców z osławionego Jagodna.

Ale przyjrzyjmy się sprawie z bliska i spróbujmy przewidzieć konsekwencje tego na wskroś głupiego kroku.

Po pierwsze, zadania domowe to część szerszego zamysłu metodycznego. Wiedza szkolna jest tak skonstruowana, że w jej przekazie potrzebna jest nie tylko praca w klasie, lecz także samodzielny wysiłek ucznia w domu. Zadania domowe to ćwiczenie umiejętności i utrwalanie wiedzy nabytej w szkole. To wreszcie część warsztatu każdego nauczyciela i istotny element jego pracy z uczniami. Objęcie zakazem tak ważnego elementu metodyki, jakim jest zadanie domowe, to *de facto* odebranie nauczycielom ważnego dydaktycznie narzędzia, którego nie da się zastąpić niczym innym. Dotąd nauczyciel mógł gospodarować czasem lekcji wedle potrzeb i nauczanej problematyki. Teraz z każdego trzykwadransowego przedziału czasowego (tyle trwa lekcja) będzie musiał wygospodarować czas na utrwalanie i powtarzanie wiedzy. Zatem brak zadań domowych wpłynie na przebieg lekcji. Jej część „wykładowa" ulegnie skróceniu, wiedza siłą rzeczy będzie bardziej powierzchowna, a ostateczne rezultaty niepewne.

Brak zadań domowych to amputowanie ważnego narzędzia kształtującego samodzielność, autodyscyplinę i poczucie obowiązku dziecka

Po drugie, zadania domowe i w ogóle nauka w domu to wdrażanie dziecka w kulturę samodzielnej pracy. Jeśli szkoła tego poniecha, to nikt za nią tego nie zrobi. O tym, jak ważne jest nabycie umiejętności samokształcenia, przekonujemy się codziennie. W mojej młodości nie było mowy o komputerach, komórkach, smartfonach czy e-bookach. Wszystkiego tego musiałem się nauczyć jako dorosły człowiek. I w ten sposób konsumowałem zdobytą w szkole, drogą zadań domowych, umiejętność samodzielnego rozwiązywania problemów, których szkoła w ogóle nie przewidywała. Odrabianie zadań domowych albo czytanie lektur dało mi narzędzie do funkcjonowania w zaawansowanym technologicznie świecie. Tego ma zabraknąć naszym dzieciom? Brak zadań domowych to amputowanie ważnego narzędzia kształtującego samodzielność, autodyscyplinę i poczucie obowiązku dziecka. Narzędzia, które bardzo trudno będzie czymkolwiek zastąpić.

Po trzecie, zakaz zadawania prac domowych ma obowiązywać, pod groźbą kary, w szkołach publicznych. I tak lewicowa minister wzmocni konserwatywne szkoły niepubliczne, w których zadania domowe będą dopuszczalne. A to oznacza, że na dłuższym dystansie absolwenci tych szkół będą znacznie lepiej przygotowani do dalszej nauki, wyposażeni w odpowiednie nawyki pożyteczne przy studiowaniu i en bloc zajmą lepszą pozycję startową do funkcjonowania w dorosłym życiu. Czy takiej nierówności szans rzeczywiście chce nasza lewacka lewica? O to im chodzi? Efekt rozwarstwienia nie nastąpi od razu, ale po latach będzie nader widoczny i szkodliwy. Nie wspominam o skutkach ubocznych, czyli np. napędzaniu kandydatów do szkół niepublicznych, które dydaktyczny konserwatyzm może uczynić atrakcyjniejszymi, niż są obecnie.

Po czwarte, odrabianie zadań domowych wiąże się z wygospodarowywaniem w każdym domu miejsca pracy dziecka, jego warsztatu pracy. W przestrzeni domowej pojawia się jego biurko czy regał na lektury, o które dzieciak musi dbać. Teraz mogą one zniknąć. Ich miejsce zajmie gniazdko elektryczne z ładowarką do smartfona? Naprawdę o to chodzi?

Obawiam się, że pomysł Nowackiej, a tak naprawdę największego szkodnika w historii współczesnej Polski – Donalda Tuska, ma drugie dno, które ujawni się dopiero po czasie. Idzie chyba o to, żeby nasze młode pokolenie nie było zbyt kumate, zbyt wykształcone i samodzielne. Aby było otwarte na rozkazodawców z Brukseli czy Berlina, aby Polska była europejskim rezerwuarem taniej siły roboczej. Potwierdzają to inne zmiany, chociażby w spisie szkolnych lektur, podstawie programowej wszystkich przedmiotów, a zwłaszcza historii czy języka polskiego. W dalekiej perspektywie to zamach na naszą suwerenność.

Czy można się przed tym obronić? Chyba tak. Rodzice winni złożyć na ręce dyrektora placówki petycję domagającą się zadań domowych. Jeśli zrobią to wszyscy lub prawie wszyscy, dyrektor nie będzie mógł odmówić. Wszak tyle się rozprawia o udziale rodziców w życiu szkoły. Nie wiem, czy to działanie będzie w 100 proc. skuteczne, lecz jestem przekonany, że jeśli będziemy próbować, to może nam się udać, a jeśli poniechamy prób, to na pewno niczego nie wskóramy.

eprasa.pl 9e18b405a8

Michał Korsun prezentuje

Referencje Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Cofnijmy się dziś w czasie o 41 lat. Oto kilka doniesień prasy PRL z kwietnia 1983 r.

„W Strzelcach Krajeńskich (woj. gorzowskie) 155 osób (przeważnie dzieci) zatruło się ciastkami pochodzącymi z prywatnej cukierni. Drobnoustroje znajdowały się w kaczych jajach, które wyjęto z inkubatora. Właściciela cukierni aresztowano".

„Można już zauważyć pierwsze pozytywne wyniki milicyjnej akcji »Posesja«. Niektóre podwórza, obejścia, osiedla, ulice i parki powoli przybierają normalny wygląd. Jeszcze nie wszystkie".

„W KC PZPR odbyła się narada I sekretarzy komitetów wojewódzkich partii. Omawiano stan przygotowań do XII plenum KC".

„Czechosłowacja pomoże nam uruchomić linię technologiczną do produkcji żarówek – zatem w przyszłym roku powinny zniknąć kłopoty w tym zakresie".

„Wojskowe grupy operacyjne przeprowadziły kontrolę realizacji postanowień i wniosków wynikających z poprzedniego okresu działalności w terenie".

„»Stern« publikuje fragmenty rzekomych dzienników Hitlera z lat 1932–1945, odkrytych w jednym ze szwajcarskich banków. Niektórzy historycy sceptycznie ustosunkowali się do tej sensacji".

(mk)

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1. WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

2. ZAMÓW I OPŁAĆ

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty SIECI na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

Autopromocja

eprasa.pl 9e18b405a8

OD A DO ZYBERTOWICZ

TKM i tyle

Kuiszowie w kółko zarzucają populizm PiS, będąc ślepymi na prymitywny populizm obecnie rządzących

„Kuisz i Wigura mają prawo pisać, co im się podoba i gdzie im się podoba" – głosił redaktor Rafał Woś niecały rok temu na portalu Interia.pl.

Dr Jarosław Kuisz to redaktor naczelny „Kultury Liberalnej", jego żona prof. Karolina Wigura jest socjologiem. Oboje pracują naukowo na UW. Są znanymi liberalnymi intelektualistami. Do niedawna bywali także kojarzeni z „symetryzmem".

Wypowiedź Wosia dotyczyła tekstu opublikowanego w czerwcu 2023 r. w „The New York Times". Esej Kuiszów wywołał wówczas poruszenie, gdyż autorzy postulowali w nim uzależnienie współpracy wojskowej USA z Polską od przestrzegania „praworządności". Ostrzegał już sam tytuł tekstu: „Poland Isn't the Friend the West Thinks It Is" („Polska nie jest takim przyjacielem Zachodu, za jakiego Zachód ją uważa"). Woś, zdaje się, bronił wówczas wolności słowa i pluralizmu, choć nie ukrywał, że tezy małżonków mogą być odbierane jako kontrowersyjne.

Karolina Wigura i Jarosław Kuisz reprezentują inny światopogląd niż mój. Ale niektóre z ich wypowiedzi uważałam za interesujące, czasem inspirujące. W marcu 2024 r. państwo Kuiszowie zabrali głos na temat polskich spraw na łamach czasopisma „Foreign Affairs".

Po lekturze artykułu pt. „Poland's Post-Populist Rehab. How to unwind an illiberal democracy" („Post-populistyczny odwyk w Polsce. Jak usunąć nieliberalną demokrację?") przecierałam oczy ze zdumienia. Gdybym nie wiedziała, kim są autorzy tekstu, to bym pomyślała, że to jacyś mało finezyjni publicyści z syndromem antyPiS, pragnący zamanifestować swą lojalność wobec nowego rządu w Polsce.

Uważam, że tekst Kuiszów jest nieuczciwym opisem tego, co się obecnie u nas dzieje. Już samo porównanie rządów Prawa i Sprawiedliwości do ponurych czasów komunizmu, gdy wolność słowa była abstrakcją, a wielu ludzi więziono z powodów politycznych (nie wspominając o ofiarach śmiertelnych); gdy prawie niczego nie było w sklepach i naprawdę żyło się bardzo źle – wydaje się nieodpowiedzialną manipulacją. Ale może gorsze jest to, że w ten sposób Kuiszowie banalizują ofiary komunizmu. Autorzy prezentują Donalda Tuska jako wyzwoliciela kraju, który działa szybko, by „zrehabilitować polskie instytucje publiczne i poluzować kontrolę, którą prawicowa partia Prawo i Sprawiedliwość sprawowała nad praktycznie wszystkimi sferami życia publicznego".

Informują, że Adam Bodnar „przedstawił specjalny »plan działania« Radzie do Spraw Ogólnych UE, aby rozwiać obawy dotyczące demokratycznego regresu, który miał miejsce za rządów Prawa i Sprawiedliwości". Dodają, że „Bodnar nakreślił plan resetu konstytucyjnego i rozpoczął usuwanie niektórych prokuratorów i sędziów ze stanowisk". Co takiego? – pytam sama siebie.

Jaki plan „resetu konstytucyjnego"? Kiedy i gdzie konsultowany z obecną opozycją? Przecież PiS zdobył najwięcej głosów w wyborach, reprezentuje znaczącą część polskiego społeczeństwa, która ma prawo współdecydować o kształcie Rzeczypospolitej!

Jakie media przedyskutowały „specjalny plan działania Bodnara"?

To jest demokracja? To wygląda, jak dobijanie targu w Brukseli: skutecznie obalacie PiS, który napsuł nam już dość krwi, a my przymykamy oko na łamanie prawa.

Tak: to obecny rząd łamie prawo i konstytucję. Przejmuje instytucje za pomocą „silnych panów" i z dnia na dzień mnoży obszary chaosu. To jest dopiero regres demokratyczny!

Kuiszowie w kółko zarzucają populizm PiS, będąc ślepymi na prymitywny populizm obecnie rządzących. Rząd Tuska nie ma żadnej kompleksowej wizji rozwoju państwa poza właśnie populistycznymi hasłami zamkniętymi w formule „100 konkretów" – chaotycznego zlepku spraw o różnej wadze i znaczeniu. Poza tym misja „rozliczania" byłego rządu za „zbrodnie", które rzekomo popełnił, przykrywa brak koncepcji faktycznej reformy systemu prawnego w Polsce.

Jednak najbardziej zdumiewa stwierdzenie autorów, że „intensywność tych walk" o „dosłownie każdą instytucję" świadczy o tym, jak wiele szkód wyrządziło PiS, będąc u władzy. To nieprawda. Intensywność walk świadczy o pospolitym w polityce zjawisku określanym skrótem TKM (odsyłam do Wikipedii).

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 33/0224/F

eprasa.pl 9e18b405a8

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ SIECI

Książka o wrogach Chrystusa i życiu w czasach pierwszych chrześcijan:

- Kto odpowiadał za oskarżenie i śmierć Jezusa?
- Jaka była prawdziwa historia Judasza?
- Co o Piłacie mówią historyczne źródła?
- Dlaczego Neron mordował chrześcijan?

WAŻNA LEKTURA DLA KATOLIKÓW
| 300 LAT HISTORII | 296 STR.

100 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

Książkę **„Znak, któremu sprzeciwiać się będą”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika SIECI za **349 zł**.

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 9e18b405a8

18+
Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl
eprasa.pl 9e18b405a8